

SHARON SALA



UZDROWICIEL

Tytuł oryginału: The Healer

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Snow Valley, Alaska, 1977

Drobna, szara wilczyca zatrzymała się na granicy lasu, podniosła łeb, poruszyła nozdrzami. Czula niebezpieczeństwo, ale musiała ryzykować, sama nie była już w stanie zadbać o potrzeby swojego malca.

Właśnie zapłakał. Polizała go czule po główce, a on natychmiast się uspokoił. Najchętniej położyłaby się teraz gdzieś w zaroślach, odpoczęła, ale czas nagił. Pchnęła malucha nosem i zaczęła schodzić w dolinę.

Wiosenne słońce w Snow Valley było miłą odmianą po długich miesiącach zimy. Trzeba mieć dużą odporność, by wytrzymać tak długi czas bez słońca i bez ciemności. Białe noce potrafią doprowadzić człowieka do szału, ale miejscowi umieli z tym żyć, od wieków nawykli do swojego świata.

Lekki wiatr schodził ze wzgórz do maleńkiej osady, i kobiety, korzystając z ładnej pogody, powywieszały pranie na podwórkach.

Harley Dubois, pilot helikoptera, pochodzący z Biloxi w Mississippi, mieszkał w skromnym domku na południowym skraju osady. Przeniósł się tutaj przed dwunastu laty i teraz uważał się za najprawdziwszego tubylca. W sezonie polowań latał swoim bellem, a kiedy myśliwi wracali do domów, spędzał czas przy whisky i tanich thrillerach.

Doktor Adam Lawson mieszkał na drugim krańcu osady. Przybył tu sześć lat temu, jako lekarz pogotowia. Trzeba było ratować pechowca, któremu zaciął się spust w strzelbie. Miś, potencjalna ofiara pechowego poszukiwacza przygód, też się zaciął i dość paskudnie okaleczył

myśliwego. Doktor udzielił rannemu pierwszej pomocy, ekspediował go do szpitala, ale trwało to na tyle długo, że zdążył pokochać miejsce i ludzi. Wrócił do osady wiosną i już tutaj został.

Natomiast Silas Parker, do którego należała cała maleńka osada, mieszkał w piętrowym domu w „centrum”. Na dole był sklepik z mydłem i powidłem, zaś na pięterku małe mieszkanie.

Reszta mieszkańców Snow Valley tutaj się urodziła. Powiadano, że ich przodkowie pojawili się w tej okolicy wcześniej od Boga, ale Adam Lawson miał inne zdanie. To Bóg dał ludziom to miejsce, a oni byli na tyle przytomni, żeby już nie szukać innego. Przyjmowali myśliwych, chodzili z nimi po zaśnieżonych lasach, a wtedy w domach zostawały tylko kobiety z dziećmi.

Teraz, gdy pogoda dopisywała, znowu zostały same i mogły zająć się wiosennymi porządkami. Było ciepło, słonecznie, dzieci wyległy na podwórka, by bawić się na świeżym powietrzu.

Kilkoro grało w piłkę, inne w chowanego, bliźniaki Mały i Buba siedziały na środku drogi i rysowały coś na piasku. Zawiał wiatr. Mały przetarł oczy, próbując usunąć z nich nawiany pył. Buba odwrócił głowę i zerwał się na równe nogi. Nie wierzył własnym oczom. Chwycił brata za włosy, pociągnął.

- Uciekamy, Mały! - wrzasnął w popłochu. Mały poderwał się błyskawicznie i obaj chłopcy runęli z krzykiem w stronę domu, od którego dzieliło ich może pięćdziesiąt metrów.

- Mama, wilk! - Buba pokazywał rodzicielce groźne zwierzę. Willa też już je dostrzegła.

- Wilk! - krzyknęła, zagarniając dzieci do domu. Inne kobiety też wybiegły po dzieci.

Wilczyca zatrzymała się. Słyszała przerażone krzyki, czuła nosem emanujący z ludzi strach. Rozumiała ostrzeżenie, powinna uciekać, ale maluch wczepiał się z całych sił w jej futro. Zwiesiła głowę i powoli ruszyła dalej.

Silas Parker coś usłyszał. Zaciekawiony zostawił kanki, które miał postawić pod ścianą, i podszedł do frontowych drzwi. Ulicą szła wilczyca.

Mógł być tylko jeden powód takiego niezwykłego zachowania.

Wścieklizna.

Kiedyś widział człowieka umierającego na wściekliznę i nigdy więcej nie chciał oglądać czegoś podobnego.

Chwycił strzelbę leżącą pod ladą, naboje i wrócił na ulicę.

- Chowajcie się do domów! - krzyknął. Nigdy nie był dobrym strzelcem, co oznaczało, że musi podejść bliżej. Jakaś kobieta z bronią pojawiła się na ulicy, minął ją, zbliżył się do wilczycy, podniósł strzelbę.

- Nie strzelaj! Odwrócił się oszołomiony.

- Co z tobą, Marie?

- Popatrz. - Kobieta wskazała na wilczycę.

- Rany boskie... - zabrakło mu słów. Miał wrażenie, że śni. -

Niemożliwe. Matko Przenajświętsza... Dziecko? Marie, też je widzisz czy ja zwariowałem?

Marie wydała jakiś nieartykułowany pomruk, odwróciła się i uciekła. Silas miał ochotę uczynić to samo, ale nie mógł oderwać oczu od dziecka.

Wilczyca szczeknęła.

Silasowi strzelba wypadła z ręki i huknęła o ziemię. Od wilczycy dzieliło go kilkanaście kroków. Podniosła głowę i wpatrywała się w niego.

- Jezu miłosierny... - szepnął i nogi się pod nim ugięły. Dziecko ledwie mogło chodzić, było chudziutkie. Coś trzeba było zrobić. Zaczął krzyczeć, odganiać wilczycę. Zwierzę zrozumiało, że najwyższa pora wycofać się. Popchnęła jeszcze malucha, ten zrobił krok i upadł na ziemię.

Instynkt kazał jej uciekać, ale, mały zapłakał.

Chciała zbliżyć się do niego, spojrzała na człowieka, odwróciła się i pobiegła w stronę lasu. Teraz zostawiony samemu sobie malec rozplakał się na dobre. Słyszała jego szlochy, ale zatrzymała się i obejrzała, dopiero gdy dotarła do pierwszych drzew. Podniosła łeb, zawyła przeciągle. Smutny odgłos poniósł się po całej dolinie, odbił echem o stoki wzgórz.

Silas chwycił dziecko w ramiona i najszybciej jak mógł ruszył do domu doktora Lawsona. A dziecko... Dziecko zawyło tak samo jak wilczyca. Silas omal nie wypuścił malca z ramion. Gdyby dzieciak nie trzymał się mocno jego brody, wylądowałby na ziemi.

- Nie płacz mi tylko, mały, nie płacz - uspokoił chłopca Silas. Przyjrzał się uważniej malcowi. Dzieciak miał oczy w kolorze bursztynu, złote oczy z iskierkami światła, prawie takie same jak wilczyca. - A niech cię. Skąd ty się wziąłeś?

Dwa lata później

Adam Lawson siedział na ganku ze swoimi sąsiadami, Wilsonem i Patty Umluck, i obserwował bawiące się dzieci, trójkę sąsiadów i jego małego. Nigdy nie przypuszczał, że on, czterdziestotrzyletni kawaler, będzie wychowywał dziecko i że ten maluch stanie się dla niego taki ważny.

Nazwał go Jonahem Szarym Wilkiem. Teraz chłopiec mógł mieć, jak Adam oceniał, cztery lata i był niezwykle bystrym dzieciakiem, pewnym siebie, rezolutnym i odważnym.

Czując spojrzenie ojca, zaprzestał zabawy i podniósł wzrok. Przez chwilę patrzyli na siebie, a potem wymienili uśmiechy, jakby dzielili ważny sekret, po czym Jonah wrócił do zabawy, buszując w trawie. Podleciał do niego ptak, potem drugi, a mały karmił je ziarnami słonecznika.

Mieszkańców Snow Valley onieśmielał, jego pojawienie się w osadzie było już legendą, tak jak jego relacje z lgnącymi do niego zwierzętami. Miejskowe psy, ale i dzikie zwierzęta, właściwie każda istota szła do niego bez wahania, bez lęku. Zawsze było przy nim jakieś stworzenie, jakby należał do świata natury. To dziecko bez rodziców, bez korzeni, które zjawilo się nie wiadomo skąd i jak, nigdy nie było samo.

Adam nie wiedział, jak to wyjaśnić, i nawet nie próbował, ale dzieciak był wyjątkowy, niezwykły. Powinien przecież umrzeć w górach, pożarty przez wilki, tymczasem przeżył. Władze przez wiele miesięcy próbowały rozwikłać zagadkę jego pochodzenia, odnaleźć rodziców, dojść jego tożsamości, na próżno. Nie rozbił się w okolicy żaden samolot, nie zaginęli żadni turyści czy myśliwi. Nikt nie potrafił wyjaśnić, skąd pojawiło się dziecko przyprowadzone do osady przez wilczycę.

Dorośli siedzieli na ganku, obserwowali zabawę dzieci, a stary pies Adama, Catcher, wpadł do ogrodu, niosąc coś w pysku. Zanim Adam zdążył zareagować, Jonah krzyknął i podskoczył do Catcher.

Pies zatrzymał się, jakby natrafił na niewidzialną ścianę, opuścił łeb, otworzył pysk, rzucając na trawę krwawiącą wiewiórkę.

- O nie - szepnął Adam, wiedząc, jak smutna będzie dla małego konfrontacja z martwym zwierzątkiem. - Jonah, zaczekaj - zawołał i podbiegł do synka, ale ten już trzymał stworzenie w dłoniach.

Wilson i Patty podnieśli się, przygarnęli do siebie swoje dzieci, a Catcher położył się w trawie, oparł pysk na łapach i obserwował pilnie każdy ruch Jonaha.

Adam położył dłoń na ramieniu syna.

- To maleństwo nie żyje. Catcher to tylko pies, upolował je. Psy tak się właśnie zachowują. Zostaw je, połóż na trawie i...

- Nie, tatusiu, ja pomogę tej wiewiórcie.

Adamowi kroilo się serce.

- Nie możesz jej już pomóc, Jonah.

Jonah wciągnął głęboko powietrze, a potem dmuchnął. Adama ogarnęła panika. Nie wiedział, co właściwie się dzieje, widział tylko traumę dziecka.

Syn położył zwierzątko na ziemi i zaczął masować małe ciało. Przegryziona szyja, poharatany brzuszec...

- Jonah, dość tego, to maleństwo... - Słowa zamarły w ustach Adama. Miał do czynienia z czymś niezwykle trudnym, mrocznym, tajemniczym. Dzwoniło mu w uszach, nie słyszał już ptaków, nie słyszał dziecięcia, który siedział na pobliskim drzewie. Patrzył z niedowierzaniem, jak jego syn nachyla się nad wiewiórką.

W pierwszej chwili Adam pomyślał, że zerwał się wietrzyk, ale była to raczej vibracja przechodząca przez całe ciało, jakby ziemia zadrżała pod jego stopami. A może to świat się kończył?

Od Jonaha biło światło, kiedy dotykał brzuszka wiewiórki. Łapki zwierzątka drgnęły. A potem maleństwo zaczęło oddychać. Żona Wilsona, Patty, jęknęła i zmówiła krótką modlitwę, ale Adam nie rozumiał słów, słyszał tylko ich melodię. To zresztą nie miało znaczenia, bo modlitwa wypowiedziana w tej sekundzie w jakimkolwiek języku była jak najbardziej właściwa i odpowiednia.

Jonah zakołysał się na piętach, spojrzał na ojca i uśmiechnął się radośnie. Coś zmieniło się w powietrzu, światło opromieniające małego zniknęło.

- Popatrz, tatusiu, pomogłem jej. Fajnie, prawda?

Adam zdał sobie sprawę, że płacze, dopiero, gdy poczuł dłonie syna na policzku.

- Nie bądź smutny, tatku. Z wiewiórką wszystko dobrze. Widzisz? Żyje.

Zwierzątko podniosło się i uciekło, a Adam długo jeszcze nie mógł dojść do siebie. Catcher odprowadził je wzrokiem, a potem spojrzał na Jonaha, jakby czekał na przyzwolenie, że może się ruszyć.

- Żadnych więcej wiewiórek, piesku - oznajmił mały.

Catcher podniósł się, a Adam chwycił syna w ramiona i przygarnął do siebie.

Wilson i Patty przyglądali się chłopcu bez słów, potem zabrali swoje dzieci i zniknęli zdjęci trwogą. Adam nie próbował zatrzymywać znajomych, rozumiał ich reakcję.

- Co to było, Jonah? Coś ty zrobił? - wyszeptał tylko.

- Zrobiłem coś złego, tato?

Adam westchnął. Głos małego drżał, w oczach pojawiły się łzy. Nie chciał, żeby dzieciak teraz cierpiał, wszystko, tylko nie to. Widział, że mały jest przerażony, sam był przerażony jak jeszcze nigdy w życiu.

- Nie, synku, nie zrobiłeś nic złego.

Jonah uspokoił się, otarł łzy, wdrapał się na jego kolana i przytulił mocno.

Siedzieli tak długą chwilę w milczeniu, a Adam szukał słów na to, czego był właśnie świadkiem.

- Jonah?

Mały odchylił głowę i spojrzał ojcu w oczy.

- Tak, tatusiu?

- Jak ty to zrobiłeś?

- Co, tatusiu?

- Jak uratowałeś tę wiewiórkę?

Mały uniósł brwi jakby zdziwiony pytaniem.

- Catcher ją złapał, a ja jej pomogłem, to wszystko. Adamowi zrobiło się niedobrze. Ciągłe nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia.

- Robiłeś już coś takiego wcześniej? Pomagałeś zwierzętom?

- Pewnie, ciągle pomagam. Tak jak ty pomagasz ludziom, tatku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wirginia Zachodnia, dziś

Z dogasającego ogniska szedł w niebo dym. Nad ranem powinien chwycić mróz, pojawi się śnieżna szadź.

Przy ognisku pod skałą spał mężczyzna, a na skale powyżej kuguar pożerał upolowanego wcześniej jelenia. W pewnym momencie podniósł łeb, zaczął węszyć, położył uszy po sobie, a z jego gardła wydobył się cichy pomruk.

Mężczyzna obudził się momentalnie, odrzucił pled i zerwał się na równe nogi.

- Spokojnie, mały. Ja też słyszę.

Kuguar mruknął ponownie, właściwie jakby syknął.

Mężczyzna odwrócił się, spojrzał mu w oczy. Przez moment człowiek i wielki kot byli właściwie jednością.

- Idź. Znikaj.

Kuguar chwycił nogę jelenia i odbiegł w las.

Mężczyzna rozejrzał się po niewielkiej polanie, na której spał, poruszył nozdrzami, chwytając wyczuwalne w wieczornym powietrzu zapachy.

Myśliwy, pies, strzelba... Proch, psi zapach, ludzki pot. Człowiek musiał niedawno wypalić ze strzelby.

Mężczyzna zagasił resztki ogniska i zniknął w mroku.

Chock Barrett zatrzymał się pod sosnami i odetchnął głęboko. Wyjął z kieszeni małą latarkę i podświetlił ręczny kompas. Trudno było

zachować dokładny kierunek, gdy wędrowało się przez las, wśród wzgórz, w tej dzikiej, słabo zaludnionej części Appalachów, ale chciał za wszelką cenę odszukać człowieka znanego jako Jonah Szary Wilk, a to było warte każdego wysiłku. Należało tylko postępować ostrożnie, nie rzucać się ludziom w oczy, bo odnalezienie Wilka mogłoby zostać potraktowane jako uprowadzenie, a Wilka chciał odnaleźć za wszelką cenę niejaki Bourdain.

Jedyny człowiek, którego uzdrowienia Jonah potem żałował, bo od tamtej pory Bourdain go poszukiwał. Nie szczędził pieniędzy, wynajmował ludzi, jednym słowem robił wszystko, by natrafić na ślad Jonaha Szarego Wilka, uzdrowiciela o cudownych dłoniach.

Barrett schował latarkę, przełożył strzelbę do drugiej ręki i ruszył dalej. Coś raptem poczuł...

Dym? Pies pisnął cicho.

Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując pożółkłe od tytoniu zęby. Może wreszcie trafił na ślad, może tym razem będzie miał szczęście. Sięgnął do plecaka, wymacał nabój usypiający, załadował do strzelby, drugi schował do kieszeni. Szedł teraz ostrożnie, cicho w świetle księżyca, między drzewami.

Intruz był blisko. Jonah czuł kwaśny zapach niemytego ciała. Minęła chwila i usłyszał trzask gałęzi, bardzo blisko. Poruszył nozdrzami. Ktoś jest na jego tropie, szuka go.

Zaszeleścił jakiś suchy liść.

Kuguar. Wyczuł, że coś jest nie tak i wrócił.

Jonah nie rozumiał, skąd ten jego kontakt ze zwierzętami, ale akceptował go bez prób wyjaśniania, tak jak akceptował swoją zdolność uzdrawiania. Wszystko to było niezwykle, dziwne i skomplikowane.

Kuguar wydał cichy dźwięk, sapnięcie, jakby chciał powiedzieć Jonahowi, że jest obok. Dla niewprawnego ucha mogło to zabrzmieć jak leciutkie wionięcie wiatru między drzewami, poruszenie liści.

Jonah spojrział na swoje obozowisko. Myśliwy, który poczułby dym z wygaszonego ogniska, po prostu poszedłby dalej, jeśli jednak był to ktoś nasłany przez Bourdaina...

Minęła jeszcze chwila i na polanie, w ciemnościach rozświetlanych blaskiem księżyca dojrzał sylwetkę mężczyzny ze strzelbą. Każdy myśliwy nosi strzelbę, zwykła rzecz, pytanie tylko, na co polował akurat ten nocny przybysz.

Mężczyzna zatrzymał się, jego pies szczeknął piskliwie i uciekł między drzewa. Najwyraźniej musiał zwęszyć kuguara. Szkoda, że mężczyzna nie miał równie dobrego węchu, zaoszczędziłoby mu to kłopotów.

Kiedy pies uciekł, mężczyzna zaklął cicho. Jonah przez moment sądził, że i on się wycofa, ale uniósł strzelbę i wycelował w śpiwór Jonaha, pewny, że celuje do śpiącego w nim człowieka.

Jonah drgnął, ale stał bez ruchu. Teraz miał już odpowiedź: w śpiworze, tam gdzie powinna być jego pierś, tkwił pocisk usypiający.

Mężczyzna opuścił strzelbę i podszedł do śpiwora, rozgarnął go lufą, po to tylko, by przekonać się, że jest pusty.

- Co za...

Jonah wyszedł z cienia.

- Nie trafiłeś.

Barrett szarpnął się, jakby to on dostał kulkę, po czym próbował nabić ponownie strzelbę.

- Nie podchodź! - zawołał i wycelował strzelbę w pierś Jonaha. - Ja do ciebie osobiście nic nie mam, ale milion dolarów to duża kasa, takiej okazji nie można przepuścić.

- Nigdy nie dostaniesz tego miliona - powiedział Jonah.

Barrett wyszczerzył zęby.

- Moja strzelba mówi coś innego.

W tej samej chwili odezwał się przyczajony na skale kuguar i jego groźny głos przeszył nocne powietrze. Jonah nie raz już słyszał ten dźwięk, ale zawsze przyprawiał go o ciarki.

Przerażony Barrett uskokzył do tyłu i teraz dopiero zobaczył zwierzę, zaklął straszliwie i skierował strzelbę na wielkiego kota.

- Jeśli go zastrzelisz, zabiję cię.

Barrett ponownie wycelował broń w Jonaha, a wielki kot sprężył się do skoku.

- Jeśli strzelisz do mnie, on cię zabije - dodał Jonah.

- Zamknij się i nie pierdol! - wrzasnął Barrett. Kot obnażył kły.

Barrett spocił się, trząsnął się ze strachu. Nie tak to miało wyglądać. Milion dolarów nie wydawał się już tak nęcący jak jeszcze przed chwilą. Przełknął nerwowo ślinę. Powinien był wyczuć niebezpieczeństwo i wycofać się razem z psem. Nawet w słabej poświacie księżyca mógł dostrzec obnażone zęby kiguara, jego wielką głowę, pazury. Cofnął się, opuścił strzelbę.

- Pójdę już - wyjąkał. - Ja nic do ciebie nie mam - powtórzył. - Bez urazy.

- Przykro mi, ale jest uraza. Skąd mam wiedzieć, że nie wrócisz i nie ponowisz próby?

Barrett już miał coś odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle, bo oto kuguar zeskoczył ze skalnej półki, przysiadł koło Jonaha i wbił w amatora nagród nieruchome spojrzenie.

- Nie, nie. Na litość boską, nie pozwól mu, żeby się na mnie rzucił. Proszę, nie.

- Jak się nazywasz?

- Chock Barrett.

- Zamknij się już, Barrett.

I Barrett, przerażony, posłusznie zamilkł. Czuł, jak jego krew buzuje w żyłach. Przyrzekł sobie, że jeśli uda się mu wyjść z tego spotkania cało, radykalnie odmieni swoje życie, stanie się innym człowiekiem.

- Rzuć broń - nakazał mu Jonah.

Barrett odrzucił strzelbę, która upadła obok śpiwora.

- A teraz opróżnij kieszenie.

Naboje usypiające znalazły się przy strzelbie.

- Wszystko, co masz - komenderował Jonah. Barrett zaczął wyjmować kolejne przedmioty, z wyjątkiem kluczyków do samochodu. Kluczyków nie odda za żadne skarby świata.

- To wszystko. Teraz mogę już iść? Nikomu nie powiem, że cię znalazłem, przysięgam.

- Kłamiesz - powiedział Jonah cicho i rozgniół po kolei wszystkie pociski.

- Ja nie wiedziałem... Mówili, że zwierzęta cię bronią, ale nie myślałem... - Wstrząsnął się. - Jesteś uzdrowicielem, nie pozwolisz, bym zginął - przemawiał błagalnie.

- Pozwolę.

Kuguar wydał ciche, ostrzegawcze prychnięcie. Barrett trzął się ze strachu.

- Nie, nie. Przecież ty leczysz ludzi, pomagasz im - skamlał.

- Tylko gdy tego naprawdę chcę.

Po nosie Barretta skapywał teraz pot. Jego ciałem wstrząsały kolejne gwałtowne dreszcze.

Jonah zaczął zbierać swoje rzeczy, pakował się powoli i Barrett pomyślał, że może to już koniec udręki. Chciał podnieść strzelbę, ale kuguar wydał ostrzegawczy pomruk.

- Uspokój go, uspokój - krzyknął Barrett. Jonah przerwał zwijanie śpiwora, spojrzał na kota.

- Jest wściekły. Na twoim miejscu nie ruszałbym się.

- Ale ty przecież możesz go uspokoić... Jonah wzruszył ramionami.

- Powiedziałem ci, tylko jeśli zechcę. - Wyjął nabój usypiający wbity w śpiwór i zmiażdżył butem. - A dla ciebie nie mam żadnych ciepłych uczuć, cienia sympatii.

Barrett znowu zadrzał.

- Co zamierzasz?

- Odchodzę stąd. - Jonah zasypał do końca ognisko, założył plecak i ruszył przed siebie.

Barrett nie mógł oddychać z przerażenia, serce podeszło mu do gardła. Drań chce go zostawić z dzikim kotem. O nie!

- Zaczekaj! Zaczekaj! Kuguar! Co z tym kuguarem?

Jonah zatrzymał się, odwrócił. Wielki kot przywarł do ziemi, gotów w każdej chwili skoczyć.

- Już ci mówiłem, lepiej się nie ruszaj - poradził Jonah i odszedł.

Barrett nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Bał się sięgnąć po strzelbę, której mógłby użyć jako pałki, bo przecież nie miał już ani jednego naboju. Kuguar tkwił bez ruchu, on także ani drgnął.

Kiedy Jonah zszedł z góry na autostradę, zaczynało świtać. Natrafił na furgonetkę. Domyślając się, że należy do Barretta, spuścił powietrze ze wszystkich kół.

O ile Barrett nie zrobi nic głupiego, kot go wreszcie zostawi i pójdzie upolować coś do jedzenia. Być może już poszedł i teraz Barrett też schodzi na dół, by wznowić swoje polowanie. Opony bez powietrza będą stanowić spore utrudnienie, ale Jonah wolał nie ryzykować. Milion dolarów to jednak bardzo kusząca suma. Był potwornie zmęczony faktem, że jest ofiarą, zwierzyną łowną.

Mylił się, zakładając, że Barrett podejmie na nowo polowanie. Barrett bowiem był tak przerażony, że niemal skończyło się to zawałem serca. Z drugiej strony to właśnie przerażenie dodawało mu sił. Gdyby stracił przytomność, kuguar zapewne potraktowałby go jako kolację. Od czego zaczęłby ucztę? Cała ta sytuacja była niczym koszmarny sen, z którego chciał się obudzić. Kiedy po dwóch długich godzinach kuguar wreszcie się podniósł, Barrett był niemal pewien, że to jego ostatnie chwile. Ale kot okazał mu najwyższe lekceważenie. Zamiast rzucić mu się do gardła, obsikał strzelbę, po czym zniknął. Barrett został sam, nie wierząc, że niebezpieczeństwo minęło. Stał jeszcze dobrą chwilę bez ruchu i nasłuchiwał, czy nie dojdą go jakieś odgłosy.

Błogosławiona cisza.

Zaczął schodzić z góry tą samą drogą, którą przyszedł. Nogi się jeszcze pod nim uginały, a pierś paliła ogniem, ale nie zwalniał tempa. Raz

tylko zawadził o jakiś korzeń i wyłożył się jak długi, ryjąc twarzą w jesiennych liściach. Podniósł się szybko i szedł dalej, wypluwając ziemię z ust i płacząc jak dziecko. Dotarł do furgonetki i tu zobaczył, że powietrze we wszystkich oponach jest spuszczone, ale specjalnie się tym nie przejął, ważne, że wydostał się z przeklętych gór. Był gotów pojechać nawet niesprawnym samochodem. Wskoczył za kierownicę, zatrzasnął drzwi. Trząśnięcie się jeszcze, nie mógł uspokoić, nie mógł złapać oddechu. Przypomniawszy sobie, że w schowku powinien mieć jakiś alkohol. Przydałby mu się porządny łyk czegoś mocniejszego, ale nie znalazł nic poza papierami.

- Cholera - mruknął, otarł łzy rękawem i wyjął komórkę. Marzył teraz, by gdzieś wyjechać, odpocząć, zrobić sobie długie, długie wakacje, ale najpierw musiał wywiązać się z różnych zobowiązań.

Major Bourdain był właśnie zajęty uprawianiem seksualnej gimnastyki z wynajętą długonogą panią, gdy zadzwonił telefon. Skrzywił się, ale nie przerywał, szkoda mu było tracić interesująco zapowiadający się orgazm. Przy drugim dzwonku jego przywiązana do wezglowia łóżka dama odruchowo spojrzała na aparat i Bourdain zły, że dama się rozprasza, zamiast skupić całą uwagę na nim i jego działaniach, zwiądnął w jednej chwili. Trzeci dzwonek oznaczał, że żadnych rozkoszy nie będzie i należy podnieść słuchawkę. Przy czwartym dzwonku zaklął i stoczył się z partnerki.

- Kto tam? - warknął.

Barrett drgnął. Co on taki wściekły, pomyślał. Gdyby przeżył to, co ja dzisiaj, miałby prawdziwe powody do wściekłości.

- Ja się wycofuję - oznajmił bez wstępów. Bourdain poderwał się i usiadł na brzegu łóżka.

- Wykluczone - huknął. - Nie będziesz mi się wycofywał.

- Rezygnuję - powtórzył Barrett.

- Mówiłeś przecież...

- Mówiłem, zanim ten drań zabrał mi wszystkie naboje usypiające i podeptał, a potem postraszył kuguarem. Nie dzwoń do mnie więcej.

Nigdy. Nie chcę mieć do czynienia z kimś, kto jest bardziej zwierzęciem niż człowiekiem.

Barrett się rozłączył. A zatem mówił jak najbardziej poważnie i nie zamierzał prowadzić żadnych dyskusji.

- Niech to jasna cholera! - Bourdain odwrócił się, rozwiązał ręce panience. - Wynoś się!

Przeszedł do łazienki i zamknął drzwi. Słyszał, jak dziewczyna wstaje, kręci się, szukając swojego ubrania. Stracił wszelką ochotę na seks. Stanął przed wielkim lustrem i przesunął palcem po bliznach na torsie.

Dziesięć lat temu był trupem. Kiedy w czasie wyprawy łowieckiej na Alaskę spotkał się z niedźwiedziem grizzly, sprawy potoczyły się fatalnie. Niedźwiedź rzucił się na niego z dziką furją, potężną łapą wyrwał mu kawał brzucha i Bourdain stracił przytomność. Kiedy się ocknął, zobaczył pochylającego się nad nim młodego Indianina i poczuł przenikający całe ciało żar.

Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł dobyć głosu.

Potem w zasięgu wzroku pojawił się jego przyjaciel Dennis Henry. Często polowali razem, jeździli na safari do Afryki, łowili ryby w Zatoce Meksykańskiej, a dzień przed wypadkiem przylecieli z dwoma jeszcze

innymi przyjaciółmi na Alaskę, do Snow Valley, żeby zapolować na karibu.

Teraz Dennis patrzył na przyjaciela z takim przerażeniem w oczach, że nagle wszystko wydało się jasne. A więc to już koniec, tak właśnie wygląda śmierć.

Stracił ponownie przytomność i ocknął się dopiero w helikopterze, którym przylecieli wcześniej do Snow Valley. Dennis i pozostali dwaj myśliwi patrzyli na niego, jakby nigdy wcześniej go nie widzieli.

- Dennis?

- Jestem.

- Czy my nie żyjemy? - zapytał Bourdain, a Dennis aż się wzdrygnął na te słowa.

- Żyjemy. Wracamy do Seattle.

- Ale przecież niedźwiedź...?

- Już po niedźwiedziu.

Ostrożnie dotknął brzucha, spodziewając się bandażu, ale brzuch był prawie gładki.

- Zatem żyję, ale nic nie rozumiem. Gdzie rany? Krew? Ból? Boże wielki, nigdy w życiu nie czułem takiego bólu.

Dennis spojrzał na niego jakoś dziwnie i odwrócił wzrok.

- Co jest, do diabła? Dlaczego wszyscy milczycie?

Dennis spuścił głowę, dwaj pozostali zaczęli jakąś banalną rozmowę, ale Major był uparty.

- Cholera, niech ktoś mi wreszcie powie, co się dzieje! Pamiętam, jak mnie tak bestia rozrywała. Trafiłem do piekła?

- Wszystko jest w porządku - odezwał się Dennis. - Zaniknij się, Major.

Major odrzucił pled. Ubranie miał zakrwawione, w strzępach, ale rana zniknęła, zostało tylko kilka blizn, które wyglądały, jakby zasklepiły się przed laty.

- O Boże.

- Bóg tu nie ma nic do rzeczy. Doktor akurat był nieosiągalny, więc pojawił się ten Indianin.

- Kto się pojawił? I co się właściwie stało?

- Umierałeś. Nie dało się ściągnąć lekarza, więc pilot helikoptera przywiózł tego młodego człowieka. - Dennis wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, jakby miał przed oczami nadal tamten obraz. Przesunął dłonią po twarzy i zadrżał. - Podszedł do ciebie bez słowa, Wyciągnął ręce. I... I...

- I co? - dociekał Major.

- Obaj się zajarzyliście jakimś niezwykłym światłem. Patrzyłem, przyglądałem się i ciągle nie wierzę w to, co zobaczyłem.

- Do cholery, Dennis, przestań mówić o świetle, tylko wyduś to wreszcie z siebie.

- On cię uzdrowił. Własnymi rękoma. Bez żadnych instrumentów, bez zakładania szwów, bez transfuzji krwi. Ot tak, po prostu. Miałeś bebechy na wierzchu, a zostało zaledwie parę blizn. Więc zamknij się wreszcie i bądź wdzięczny, że uratował ci życie.

Major nie wiedział, co myśleć, jedno było pewne: rana zniknęła. Usłyszał jeszcze, że za chwilę wylądują.

I rzeczywiście siadali już na lądowisku w Seattle. Na lekko drżących nogach podszedł do swojego samochodu, poczekał, aż przyjaciele zbiorą sprzęt myśliwski. Zanim zdążył pomyśleć, by zapytać pilota o młodego Indianina, helikopter odleciał.

Niezwykłe zdarzenie. Miał wrażenie, że to wszystko mu się przyśniło, że zaraz się obudzi. Spojrzał na zegarek. Polecieli na Alaskę w czwartek, wrócili w sobotę. Nikt nie śni trzy dni bez przerwy.

Myśl, myśl. Polowali na łosia, dobrze to pamiętał. Nabijał właśnie broń i wtedy usłyszał coś za plecami.

Zadrzał na to wspomnienie.

Niedźwiedź. Realny, prawdziwy. A potem rozdzierający ból. Taki ból nie może się przyśnić. Dotknął ponownie blizn. One też były realne.

Przełknął nerwowo ślinę. To nie był sen. Jak zatem wytłumaczyć to, co się zdarzyło? Obejrzał się, szukając wzrokiem Dennisa.

- Dennis.

Przyjaciel pakował właśnie sprzęt do samochodu. Nie był religijny, nie wierzył w nic, czego nie mógłby zobaczyć na własne oczy. Jednak teraz chciał jak najszybciej zapomnieć o tym, co widział na Alasce. Zapomnieć, że znał kiedykolwiek Majora Bourdaina.

- Tak? - odezwał się.

- Ten człowiek, który mnie uzdrowił. Wiadomo może, jak się nazywa?

- Pilot zwracał się do niego Jonah.

- Coś jeszcze?

Dennis wzruszył ramionami.

- Młody, może dwudziestoletni. Długie czarne włosy, ciemna karnacja. Chyba Indianin.

Potem Dennis nigdy już nie chciał rozmawiać na ten temat.

Major wzdrygnął się i odwrócił od lustra. Szukając swojego uzdrowiciela, zabił człowieka. Raz, dawno temu, już go dostał w swoje ręce, ale zwierzęta pomogły mu się wymknąć. Musi być jakiś sposób, żeby go pochwycić. Szary Wilk musi mieć jakieś słabości... Major je odkryje, nie bacząc na cenę. Dopadnie w końcu Jonaha. I będzie żył wiecznie.

Od spotkania Jonaha i Chocka Barretta w lesie minęły dwa dni. Jonah przez dwa dni uważał na każdym kroku, w końcu się upewnił, że Barrett zaprzestał polowania. Mógł znowu poruszać się swobodnie. Kończyło mu się jedzenie, pieniądze. Nie miał najmniejszej ochoty, ale powinien jednak poszukać jakiejś pracy. I miejsca, gdzie mógłby przezimować. Spędzał już niejedną zimę bez stałego schronienia, ale to ciężkie życie. Kiedy spadnie śnieg, dobrze jest mieć dach nad głową, wygodne łóżko i ogień na kominku. Pamiętając o tym, trafił do Little Top w Wirginii Zachodniej, małego miasteczka liczącego trochę ponad dwa tysiące mieszkańców. Zapomniana przez Boga dziura, gdzie powinien być bezpieczny. Jeśli jeszcze znajdzie pracę i jakiś pokój, osiągnie pełnię szczęścia.

Slug Marten napelniał właśnie bak starego forda należącego do Idy Mae Coley, gdy zobaczył obcego. Stacja leżała na skraju miasteczka i Slug przez ostatnich dwadzieścia dziewięć lat widywał wielu ludzi drogi, ale ten był inny, trzymał się prosto, szedł długim równym krokiem, ubrany niepozornie, w zniszczone dżinsy i skórę, mocno zakurzone buty, z gołą

głową mimo zimna. Miał ciemną karnację i długie czarne włosy, co Slug odnotował z pewną zazdrością, bo sam od czterech lat był zupełnie łysy.

Odwiesił wąż i ruszył do środka, gdzie czekała już Ida, żeby zapłacić za benzynę. Droga przejechał listonosz Mark Ahern, który pozdrowił Sluga sygnałem klaksonu. Pracował w miasteczku, ale obsługiwał też okolicę. Było trochę po czwartej, Mark zwykle wcześniej kończył pracę, ale tego dnia miał wyjątkowo dużo listów do rozwiezienia. Slug mu pomachał i wrócił na stację, by przyjąć pieniądze od Idy Mae, a potem odprowadził ją do samochodu. Ida utykała i słabo widziała. Gdyby mieszkała gdzie indziej, już by pewnie nie prowadziła, ale w Little Top, gdzie wszyscy się znali, wszyscy zjeżdżali jej z drogi i przezornie zatrzymywali się na skrzyżowaniach, nawet jeśli mieli pierwszeństwo, ponieważ Ida Mae nie zwracała uwagi na takie drobiazgi.

- Jedź ostrożnie, Ido - powiedział Slug, pomagając jej usadowić się za kierownicą.

- Nie musisz się o mnie martwić, ale dziękuję - mruknęła i wyjechała na drogę, nie patrząc, czy jest pusto. Minęła obcego, który nie zwrócił uwagi na starego forda, bo przyglądał się stacji benzynowej oraz mężczyźnie stojącemu koło dystrybutora, próbując ocenić, czy zostanie dobrze przyjęty. Miał nadzieję, że tak, bo w tej górskiej okolicy miasteczek jest niewiele, a on był zdrożony.

Slug skinął mu głową.

- Co słychać? - zagadnął.

- Trochę dziś zimno. - Jonah podszedł do Sluga.

- Wejdz, napijesz się gorącej kawy.

- Nie mam pieniędzy - odparł Jonah. Slug nie wahał się ani sekundy.

- Na mój rachunek.

Jonah wszedł za nim do środka i trochę skrzywił się na mieszaninę zapachów: benzyny, tłuszczu i starej kawy, ale w obecnej sytuacji nie wypadało wybrzydzać.

- Jestem Slug Marten - przedstawił się stary i postawił przed Jonahem kubek gorącej kawy, który Jonah przyjął z wdzięcznością.

- Jonah - powiedział miękko i podniósł kubek do ust.

Kawa była gorzka, zawieszista, ale rozgrzewała. Slug podał mu jeszcze paczkę babeczek.

- Do kawy trzeba zjeść coś słodkiego.

I one zostały przyjęte z wdzięcznością i szybko pochłonięte. Kiedy skończył, wyrzucił opakowanie do kosza, otarł usta.

- Szukam pracy. Nie wiesz, czy u was coś by się nie znalazło?

Slug się zasepił.

- Nie wiem, synu. Tu wszędzie trudno o pracę. Ciężko się ludziom żyje.

Zanim Jonah zdążył cokolwiek powiedzieć, na stację wpadła zadyszana drobna kobieta w czerwonej flanelowej koszuli i dżinsach. Podbiegła do Sluga i chwyciła go za ramię.

- Slug, Slug, musisz mi pomóc. Hobo wpadł w potrzask, nie mogę go uwolnić.

Slug pobladł.

- A niech to, Luce, strasznie mi przykro, ale przecież ten twój potwór nie da mi się do siebie zbliżyć.

Kobieta była zupełnie wytrącona z równowagi, Jonah słyszał to w jej głosie, widział w zachowaniu.

- Ja pomogę - zaofiarował się Jonah.

Lucia Maria Andahar podskoczyła. Była tak zdenerwowana, że wcześniej nie zauważyła Jonaha. Spojrzała na obcego o złotych oczach, brązowej skórze i ciemnych włosach.

- Nie znam cię - rzuciła.

- Ja ciebie też nie znam - odparł spokojnie. - Chcesz pomocy czy nie?

- Jak się nazywasz?

- Jonah.

Luce sięgnęła do kieszeni spodni.

- Mam składany nóż. Jonah uśmiechnął się.

- Czuję się ostrzeżony.

- Jeśli spróbujesz mnie zaczepiać, już nie żyjesz. W Luce desperacja walczyła o lepsze z lękiem, ale Hobo tkwił w potrzasku i ktoś musiał go uwolnić. Potrzebowała pomocy.

- Nie zrobię ci krzywdy, możesz mi wierzyć. Ton jego głosu uspokoił ją.

- Chodź ze mną.

Jonah wziął plecak i ruszył za nią.

Szła szybko w kierunku lasu na zboczu góry. Była drobna, ale była z niej niezwykła siła. Wspaniała kobieta.

ROZDZIAŁ TRZECI

Starła się nie myśleć, jakie zagrożenie może stanowić ten obcy mężczyzna. Teraz najważniejszy był jej pies, któremu groziło, że wykrwawi się na śmierć. Przedzierała się przez gęste zarośla, pnąc się po stromym zboczu. Nie dało się biec, mimo to Jonah przyspieszył kroku, wyprzedził zaskoczoną Luce.

Co on robi, przecież nie wie, dokąd iść? - pomyślała zdenerwowana. A jednak przekonała się po chwili, że nieznajomy bezbłędnie obiera drogę.

Z daleka było słycać skomlenie Hobo. Obcy musiał usłyszeć je znacznie wcześniej niż ona i szedł w kierunku, z którego dobiegał dźwięk.

Jonah czuł ból rannego zwierzaka. Nie myślał już o tym, że jest zimno, a jego męczy głód i pragnienie. To nie miało żadnego znaczenia, nie teraz. Im bliżej był psa, tym lepiej rozumiał, jak poważna jest sytuacja. Pies płakał, umierał.

W kilka sekund Jonah był już przy nim. Wszędzie wokół było pełno krwi, bo nieszczęsny Hobo usiłował uwolnić się z pułapki. Kiedy zobaczył obcego, szarpnął się i opadł bez sił.

- Spokojnie, mały - przemówił do niego Jonah i pies prawie natychmiast się uspokoił.

Jonah odłożył plecak i uklęknął na skrwawionej ziemi. Hobo usiłował odgryźć sobie tylną łapę, byle się tylko uwolnić.

Na moment ich oczy się spotkały. W psich było tyle bólu, że Jonahowi ścisnęło się serce.

- Wiem - powiedział cicho i ujął głowę psa w dłonie. - Wiem.

Pies zadrżał, ale zaraz polizał rękę Jonaha, wyciszył się, jakby dotyk obcego uśmierzał ból.

- Dasz sobie radę, mały. Trzymaj się, wydostanę cię z potrzasku.

Chwytał metal z obu stron i próbował rozewrzeć. Ogarnęło go dziwne uczucie. Ktokolwiek zastawił tę pułapkę, musiał być podłym człowiekiem, ale teraz nie było czasu o tym myśleć.

Luce po chwili dobiegła na miejsce i opadła na kolana obok Jonaha. Nie rozumiała, dlaczego Hobo, który był prawdziwą zakałą miasteczka, leży tak spokojnie, nie próbuje pokazywać zębów ani kąsać tego obcego człowieka.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Poszukaj czegoś do podważenia zapadki, jakiejś mocnej gałęzi.

Luce natychmiast się zerwała, przez chwilę przeszukiwała poszycie pod drzewami i wróciła z odpowiednią gałęzią.

- Nada się?

Jonah zerknął przez ramię.

- Tak. Chodź tutaj. Kiedy ci powiem, wsuniesz gałąź do potrzasku.

Jonah napiął wszystkie mięśnie, wziął głęboki oddech i pociągnął z całych sił.

- Teraz! - zawołał.

Metalowe zęby wbijały się w palce, raniły do kości.

Kiedy solidna gałąź była już na miejscu, mógł uwolnić psią łapę.

- O, mój Boże - zawołała przerażona Luce. - Twoje palce, strasznie to wygląda, krwawisz.

- To nic takiego.

- Ale ta krew...

Luce wyczuła jakąś zmianę w powietrzu i po chwili usłyszała wycie wilka. Dziwne, bo wilki to raczej nocne zwierzęta. Nie potrzebowali teraz spotkania z wilkiem, kiedy Hobo nie mógł się bronić.

Spojrzała na dłonie Jonaha. Po ranach nie było śladu, skóra znowu była nienaruszona. Luce zaczęła wątpić, czy to wszystko dzieje się naprawdę.

Hobo leżał z przeraźliwie poharataną łapą, nie przestawał krwawić.

Luce zrobiło się niedobrze. Jeszcze nigdy w życiu tak się o nikogo nie bała. Miała tylko jego jednego na świecie i nie wyobrażała sobie życia bez niego.

Położyła mu dłoń na głowie, a on poskarżył się cicho, zaskomlił. Krew nadal nie krzepła, oczy były szkliste na skutek bólu i szoku. Oczy Jonaha wydawały się dziwnie roziskrzzone. Luce zapało dech w piersiach, przez moment miała wrażenie, że patrzy w oczy dzikiego zwierzęcia, nie człowieka. Potem odwrócił głowę i świat jakby stanął w miejscu, las zamarł, ucichł. Powietrze, chłodne i rześkie, zrobiło się ciężkie, tak, że rudno było oddychać. Zobaczyła, jak mężczyzna kładzie dłonie na ranie. Ciągłe głaskała głowę Hobo, gdy poczuła nieznośny, parzący żar. Gwałtownie cofnęła rękę. Grunt zadrżał. Jonah zrozumiał, że przekazuje jej w jakiś sposób swoją energię. Odepchnął ją i Luce, zaskoczona, przewróciła się na plecy. Nie powinna tego widzieć, a jednak patrzyła, widziała aureę otaczającą Jonaha, czuła wibrację drzew. A potem spojrzała na Hobo. Wielkie białe-rude psisko było całe i zdrowe, tylko mocno oszołomione tym, co się wydarzyło. Luce wsparła dłonie na biodrach, przeszły ją ciarki.

- Jak mówiłeś, że się nazywasz?

- Jonah Szary Wilk. A ty, mała wojowniczeko? Luce zaczerwieniła się.

- Lucia Maria Andahar, ale wszyscy mówią do mnie Luce.

Tak, była twarda, to się czuło. Twarda, dzielna, spokojna.

Dotknęła medalika ze świętym Krzysztofem, który nosiła na szyi, ale nie spuszczała wzroku z twarzy Jonaha. Dopiero teraz mogła mu się lepiej przyjrzeć. Regularne, wyraziste rysy, czarne, lśniące włosy, podobna jak u niej ciemna cera, ale musiał być Indianinem, nie Latynosem. Wargi lekko drgnęły, jakby miał ochotę się uśmiechnąć. Złoto-bursztynowe oczy, napawające ją wcześniej lękiem, teraz spoglądały łagodnie. No i to, co zrobił dla Hobo...

Luce przemknęła przez głowę niezwykła myśl.

- Jesteś aniołem, prawda? - zagadnęła.

- Nie jestem aniołem - odpowiedział łagodnie. - Nie spadłem z nieba. Jestem znikąd - dodał po chwili zastanowienia.

- Jak się tego nauczyłeś?

- Nie wiem - odparł Jonah i rozejrzał się za swoim plecakiem.

Dojrzał go, podniósł i zarzucił na ramiona.

- Odchodzisz? - zapytała Luce.

- Nie jestem ci już potrzebny.

Czy to było przeczucie, czy ostrzeżenie? Luce po prostu święcie wierzyła, że jeśli nigdy już nie zobaczy tego człowieka, nie przeboleje tej straty. Spojrzała na niebo. Słońce już zachodziło, zapadał zmierzch.

- Zanim zejdziesz do miasta, zrobi się ciemno.

- Ja zawsze śpiam pod ciemnym niebem - odpowiedział miękko.

Luce przestąpiła z nogi na nogę, westchnęła głęboko.

- Nie wiem, dlaczego to mówię, bo instynkt i intuicja podpowiadają mi, że powinnam pozwolić ci odejść.

Jonahowi drgnęło serce, wiedział, co Luce powie, widział to w jej oczach. Co byłoby z nimi dwojgiem za parę lat, za wiele lat? Jak by żyli? Czy mógł ryzykować jej bezpieczeństwo i swoją niezależność? Czekał, to ona musiała przemówić.

Spojrzała w jego oczy i nagle odniosła wrażenie, że śni. Widziała ich razem, w łóżku i przy stole.

Dzielących łzy i śmiech. Te sceny emanowały poczuciem niebezpieczeństwa. Ocknęła się, czar przysł.

Jonah był zdumiony, że na milczenie Luce zareagował zawodem, rozczarowaniem. Skinął powoli głową, jakby akceptował jej decyzję, i odwrócił się, by odejść.

- Zaczekaj - zawołała za nim. - Dokąd idziesz?

- Nigdzie.

- Co cię sprowadziło do miasteczka?

- Szukam pracy, miejsca, gdzie mógłbym złożyć głowę.

Luce ogarnęła panika, ale musiała to powiedzieć.

- Chyba wiem o czymś, ale musiałbyś poczekać do jutra. Jeśli przyjmiesz zaproszenie, możesz przenocować, dostaniesz kolację i ciepłe łóżko.

To było znacznie więcej, niż oczekiwał.

- Przyjmę zaproszenie.

- Chodź za mną. - Gwizdnęła na Hobo i zaczęła się piąć po zboczu, z psem u nogi. Jonah szedł za nimi.

Po kilku minutach wyszli na polanę.

- Jesteśmy.

Jonah patrzył zachwycony na mały słodki domek, z ganeczkiem, okiennicami, stromym dachem. Do drzwi wiodła kamienna ścieżka, po bokach stały skrzynki, teraz oczywiście pozbawione kwiatów.

- To twój dom?

- Nie. Ja mam tylko to, co na grzbiecie. Nawet Hobo jest panem samego siebie. Mieszka ze mną, bo tak wybrał, a nie dlatego, że jestem jego właścicielką. Domek należy do Bridie Tuesday, starszej pani, która mieszka jeszcze trochę wyżej. Pozwała mi tu mieszkać, a ja jej pomagam, w czym mogę i kiedy mogę. A pracuję jako kelnerka w skromnej knajpce, na dole, w Little Top.

Luce zadrżała pod powiewem zimnego wiatru.

- Chodźmy do środka, nie stójmy na tym chłodzie.

Ktoś, kto zbudował ten dom, zadbał o wygodny rozkład pomieszczeń. W pokojach były lampki oliwne i świece, ale Luce zapaliła światła.

- Masz elektryczność?

- Mam też bieżącą wodę, termę elektryczną.

- Ślicznie tutaj.

- Prawda? Bridie mieszkała tutaj trzydzieści lat, a potem zbudowała większy dom, wyżej na stoku. Chodź za mną - powiedziała, trochę skrepowana obecnością zupełnie obcego człowieka w domu. - Pokażę ci, gdzie będziesz spać.

Luce poprowadziła go z bawialni do małego przedpokoju. Otworzyła jedne drzwi, zapaliła światło i cofnęła się. Jonah wyczuwał jej skrepowanie, ale nie wiedział, co powiedzieć, żeby poczuła się

swobodniej. Wszedł do pokoju. Było tu metalowe łóżko, staroświecka szafa i niewielki stolik. Na podłodze leżał szmaciany dywanik mieniący się wszystkimi kolorami, na ścianie nad stolikiem półka z niewielkim zbiorem książek.

Luce włożyła ręce do kieszeni, ale zaraz je wyjęła i splotła z tyłu.

- Nikt tu nie sypia. Pościel jest czysta, chociaż zmieniana już jakiś czas temu. Gdyby było ci zimno w nocy, w szafie jest dodatkowa kapa. Rozgość się, a ja tymczasem przygotuję kolację.

- Bardzo ci dziękuję za gościnę.

- Też żyłam kiedyś w drodze, jak ty. Pomogłeś mi, chciałam się jakoś odwdzięczyć. Łazienka jest obok, gdybyś chciał się odświeżyć. W szafie znajdziesz ręczniki i myjkę. Czuj się jak u siebie.

Jonah chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Co właściwie mógłby jeszcze dodać?

Postawił plecak na podłodze koło szafy, wyjął czyste ubranie, ręczniki, myjkę i poszedł do niewielkiej łazienki ze staroświecką wanną na wygiętych nogach, długą i głęboką, w której świetnie się wypoczywa po trudach całego dnia. Po chwili moczył się w wodzie, wdychając miły zapach mydła Luce. Skorzystał też z jej szamponu. Taki to był luksus, że nie chciało mu się wychodzić z wody, ale czekał na niego ciepły posiłek, a on już nie pamiętał, kiedy ktoś zaprosił go do stołu.

Wypuścił wodę z wanny i wstał. Kiedy zaczął się wycierać, Luce zapukała do drzwi.

- Kolacja będzie za pięć minut.

- Zaraz wychodzę - zawołał.

Z kuchni dochodziły już apetyczne zapachy i Johanowi z głodu zaburczało w żołądku. Znowu pomyślał, że od wieków nie jadł porządnego ciepłego posiłku. Odwiesił ręcznik, myjkę, zabrał brudne ubranie i rzucił na podłogę w swoim pokoju. Przeszedł do głównego pokoju, gdy Luce wyjmowała właśnie jedzenie z piekarnika.

- Pomogę ci. - Odebrał od niej duży garnek i postawił na stole. - Jeśli to smakuje tak samo jak pachnie, jestem w niebie.

Luce ta pochwała sprawiła prawdziwą przyjemność. Nie pamiętała już, kiedy ktoś ją chwalił, nie próbując wskoczyć do jej łóżka. Zaraz się zachmurzyła, bo kto powiedział, że jej gość jest inny? Zaprosiła go do domu, chociaż nic o nim nie wiedziała. Poza tym, że uratował Hobo, który teraz wygrzewał się przy kominku. Jednak człowiek, który ma dar życia w dłoniach, nie może być zły.

- To tylko zupa jarzynowa. Siadaj, przyniosę chleb i miód. - Wyjęła z piekarnika formę z chlebem kukurydzianym, a Jonah na chwilę zamknął oczy, rozkoszując się zapachami i ciepłem domu Luce.

Zapytała go, czy jest aniołem, ale to ona miała skrzydła. To jedzenie, ten przytulny mały domek... Czuł się jak w niebie.

Kiedy otworzył oczy, Luce napełniała jego miskę zupą.

Drżącą dłonią sięgnął po kawałek ciepłego chleba, ugryzł pierwszy kęs i zadrżał.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Luce i zaraz zmieszła. - Przepraszam, idiotyczne pytanie do człowieka, który jest cudotwórcą.

Jonah podniósł wzrok.

- Nie... ja tylko... od dawna... -Nie rozklejaj się, nie dukaj, mów jasno. - Od bardzo dawna nie byłem w prawdziwym domu.

Luce była ciekawa, co go wypchnęło na drogę, skazało na tułaczkę, ale nie śmiała pytać. Nalała sobie zupy i posmarowała chleb.

Hobo przeprowadził inspekcję stołu, potem zajął się swoją kością. Od czasu do czasu dotykał nosem rozharatanej po południu nogi, choć nie było to już konieczne. Nie było rany, minął ból, została tylko pamięć. I człowiek, który go uratował. Dla psa to naprawdę dużo.

Jedli w milczeniu, do rozmowy wrócili, kiedy już zaspokoili pierwszy głód.

- Skąd jesteś? - zagadnęła Luce.

Na wspomnienie maleńkiej osady na Alasce, w której się wychował, wrócił dawny ból.

- Z Alaski.

Oczy Luce rozszerzyły się.

- To prawda, że przez pół roku mają tam białe noce?

Jonah uśmiechnął się.

- Mniej więcej.

- Masz tam rodzinę?

Wrócił myślami do Adama. Kiedy go widział po raz ostatni, leżał na podłodze w kuchni w kałuży krwi.

- Mój ojciec, właściwie przybrany ojciec, był lekarzem. Nie żyje już.

Przybrany ojciec? To zaintrygowało Luce.

- A twoi naturalni rodzice?

- Nie mam pojęcia, kim byli. - Nie chciał opowiadać, że wykarmiła go wilczyca i w jaki sposób się o tym dowiedział. W obawie, że pytania za chwilę staną się zbyt osobiste, szybko przejął inicjatywę.

- A ty? Skąd jesteś i jak się znalazłaś w Little Top? Sama jedna...

- Nie jestem sama. Dzięki tobie mam ciągle mojego Hobo.

Jonah wyczuł, że Luce coś ukrywa. Czyżby uciekała przed kimś lub przed czymś?

- Gdzie się wychowałaś? Twarz Luce rozpuściła się.

- W barrio w Los Angeles. Tata prowadził kafejkę, a mama sprzątała w bogatych domach. Byłam najmłodsza z czwórki rodzeństwa. Żyliśmy skromnie, ale to było wspaniałe życie.

Jonah wyczuł jej smutek, zanim jeszcze Luce zdążyła dokończyć swoją opowieść.

- Latem zawsze jeździliśmy do Teksasu, do rodziny mamy. Kiedy miałam czternaście lat... Byliśmy w drodze na wakacje i jechaliśmy właśnie przez Nowy Meksyk. Wszyscy zasnęliśmy. Wiem tyle, ile mi opowiedziano. Zderzyliśmy się czołowo z ciężarówką. Wszyscy zginęli, tylko ja przeżyłam - dokończyła ze ściśniętym gardłem i upiła łyk wody.

Jonah westchnął. Do tej pory nie mogła zapomnieć. Jej cierpienie było tak głębokie i tak świeże jak w tamtych strasznych dniach.

- Przykro mi - powiedział cicho. Luce wzruszyła ramionami.

- Mnie też. - Uniosła brodę. - Mieszkałam u ciotki i wuja. Odeszłam na swoje, kiedy miałam szesnaście lat i od tamtego czasu ich nie widziałam.

- Dlaczego zerwałaś z rodziną? Twarz Luce na moment stężała.

- Powiedzmy, że miałam dość zalotów wuja. Jonah drgnął.

- Jeszcze raz... bardzo mi przykro.

- Daj spokój. Dość rozmów o przeszłości. - Podniosła się gwałtownie. - Zmyję naczynia.

- W czym ci pomóc?

- Możesz przynieść trochę drzewa do kominka. Znajdziesz je na lewo od ganku.

Rozmowa otworzyła stare rany, jej i jego. Resztę wieczoru spędzili w milczeniu. Za każdym razem, gdy Jonah szedł po naręcze polan, Hobo wiernie mu towarzyszył.

Jonah wnosił właśnie ostatnie naręcze drewna, gdy zaczęło padać.

- Myślałam, że deszcz nas ominie. Będę jutro brnęła do pracy w potwornym błocie.

- Nie masz samochodu? Luce wzruszyła ramionami

- Nie na wiele by mi się przydał. Nigdy nie nauczyłam się prowadzić.

Jonah spochmurniał, przypomniał sobie, że Luce jest kelnerką w taniej restauracji w Little Top. Ułożył ostatnie polana koło kominka i rozejrzał się po wnętrzu pełniącym rolę i pokoju dziennego, i kuchni. Meble były stare, ale funkcjonalne, panował idealny porządek, wszystko lśniło czystością. Nigdzie nie dostrzegł jednak pralki ani suszarki.

- Nosisz pranie do pralni w miasteczku? - zainteresował się.

- Na szczęście nie. Za tą niebieską kotarą w kuchni stoi pralka z suszarką. Jeśli masz coś do uprania, proszę bardzo, nie krępuj się.

- Dziękuję. Luce westchnęła.

- Nie, to ja ci dziękuję za Hobo - powiedziała i wiedzioną odruchem położyła mu dłoń na piersi.

Najpierw słyszała tylko równe bicie serca, a potem jakby w nią piorun strzelił. Nie mogła oddychać, zaczerpnąć powietrza. Przed oczami zawirowały wszystkie kolory tęczy, potem miała wrażenie, że tonie, zanurza się w otchłań. Chciała coś powiedzieć, ale język był jak kołek.

Wydawało jej się, że traci zmysły, całe ciało przeszył dreszcz orgazmu, nogi się pod nią ugięły... Gdyby Jonah jej nie chwycił, upadłaby.

Był wstrząśnięty jej gwałtowną reakcją. Żadne z nich nie wiedziało, co się właściwie stało, co jest między nimi. Jonah miał kobiety, ale nigdy nie było to nic więcej poza zaspokojeniem potrzeb seksualnych. Teraz natomiast miał wrażenie, że na moment przestał być sobą. Oboje trwali w oszołomieniu, nie mogli uwierzyć, że to wydarzyło się naprawdę. Luce nie wiedziała, czy ma czuć zakłopotanie czy też prosić o więcej.

- Co się stało? - szepnęła.

Jonah pokręcił głową.

- Nie wiem... Ja nigdy... Wybacz. Nie zrobiłem tego rozmyślnie.

Luce przegarnęła włosy, wygładziła spódnicę. Całe ciało było tak pobudzone, że materiał sprawiał jej ból.

Cofnęła się o krok, potem o jeszcze jeden.

- Dobry Boże.

Jonah nie mógł dojść do siebie. Nigdy nie był człowiekiem trapiącym wątpliwościami, widział więcej niż inni, miał jakąś zwierzęcą intuicję i akceptował tę część swojej osoby. Ale coś takiego...

Luce była przerażona, a on uniósł dłonie, jakby prosił o wybaczenie.

- Proszę, nie musisz się mnie bać. Ja nigdy bym... - Przesunął drżącą dłonią po twarzy. - Jeśli nie ma nic więcej do roboty, pójdę już do swojego pokoju. I jeszcze raz ci dziękuję, że nie muszę spędzać nocy pod gołym niebem.

Odszedł pospiesznie, zanim Luce mogła go zatrzymać. Nie wiedziała, co zaszło między nimi, ale miało to potęgę burzy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kładł się do łóżka rozbity, wytracony z równowagi. Nigdy tak nie reagował na żadną kobietę, dopiero teraz na Luce. To było coś więcej niż energia fizyczna czy chemia. Nigdy nie wierzył w pokrewieństwo dusz, ale teraz już nie był taki pewien. Dziwne, ale zastanawianie się nad przyszłością cofało jego myśli w przeszłość. Nieczęsto wspominał Snow Valley, niektóre sprawy były zbyt bolesne, wołał do nich nie wracać. Jednak dzisiaj przyśnił mu się tamten dzień, kiedy jego świat runął.

Gdyby można było cofnąć czas, nigdy nie wsiadłby do helikoptera z Harleyem Dubois i nie poleciał do obozu myśliwskiego Wilsona Tinglinga. Wiadomość od Wilsona była nagląca, a sprawa wyglądała poważnie. Jeden z myśliwych, których był przewodnikiem, został zaatakowany przez niedźwiedzia grizzly, a doktor Adam Lawson znajdował się daleko, odbierał właśnie poród o dwie godziny drogi od miejsca wypadku.

Gdyby Jonah wiedział, co go czeka, nie wsiadłby do helikoptera, żeby ratować koszmarnie pokiereszowanego turystę. Przywrócił temu człowiekowi życie, przyczyniając się do śmierci ojca, ale skąd mógł wiedzieć, co się stanie? Zresztą Adam był pierwszym, który nalegał, by Jonah poleciał. Wspomnienie powracało w snach, tragiczne, straszne, trudne do zniesienia.

Zaczynało się od chmary much na siatkowych drzwiach prowadzących do kuchni. Potem krew. Jej metaliczny zapach. Gęsta,

lepka, zakrzepła kałuża. Ojciec leżący na podłodze i jedno słowo wypisane w kałuży jego krwi.

UCIEKAJ

Nie musiał nawet sprawdzać, wiedział, że ojciec nie żyje od pewnego czasu i już nikt nie może mu pomóc.

Zanim zdołał ogarnąć myślą koszmar, który miał przed oczami, usłyszał kroki. Odwrócił się i zobaczył wchodzących z salonu trzech zamaskowanych, ubranych na czarno mężczyzn.

Nie miał pojęcia, kim są, po co przyszli, ale instynkt samozachowawczy i ostatnie ostrzeżenie Adama podpowiedziały mu, co robić. Rzucił się ku drzwiom. Uderzył dłonią w drzwi siatkowe, chmara much wzbiła się w powietrze. Wpadł jak oszalały na ganek. Jego serce krwawiło, jego świat runął.

Za sobą słyszał głosy morderców. Krzyczeli, by go pochwycić.

Nie pobiegł do bramy, tylko przerzucił się przez wysoki na metr drewniany płot i gnał dalej. Nie miał pojęcia, jak wyczuły, że jest w niebezpieczeństwie, ale zobaczył watahę wilków. Miał nadzieję, że pomogą mu umknąć.

Kiedy przebiegał koło otwartych drzwi kuchennych sąsiada, usłyszał wołanie:

- Jonah, co się stało?

Thomas Klingkit, z którym Jonah często wybierał się na ryby. Zdążył mu tylko krzyknąć:

- Padnij!

Nawet nie miał czasu spojrzeć, czy Thomas go usłuchał, biegł dalej. Ku swemu przerażeniu usłyszał strzał i głośny krzyk.

Serce podeszło mu do gardła, Thomas dostał kulę, a on nie mógł mu pomóc, musiał biec dalej.

Wilki były już blisko.

Wiedział, że one zaatakują każdego, nie dbając o własne bezpieczeństwo, ale ci mężczyźni byli uzbrojeni, dlatego mieli przewagę.

Rozległ się kolejny strzał, i Jonah poczuł przeszywający ból w ramieniu. Zachwiał się, upadł. Wilki natychmiast go otoczyły. Przetoczył się na plecy, chciał wstać, ale wilki otoczyły go tak ciasnym kręgiem, że nie mógł się ruszyć.

Mordercy go dogonili, ale widząc wilki, nie wiedzieli, co robić. Jeśli zaczną strzelać do zwierząt, zginie i Jonah, a był wart dla ich szefa ogromne pieniądze, musiał przeżyć. Jeden z morderców po prostu spieprzył sprawę, celując do niego.

Kiedy jeden z wilków ruszył do ataku, któryś z napastników strzelił. Wielki basior padł na ziemię. Jonah poczuł jego krew na twarzy.

- Nie strzelać, nie strzelać - zawołał, ale ten mężczyzna znowu uniósł broń, na szczęście kompan chwycił go za rękę.

- Do diabła, Hicks, słyszałeś, co mówił Bourdain? Mamy przywieźć go bez jednego zadrapania. Jak myślisz, co ci powie, kiedy usłyszysz, że rozwaliłeś chłopakowi ramię?

- Odwołaj te wilki! Każ im odejść! - Hicks wpadł już w panikę. - Każ im odejść albo wybije całą watahę.

- Idźcie - poprosił Jonah.

Wilki jeszcze się ociągały, wahały, w końcu jednak usłuchały Jonaha i zwartą gromadą odeszły do lasu.

- Kim jesteście? - zwrócił się do morderców. - Czego ode mnie chcecie?

- Nie zadawaj pytań.

- Zabiliście mojego ojca.

- Nie chciał współpracować.

Ludzie bezradnie przyglądali się z okien, jak Jonah jest wrzucany do helikoptera.

Kiedy helikopter się uniósł, pobiegli do domu Adama Lawsons, ale nikt już nie mógł pomóc Adamowi. Dopiero teraz zdali sobie sprawę, że przez swoją bierność stracili lekarza i uzdrowiciela.

Sen spychał Jonaha w coraz głębsze kręgi piekła. Hobo to wyczuł, bo zaskomlał, podniósł się ze swojego posłania przy kominku i ułożył pod drzwiami Jonaha.

Luce nie mogła spać. Kręciła się, rzucała, wreszcie wstała i wyszła na ganek. Deszcz przestał już padać, pojawiła się mgła. Luce zadrżała, objęła się ramionami, spojrzała ku pobliskim drzewom. Nigdy nie mogła wiedzieć, czy on tam nie stoi i nie patrzy...

Od pięciu miesięcy żyła w ustawicznym strachu, a to odciskało ślad na psychice. Była coraz bardziej rozstrojona, coraz bardziej podatna na stres.

Nie wiedziała, czy któregoś dnia po powrocie z pracy nie zostanie go czekającego na nią w domu. Czy będzie dość silna, by stawić mu czoło, walczyć o życie? Będzie to walka zacięta, ostateczna i któreś z nich zginie, nie mogło być inaczej. Nie była kobietą biernie czekającą na śmierć.

Wszystko zaczęło się od kartki na drzwiach jej domku. „Obserwuję cię”. Znalazła ją któregoś dnia po powrocie z pracy przybitą długim gwoździem do kolumny ganku.

Następnego dnia zaniósła kartkę na policję, ale szef lokalnego posterunku zbagatelizował sprawę. Oznajmił, że to zapewne cichy wielbiciel i nie ma tu żadnego zagrożenia życia. Jakie działania miałby niby podjąć? Przydzielić Luce całodobową ochronę?

Luce zatem zaczęła zwracać baczniejszą uwagę na ludzi, którzy ją otaczają, ale nie dostrzegła nic niepokojącego. Nie zauważyła, by ktoś ją śledził, nikt jej też nie zaczepiał. Wszystko zdawało się toczyć normalnym, spokojnym rytmem.

Kiedy już myślała, że to był taki głupi, obrzydliwy żart, pojawiła się kolejna kartka, a potem kolejna, jedna za drugą, coraz obrzydliwsza.

Ostatnia, napisana czerwonym atramentem, była najbardziej agresywna, zawierała jawną groźbę.

Dostanę cię, a potem wejdę w ciebie i spodoba ci się to, ale potem będziesz gorzko żałować.

A teraz pułapka, w którą złapał się Hobo. Gdy tylko zobaczyła uwięzionego psa, wiedziała, kto ją zastawił. Ten człowiek próbował wyeliminować jej jedynego przyjaciela.

I wtedy pojawił się nieoczekiwanie w jej życiu Jonah. Obcy człowiek.

Nie potrafiła powiedzieć, co im przyniesie przyszłość, ale cieszyła się całym sercem z jego obecności. Od pięciu lat mieszkała w Little Top, wciąż samotna i zdana na czyjąś łaskę. Bridie Tuesday poznała przez przypadek, ale wtedy, przed laty było to jak odpowiedź na jej modlitwy.

Wreszcie przestała być bezdomna. Minęło pięć lat, a ona ciągle mieszkała w małym domku i była kelnerką w miasteczku - raczej niewiele osiągnęła przez ten czas. Jeśli nie liczyć przybłąkanego Hobo, który łaskawie postanowił z nią zostać, nie miała nikogo.

Pomyślała o przybyszu, który spał w gościnnej sypialni. Ciekawe, czy zastanie go tu jeszcze o świcie. Wyglądał na człowieka, który nigdzie nie może zagrzać miejsca. Nigdy nie spotkała nikogo podobnego, dlatego nie umiała przewidzieć, jaką podejmie decyzję.

Omiotła jeszcze wzrokiem linię drzew, nie zauważyła nic niepokojącego i wróciła do środka, starannie zamykając za sobą drzwi na zamek. Małe lampki nocne w kontaktach przy podłodze dawały wystarczającą ilość światła. Podeszła do lodówki, żeby wziąć coś do picia.

I wtedy on wyłonił się z mroku.

- Lucia.

Serce podeszło jej do gardła, chwyciła się oparcia kanapy.

- Niech cię diabli wezmą. Ależ mnie wystraszyłeś.

Ciągle jeszcze wytrącony z równowagi złym snem, mruknął tylko:

- Przepraszam, nie wiedziałem, że nie śpisz.

Serce jej jeszcze waliło jak oszalałe, gdy nacisnęła kontakt. I natychmiast pożałowała, że zapaliła światło. Lepiej było trwać w półmroku. Jonah wyglądał wspaniale. Ciemna skóra, świetna muskulatura, kruczoczarne włosy, opadające na plecy. Stał w lekkim rozkroku, jakby się gotował do ataku. I te piękne, niezwykle oczy utkwione w jej twarzy. Przeszedł ją dreszcz, kiedy przypomniała sobie swój orgazm. A przecież tylko położyła mu dłoń na piersi. Ciekawe, czy gdyby kiedyś się kochali,

uszlaby z tego doświadczenia z życiem. Nie chciała zachwycać się zupełnie obcym człowiekiem, ale, Boże dopomóż, tak właśnie było.

- Nie jest ci zimno?

Widział, że czuje się przy nim nieswojo. Cholera, ona też go onieśmiałała. Była między nimi więź seksualna, która nie zdarza się między obcymi.

- Zdażyłem się zahartować i uodpornić - powiedział miękko.

Luce zawstydziała się. Bardzo dobrze z własnego doświadczenia wiedziała, jak to jest być bezdomnym, żyć ciągle w drodze. Ignorować wszelkie niewygody.

- Dzisiaj możesz się ogrzać. Pamiętaj, że w szafie jest jeszcze jedna kapa.

- Pamiętam. Ty też nie możesz spać - stwierdził raczej niż spytał.

Luce zacisnęła palce.

- Przestało padać.

Jonah nic nie powiedział na tę gwałtowną zmianę tematu.

Hobo zapiszczał.

Luce zamrugła. Kompletnie o nim zapomniała.

- Chcesz wyjść, staruszkule? - Podeszła do drzwi i otworzyła. Uderzył ją zimny wiatr. Hobo polizał jej stopy i wymknął się.

- Zaczekam, aż wróci, a ty idź się położyć - powiedziała.

Jonah odwrócił się, powędrował do pokoju i wrócił po chwili. W dzinsach. Podeszedł do kominka, dorzucił kilka polan. Zajęły się prawie natychmiast. Smużki dymu powędrowały w górę i zniknęły w kominie.

Luce obserwowała grę mięśni na plecach Jonaha, gdy tak klęczał przed kominkiem. Miała ochotę dotknąć gładkiej skóry, ale przypomniała

sobie po raz kolejny, co się działo, gdy wieczorem położyła mu rękę na piersi.

- Nie zamierzasz wracać do łóżka?

- Miałem zły sen.

Nie spodziewała się usłyszeć akurat takiej odpowiedzi.

- Nie wiedziałam, że anioły mają koszmary senne. Jonah kołysał się na piętach, kolana objął ramionami i patrzył w ogień.

- Nie jestem aniołem.

- Dla mnie jesteś.

Zawahał się i zmienił pozycję. Teraz siedział przed kominkiem z wyciągniętymi nogami.

- Wiem - powiedział cicho.

Luce też usiadła przy ogniu, ale z daleka, żeby Jonah nie zrozumiał tego opacznie. Ot, po prostu postanowiła ogrzać się przy kominku.

Milczeli oboje, Luce od czasu do czasu zerknęła na niego, ale tylko wtedy, gdy była pewna, że on tego nie widzi. W końcu ciekawość wzięła górę.

Wiedział, o co chodzi, sam sobie zadawał to pytanie. Od kiedy pamiętał. Nie będzie potrafił jej powiedzieć, ale wiedział, że Luce tak czy inaczej musi zapytać.

- Kim jesteś tak naprawdę?

Milczał bardzo długo, w końcu podniósł na nią wzrok. Wydawało jej się przez moment, że widzi w jego oczach ból i smutek, ale zamrugął i uznała, że to tylko jej imaginacja.

- Jonah Szary Wilk.

Luce się zachmurzyła. Nie to przecież miała na myśli.

- Co z twoimi biologicznymi rodzicami? Czy inni w twojej rodzinie mają ten sam dar, który ty posiadasz?

Zaskoczyło go jej pytanie. Nigdy w ten sposób nie myślał o swojej nieznannej rodzinie. Mogą być obdarzeni podobną mocą? Są tacy jak on? A jeśli tak, to gdzie ich szukać?

- Nie wiem. Nie mam rodziców.

Luce zaśmiała się jakoś smutno.

- Każdy ma rodziców, a przynajmniej miał kiedyś.

- Mój przybrany ojciec Adam Lawson był jedynym rodzicem, jakiego znałem.

- Istnieją przecież sposoby odszukania rodziców. Strony internetowe, na których wystarczy się tylko zarejestrować.

- Nie mam żadnych informacji, nic, co na takiej stronie mógłbym umieścić. Nic do powiedzenia.

Luce nie rozumiała problemu.

- Wystarczy data urodzenia i miejsce. Potrafią odnaleźć rodziców nawet przy jeszcze bardziej skąpych danych.

- Ja nie znam daty i miejsca.

Luce dalej nalegała.

- Twój przybrany ojciec musiał coś wiedzieć. Jak do niego trafiłeś, gdzie się urodziłeś, takie rzeczy.

Oczy Jonaha rozbłysły w blasku ognia.

- Kiedy pojawiłem się w Snow Valley, nie miałem jeszcze dwóch lat. Przyprowadziła mnie wilczyca. Ojciec opowiadał, że polizała mnie po twarzy i zostawiła siedzącego na środku ulicy.

Luce poczuła się, jakby dostała cios w splot słoneczny. Nie potrafiła dobyć słowa z gardła, nie mówiąc już o sensownym zdaniu. Nie wiedziała, że w miejsce ciekawości na jej twarzy odmalował się szok, a potem strach.

Jonah z powrotem zapatrzył się w płomienie, zaskoczony, że obchodzą go jej uczucia.

Rozległo się drapanie do drzwi i ciche szczeknięcie, przerywając niezręczną ciszę.

- To Hobo - oznajmiła Luce zupełnie niepotrzebnie.

Miał mokre i trochę zabłocone łapy, a na sierści kropelki mgły. Pisnął na powitanie pani, spojrzał na nią przepaszająco, liznął Jonaha w ucho i ułożył się obok niego. Hobo zaakceptował go bezwarunkowo. Jonah zastanawiał się, czy kiedyś w podobny sposób zaakceptuje go jakaś istota ludzka. Ludzie najczęściej albo okazywali mu wdzięczność, albo panicznie się go bali.

Położył dłoń na głowie psa, czuł idące od niego ciepło tak samo wyraźnie, jak czuł zdenerwowanie Luce.

Bardzo możliwe, że ich znajomość przerodzi się w coś poważniejszego. Od niego zależało, jak rozwinie się sytuacja. Miał nad nią przewagę, ale musiał być bardzo ostrożny. To przez niego zginął Adam, Luce też mogła znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Nie chciał mieć na sumieniu kolejnej zbrodni, nie dałby sobie z tym rady, tym bardziej, że łatwo mógł zapobiec tragedii.

Podeszła do ognia i stanęła blisko, kilka kroków za nim.

- Jonah...

- Idź do łóżka - powiedział miękko.

- Ale...

Odwrócił się z takim wyrazem twarzy, że serce jej stanęło.

- Idź. Do. Łóżka.

Słowa brzmiały jak razy. Nabrzmiałe emocjami. Nie była gotowa na związek z nim. Może nigdy nie będzie. Odwróciła się bez słowa i poszła do sypialni, zamykając drzwi na klucz.

Westchnął i zamknął oczy.

Gdyby wiedziała, jak łatwo otworzyć taki zamek, już nigdy nie zmrużyłaby oka.

Jonah nie był jedynym, któremu tej nocy śniły się koszmary z przeszłości. Majorowi Bourdainowi nie dawało spokoju, że jego ostatni najemnik tak fatalnie zawiódł. Od ponad dziesięciu lat polował na Jonaha Szarego Wilka. Bez skutku. Zawiedziony, zły, śnił tej nocy o ich drugim spotkaniu.

Telefon odezwał się, gdy Major kończył lunch. Usłyszał dzwonek, zmarszczył czoło i zjadł ostatni kęs swojego ulubionego sernika. Kiedy kamerdyner przyniósł mu telefon, Major zmarszczył czoło jeszcze bardziej. Nie lubił, gdy przeszkadzano mu w posiłkach.

- Tak?

Dzwoniący nie zwrócił uwagi na cierpki ton. Miał do przekazania wiadomość, na którą Major czekał.

- Dopadliśmy go! - oznajmił Hicks.

Major się uśmiechnął.

- Gdzie jesteście?

- Właśnie wsiadamy do helikoptera.

- Jak poszło?

- Mieliśmy małe problemy, ale poradziliśmy sobie.

- O jakich ty problemach mi tu pieprzysz, do cholery?

- Jego ojciec... Był trochę oporny.

- Jak to, oporny?

- Nie żyje.

Major stracił cierpliwość.

- Do jasnej cholery. Przecież wam mówiłem, że właśnie takich rzeczy nie wolno wam robić. Niech was piorun strzeli. Miało być po cichu. To miała być czysta robota.

- Stało się. Za kilka godzin będziemy.

- Jeśli zajmie się tym policja, wy będziecie odpowiadać, ja się wszystkiego wyprę.

- Pieprz się, Bourdain. To ty wydawałeś rozkazy. To twoje zlecenie.

- Spróbuj tego dowieść. Nie było żadnych pieniędzy. Dla mnie jesteś bratem mojego ogrodnika. Jeśli policja zainteresuje się, dlaczego były połączenia między naszymi numerami, powiem, że prowadziliście rodzinne rozmowy.

- To teraz ty posłuchaj... - zaczął Hicks.

- Nie, to ty będziesz słuchał. Zamknij się. Bądźcie tu najszybciej, jak możecie, później pogadamy.

Odłożył słuchawkę z najwyższym niesmakiem, ale to szybko mu przeszło. Cel uświęca środki.

Będzie go miał, a cała reszta to straty uboczne. Poza tym rzeczywiście nikt mu nie udowodni, że wynajął tych głupców. Helikopter miał fałszywe znaki identyfikacyjne. Gdy wylądował w posiadłości Majora i cenny ładunek zostanie dostarczony na miejsce, znowu się go przemaluje. Nikt nigdy nie namierzy maszyny, która poleciała do Snow Valley. Koniec

końców panowie wykonali zadanie. Wstał, by sprawdzić, czy wszystko przygotowane na przyjęcie jego długo wyczekiwanego gościa.

Dostanie jedną z najprzystrojnionych sypialni w rezydencji, minibarek, telewizor z dużym ekranem, najnowszy typ wideo.

Major nie wiedział, że Jonah nigdy nie grał w gry wideo, telewizji w ogóle nie ogląda, a alkohole go nie pociągają. W świecie Majora liczyło się, kto ma najlepsze, najnowsze zabawki. W świecie Jonaha liczyły się rodzina i wolność. Dwie rzeczy, które Bourdain właśnie zniszczył.

W sypialni był gruby, miękki dywan, luksusowe łóżko i równie luksusowa pościel. W ogromnych oknach ciemnoczerwone zasłony z najlepszego brokatu, oraz, ma się rozumieć, kraty. Drzwi zostały zaopatrzone w zewnętrzny zamek.

Pomyślał o wszystkim, ale nie przewidział, że wtrąci się natura, by naprawić wyrządzone przez niego szkody.

Czekał na tarasie, wypatrując niecierpliwie helikoptera, gdy znowu odezwał się telefon. Wrócił do salonu i podniósł szybko słuchawkę.

- Halo?

W tle słyszał wrzaski, przekleństwa, jakiś łomot, a potem krzyk Hicksa, prosto do ucha:

- Są wszędzie, wszędzie. Wlatują przez okna, dostają się w śmigła. Pełno piór i krwi. Jedna wielka masakra.

Bourdainowi na moment stanęło serce. Co tam się na litość boską dzieje? Czy oni zaraz się rozbiją?

- Hicks, spróbuj się opanować, ja nic nie rozumiem.

- Ptaki. Najróżniejsze ptaki... Orły, sokoły, jastrzębie, kaczki, gołębie, duże ptaki, małe ptaki... Lecą za nami cały czas, nie możemy się w żaden sposób od nich uwolnić.

- Jak to?

- To wina tego cholernego Indianina. Najpierw wilki, teraz ptaki...

Powiedz mu, żeby im kazał odlecieć, bo jak nie, to go...

- Hicks!

- Co?

Głos Bourdaina zabrzmiał zimnym, morderczym tonem.

- Jeśli mu coś zrobisz, to cię zabiję własnymi rękami. Słyszysz mnie?

Hicks zaśmiał się histerycznie, jakby tracił zmysły.

- Ty mnie zabijesz? Nie będziesz miał już szansy. Ten sukinsyn, którego tak strasznie pożądasz, cię wyreczy.

- Macie dostarczyć go tu żywego! - wrzasnął Bourdain.

- Wszyscy chcemy wrócić żywi - odkrzyknął Hicks i znowu zaśmiał się tym chorym śmiechem, który brzmiał jak skrzek. - Posłuchaj, to pierwsze i jedyne ostrzeżenie. Zabezpiecz lepiej tę swoją cholerną rezydencję, bo jeśli wrócimy cało, to będziesz miał kłopoty, poważne kłopoty.

I Hicks się rozłączył. Nikt pierwszy nie rozłącza się z Majorem Bourdainem. A Hicks to zrobił i jeszcze wykrzykiwał pogrożki. Major stał przez chwilę, słuchając sygnału, a potem trzasnął słuchawką.

O co tu chodzi? Najpierw wilki, teraz ptaki... Co on wygadywał?

Wyszedł na taras i spojrzał w niebo.

Bourdain przewrócił się na drugi bok i wrócił do swojego snu.

Siedział w bibliotece i czytał, gdy nagle zdał sobie sprawę, że robi się ciemno. Spojrzał na zegarek; za wcześnie jeszcze na zachód słońca. Widocznie nadchodzi burza i nadciągnęły czarne chmury. Odłożył książkę i wyjrzał przez okno. Spodziewał się czarnych chmur, tymczasem to były całe chmury ptaków. Przypomnił sobie, co Hicks wykrzykiwał o ptakach atakujących powracający helikopter.

Co się dzieje do diabła?

Wyszedł na zewnątrz i tej sekundzie ogłuszyła go kakofonia ptasich głosów, jakby tysiące tych stworzeń nawoływało się nawzajem, te na ziemi, w jego ogrodzie, w lesie za ogrodem, w krzewach i koronach drzew i te krążące na niebie. Poczul ciarki i ogarnięty paniką wpadł z powrotem do domu, zatrzasnął drzwi, wrócił do biblioteki. Ale tu też nie poczul się bezpiecznie. Zawsze lubił ten pokój z wielkimi oknami, lecz teraz wielkie okna okazały się mankamentem, bo za nimi rozgrywał się ptasi horror.

Po chwili przybiegła przerażona gospodyni.

- Panie Bourdain, wszędzie ptaki. Mnóstwo ptaków. To omen. Znak od Boga. Stanie się coś strasznego. Czuję to - wykrzykiwała.

- Proszę natychmiast wracać do kuchni i nie wychodzić na krok, dopóki nie powiem, że można - też wrzasnął.

Nie trzeba jej było powtarzać dwa razy. Uciekła, trzymając się za głowę.

Wreszcie Bourdain usłyszał znajomy odgłos nadlatującego helikoptera i podbiegł do okna. Maszyna mignęła mu przez moment, po czym zniknęła, otoczona ptasią chmurą. Równocześnie odezwał się telefon. Z całą pewnością Hicks. Nie miał ochoty wysłuchiwać jego nieopanowanych wrzasków i idiotycznych pogrózek.

- Hicks?

Schrypnięty od krzyku, drżący głos.

- Cholera, cholera. Idziemy już do tylnego wejścia. Otwórz te pieprzone drzwi.

Bourdain rzucił słuchawkę i podbiegł do drzwi na tyłach domu.

Zobaczył trzech swoich najemników ciągnących Jonaha. Starali się biec, a ze wszystkich stron otaczały ich ptaki, atakowały, szarpały za włosy, dziobały w twarze, rozrywały ubrania. Słyszał pełne bólu krzyki.

Kiedy byli jakieś pięćdziesiąt metrów od wejścia, nie wiadomo skąd pojawił się potężny kondor kalifornijski. Zaatakował jednego z mężczyzn i wielkimi szponami oderwał mu głowę. Trysnęła fontanna krwi.

Mężczyzna upadł, jeszcze się ruszał, ale już nie żył.

- Przenajświętsza Panienko - szepnął Bourdain i zaczął się cofać.

- Otwórz, otwórz - krzyczał Hicks. Bourdain usłyszał trzask pękającej szyby, zaczął uciekać. W chwilę później zobaczył, jak drzwi otwierają się z impetem. Rozległy się przekleństwa i wszyscy rzucili się do wewnętrznych pokoi, słysząc po drodze, jak trzaskają kolejne szyby, obsypując ich deszczem szkła. Ptaki krzyczały, ludzie też krzyczeli, rozpętało się prawdziwe pandemonium.

Bourdain rzucił się na ziemię i zakrył głowę rękoma.

Kiedy wszyscy przerażeni i zdyszani zebrawi się w pokoju, zaczęli wrzeszczeć na Bourdaina, żeby wypuścił Indianina. Ptaki spadały na niego ze wszystkich stron, atakowały bezlitośnie: dziobały, szarpały, drapały po twarzy, biły skrzydłami.

- Puść go, puść, o Jezu - domagał się Hicks.

- To wy go puście - odkrzykiwał Bourdain.

- Już go puściliśmy. Powiedz mu po prostu, żeby sobie poszedł.
Bourdain odwrócił się i spojrzał prosto w oczy człowieka, który uratował mu życie.

Ptaki były wszędzie. Tak wypełniały pokój, że ciężko było oddychać.

- Wynoś się - zawołał Bourdain, broniąc się przed rozwścieczonymi ptakami. - Wynoś się i każ im natychmiast przestać. Boże... Niech one już przestaną, niech przestaną.

Indianin nie poruszył się, nie odezwał, a potem, ku przerażeniu Bourdaina uniósł się lekko nad podłogę i jakby wylewitował z pokoju.

Długie czarne włosy powiewały za nim niczym na silnym wietrze. Podniósł ręce, obrócił się jeszcze w progu, powiedział kilka słów, których nikt nie zrozumiał, i pokój opustoszał. Niebo było czyste, a cisza we wnętrzu bardziej zatrważająca niż ptasi zgiełk i harmider.

Indianin stał jeszcze w progu. Patrzył uważnie na Bourdaina.

- Zabiłeś mojego ojca - powiedział twardym, zimnym tonem.

Bourdain wzdrygnął się, zadrżał i zwiesił ramiona.

- Ja nie... Nie chciałem tego... To nie... - Wziął głęboki oddech i zaczął jeszcze raz: - Mam miliony, mogę zapłacić...

Na kamiennej dotąd twarzy Indianina pojawił się wyraz absolutnego niedowierzania.

- Chcesz zapłacić za śmierć mojego ojca? Uważasz, że pieniądze zrekompensują zbrodnię? Zapłacisz i będzie w porządku?

- Ja... To było niezamierzone... Ja nie chciałem... Nie polecałem...

Jonah Szary Wilk wycelował palec w Bourdaina w geście oskarżenia.

- To przez ciebie doszło do tragedii. Ty jesteś za to odpowiedzialny. -
Odwrócił się i chciał odejść.

- Zaczekaj! Nie możesz tak...

Indianin znowu się odwrócił, ponownie wycelował palec w twarz Bourdaina. W jego bursztynowych oczach była taka furia, że Bourdain odruchowo cofnął się o krok, ale to nie wystarczyło. Z podniesionego palca poszedł niebieski elektryczny błysk, jak wyładowanie, mała elektryczna błyskawica. Trafił w pierś i Bourdain upadł.

Jeszcze długą chwilę po zniknięciu Indianina nie mógł złapać tchu. Dał jakiś znak Hicksowi i jego kompanowi, czegoś od nich chciał, ale oni go zignorowali i uciekli, w przeciwną stronę niż Jonah. Nie chcieli, oczywiście, by pomyślał, że go ścigają, a czuli, że muszą koniecznie wydostać się z tego domu, zaczerpnąć powietrza.

Bourdain zaklął bezradnie. Ciągle leżał na podłodze pośród pozostawionego po ptasim pandemonium chaosu.

Drżącą dłonią dotknął piersi, potem rozpiął koszulę, spojrzął. Tuż nad sercem był wypalony znak, jak piętno. Wolał nie myśleć, że rana mogła sięgnąć głębiej, dotrzeć do samego serca.

Bourdain usiadł w pościeli. Chwycił oddech. Drżał, był zlany zimnym potem. Z przekleństwem na ustach wygrzebał się z łóżka i niepewnym krokiem przeszedł do łazienki.

Łazienkowy zegar wskazywał zaledwie trzecią nad ranem.

Jakże chciał, by ta noc już się skończyła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Luce otworzyła drzwi, żeby wypuścić Hobo na poranny spacer. Było bardzo zimno, mgła, która podniosła się po nocnym deszczu, już opadła. Gdy tylko Hobo wybiegł, zamknęła szybko drzwi.

Na kominku buzował ogień, a ona nie dokładała przecież polan. Spojrzała ku drzwiom Jonaha, były uchylone tak jakby wyszedł w pośpiechu, nie troszcząc się o ich domknięcie. Zatem przed wyjściem dorzucił jeszcze do kominka i poszedł swoją drogą, wieczny wędrowiec. Westchnęła rozczarowana. Nie sądziła, że tak właśnie zareaguje na jego odejście. Znowu została sama ze swoim strachem przed anonimowym prześladowcą, który słał jej pogróżki.

Powoli przeszła do kuchni i zabrała się za przygotowywanie porannej kawy.

- Dla mnie też wystarczy?

Luce podskoczyła, rozsypując trochę ziarenek kawy na kuchennym blacie. Sprzątnęła je szybko do zlewu. A więc nie odszedł. Dziwne, jak ogromna radość ją ogarnęła, gdy wyłonił się niespodzianie ze swojego pokoju.

- Jeszcze tu jesteś!

Chyba czegoś nie zrozumiałem, pomyślał i spochmurniał.

- Nie powinienem?

- Nie, skąd. Przeciwnie... Wspaniale, że zostałeś. Po prostu pomyślałam... - Westchnęła i odwróciła wzrok, żeby nie musieć podziwiać jego długich nóg i szerokich ramion. Jonah nie musi wiedzieć, jakie

wrażenie na niej wywiera, jakie budzi w niej myśli. - Dajmy już spokój i zacznijmy nowy dzień.

Jonah uśmiechnął się i jego interesująca twarz nabrała nieodpartego uroku, z którego najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy.

- Zacznijmy nowy dzień - zgodził się. - To nawet ładnie brzmi.

Wystarczy kawy i dla mnie, Lucio?

Lucia. Już drugi raz tak się do niej zwrócił. Od śmierci matki nikt jej tak nie nazywał, a w jego ustach brzmiało to jakoś swojsko, jakby znali się od lat. Westchnęła, bo to czyniło go kimś bliskim. Zbyt bliskim. Luce, przestań, zgromiła się, i zabierz za przygotowanie śniadania.

- Wystarczy. Jest mnóstwo.

Jonah usłyszał nerwowość w jej głosie. Widział spojrzenia, jakie posyłała w jego stronę, kiedy myślała, że on tego nie dostrzega. Wzajemne przyciąganie było oczywiste, ale Jonah nie mógł sobie pozwolić na rozmowy na ten temat. Z oczywistego powodu, nad którym zastanawiał się w nocy. Nie może jej narażać.

- Mogę ci w czymś pomóc?

- Nie. - Luce wbiła jajka na patelnię. - Dam sobie radę sama.

- Dobrze spałeś? To znaczy, czy usnąłeś po powrocie do łóżka?

Luce kiwnęła głową.

- A ty?

Pomyślał o śnionym ostatniej nocy koszmarze. Znowu przechodził tamto piekło, ale z drugiej strony nocleg pod dachem w czasie ulewy był nieoczekiwanym luksusem, którego nie można nie docenić.

- Ciepły pokój, miękkie łóżko to wspaniałości, o których już zapomniałem. Dziękuję ci bardzo.

Luce wzruszyła ramionami.

- Ciągłe dziękujesz, a ja ciągle odpowiadam to samo. Po tym, co zrobiłeś dla Hobo, przynajmniej tyle mogłam ci zaofiarować.

Spojrzeni na siebie, jakby czekali na kolejny niezbyt wygodny temat konwersacji, ale żadnemu się do tego nie spieszyło, więc Luce zaczęła smażyć jajka, a Jonah spokojnie się przyglądał, oparty o blat kuchenny.

Poruszała się pewnie, każdy gest był dobrze obliczony, spokojny i wyważony, ona sama taka była. Musiało jej być trudno, młoda kobieta zupełnie sama w świecie, ale walczyła dzielnie o swoją egzystencję. Zastanawiał się, kto może jej grozić.

- Lucia?

Uniosła powoli brodę, mocniej chwyciła łyżkę. Sposób, w jaki on wymawia jej imię... Wciągnęła powietrze i spojrzała na niego z wymuszonym uśmiechem.

- Tak?

- Wiesz, zastanawiam się nad tym potrzaskiem zastawionym w lesie.

Luce zmarszczyła czoło.

- O czym myślisz?

- Wiesz, kto mógł to zrobić? Masz jakieś podejrzenia?

Spojrzała na niego i odwróciła wzrok. Chciała mu opowiedzieć o trwającej od kilku miesięcy historii, o tajemniczym prześladowcy, o pogrózkach, ale nie wiedziała, jak zacząć.

Jonah sam się domyślił, że sprawa musi już trwać od pewnego czasu.

- Kto to robi?

- Co robi?

- Kto ci grozi?

Luce zrobiła się biała jak kreda, cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- A ty skąd, do diabła, wiesz? - mruknęła oszołomiona.

Jonah wzruszył ramionami.

- Nieważne. To nie ma w tej chwili znaczenia. Ważne, że ktoś cię straszy, że czegoś wyraźnie się boisz.

- Niczego się nie boję i nikt mnie nie straszy - burknęła niechętnie. - Jeszcze pięć minut i śniadanie będzie gotowe.

Jonah wiedział, że trafił w jej czuły punkt, wyczuwał też jej strach. Skoro nie chciała nic powiedzieć i przerwała rozmowę, nie próbował już dalej naciskać. Zastanawiał się tylko, dlaczego tak zareagowała.

Patrzył na nią jeszcze długo, myśląc, jak bardzo jej pragnie, po czym rozgarnął ogień na kominku i dorzucił nowe polano. Odsunął się, otrzepał dłonie, bo na pogrzebaczku było trochę popiołu.

Zadziwiające, być w czyimś domu, wykonywać codzienne czynności. Był tak długo człowiekiem drogi, że zapomniał już, co znaczy mieć swoje miejsce na ziemi. Wyszedł na zewnątrz, w chłodny poranek.

Po nocnym deszczu i mgle powietrze było nieruchome, mroźne. Zszedł z ganku, dotknął butem ziemi: rozmokła, ale nie błotnista. Wsadził dłonie do kieszeni dzinsów, kopnął jakiś kamyk i ruszył w stronę przecinki między drzewami na lewo od domu.

Rzadkie pasma mgły jeszcze unosiły się w powietrzu, zaczął wiać lekki wiatr. Nagle między drzewami pojawił się wspaniały jeleni. Stał chwilę i przyglądał się Jonahowi.

- Dzień dobry, a jakże. Ja też życzę dobrego dnia - powiedział Jonah miękko.

Wydechane powietrze tworzyło małe chmurki wokół nozdrzy zwierzęcia. Miał ogromne, rozrośnięte poroże, które nosił na głowie niczym koronę przyozdobioną diamentnikami rosy. Klejnot godny króla.

Jonah czuł bicie jego serca, słyszał, jak krew pulsuje w jego żyłach. To było piękne, silne zwierzę o wspaniałym ciele.

- Jeszcze raz dobrego dnia, bracie. Wędruj bezpiecznie.

I jeleń zniknął między drzewami, a w chwilę później z przeciwnej strony pojawił się Hobo.

- Cześć, staruszk - przywitał go Jonah, a pies zaczął wywijać ogonem. - Nie udało ci się upolować tej wiewiórki? To nic, nie przejmuj się, może następnym razem będzie lepiej.

Hobo podszedł do Jonaha i polizał jego palce szorstkim językiem.

Jonah nachylił się i podrapał go pod brodą.

- Jesteś dobrym psem, Hobo - zapewnił.

Hobo pisnął, a potem zapatrzył się na coś. Zobaczył nadlatującego jastrzębia, a kiedy ten wylądował na ramieniu Jonaha, szczechnął cicho na powitanie ptaka. Lądowanie trochę zabolalo, ale Jonah się nie przejmował.

Wyciągnął rękę i wielkie ptaszysko przeniosło się na ramię, wbijając szpony w ciało, po czym zaskrzeczało przeraźliwie. Jonah zadrżał.

Ostrzeżenie. Jedyne, jakie mogło przyjść. Alarm.

Kiedy ptak odleciał, rzucił się biegiem do domu, chwycił kurtkę z wieszaka i już chciał wybiec, gdy Luce go zatrzymała.

- A ty dokąd pędzisz?

- Starsza pani upadła. Trzeba tam biec. Potrzebuje pomocy.

Luce wyłączyła gaz, wstawiła patelnię z jajkami do piekarnika. Jeszcze nic nie rozumiała. Jaka starsza pani? I jak on się dowiedział?

- Nie słyszałam, żeby ktoś podjeżdżał. Skąd wiesz? - dopytywała się, biorąc kurtkę.

- Nieważne.

Luce zmarszczyła czoło.

- Słuchaj, jeśli ktoś tutaj był, żeby mnie zawiadomić, to dlaczego marnował czas, zamiast samemu zająć się staruszką? To jakaś kompletna bzdura, nie sądzisz? Albo czyjaś niewytłumaczalna głupota.

Jonah westchnął. Luce i tak już bardzo dużo o nim wiedziała. Widziała, co potrafi. Dlaczego nie miałby powiedzieć jej prawdy?

- Jastrząb mi powiedział. Jeśli chcesz iść ze mną, to się pośpiesz. Mówił, że ona umiera.

Luce otworzyła tylko usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo, po prostu nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć, miała pustkę w głowie. Przerazający człowiek. Albo przerażający i szalony. A może nie. W każdym razie trzeba jej oddać, że nie wypowiedziała się na temat rozmów z jastrzębiami.

- Idę z tobą, oczywiście - powiedziała, zapinając kurtkę.

Kiedy Jonah ruszył w górę, zamiast w dół, do Little Top, ogarnęła ją panika. To musi być Bridie Tuesday, właścicielka domku, bo tylko ona mieszka wysoko na zboczu.

- Poczekaj! Na pewno w dobrym kierunku idziesz?

Jonah obejrzał się na nią.

- Na pewno. Muszę biec.

Luce ścisnęło się serce. A więc to jednak Bridie.

- Biegnij. Ja zaraz tam będę.

Luce próbowała biec razem z nim, ale Jonah był znacznie szybszy, miał długie nogi. Jej było trudniej, tym bardziej że droga była śliska po ostatnim deszczu. Wkrótce zniknął jej z oczu, z Hobo biegnącym tuż za nim. Luce nie rozumiała, co się dzieje. Jednak miała okazję przekonać się już o jego zażyłości ze zwierzętami, widziała, co potrafią jego dłonie. Pozostawało tylko modlić się, żeby zdążyli na czas, jeśli to, co mówił, jest prawdą.

Bridie Tuesday wstała rano z bólem głowy. Miała osiemdziesiąt lat i znała swoje ciało lepiej od wszystkich lekarzy razem wziętych. Uznała, że dwa kubki czarnej kawy, tak zawsze pijała - dwa kubki bez mleka, i śniadanie powinny pomóc. Niestety, nie pomogły. A tu trzeba nakarmić kury i wydoić krowę. Ból głowy musi poczekać, zajmie się nim później.

Wiedząc, że ranek będzie nie tylko zimny, ale i wilgotny, a wiadomo, że wilgotne zimno jest o wiele bardziej dojmujące, opatulila się porządnie, wzięła wiadro na mleko i wyszła tylnymi drzwiami.

Tak jak się spodziewała - resztki mgły w powietrzu, wilgotno i bardzo zimno, paskudny ranek. Niestety Molly trzeba wydoić, kurczaki nakarmić. Życie toczyło się swoją koleją i rządziło swoimi prawami, niezależnie od jej samopoczucia.

Po godzinie stara Molly była wydojona i nakarmiona. Kury wypuszczone z kurnika chodziły po podwórku i dziobały pracowicie, co im rozrzuciła. Poszła do kurnika pozbierać jajka, zastanawiając się, czyby sobie dzisiaj nie upiec jakiegoś ciasta. Mogłaby być na przykład szarlotka.

Szarlotka zawsze przypominała jej Franklina. Franklin zwykł powtarzać, że lubi tylko dwa rodzaje ciasta: ciasto na ciepło i na zimno. A potem zaśmiewał się w głos, jakby powiedział coś niezwykle

oryginalnego. Bridie wtórowała mu, chociaż słyszała to jego powiedzonko setki razy.

Kochała go z całego serca i chciała umrzeć razem z nim, kiedy odszedł. Nie wiedziała tylko, jakim sposobem. Skończyć z sobą? Nigdy. Człowiek nie pozbawia sam siebie życia, to było całkowicie sprzeczne z jej pojmowaniem świata. Miesiąc czy dwa opłakiwała męża, a potem zaczęła go kląć, że zostawił ją samą. Powoli wracała do rzeczywistości, od której człowiek ucieka, kiedy jest w żałobie. Powiedziała sobie, że skoro została sama na świecie, to przynajmniej uczciwie przeżyje czas, który jej pozostał. Będzie się starać, koniec płaczów i złości. Od śmierci Franklina minęło dziesięć lat, a ona hodowała krowy i drób. I piekła szarlotki, które zjadała potem samotnie. Zamknęła drzwi od kurnika i ostrożnie, trochę niepewnym krokiem ruszyła przez podwórko w stronę domu.

Weszła do kuchni zadyszana; ból głowy wzmógł się. Pot wystąpił na czoło. Postawiła na stole koszyk z jajkami i nagle poczuła, że robi się jej niedobrze, zbiera na wymioty.

- Za ciepło mam w domu, przegrzałam, stąd to wszystko - mruknęła i postanowiła wyjść na ganek zaczerpnąć powietrza.

Ostatnia rzecz, którą zapamiętała, to uśmiechnięta twarz Franklina za płotem.

Minęło jakieś dziesięć minut od momentu, gdy jastrząb przyniósł Jonahowi wiadomość. Jonah biegł tak szybko, jak tylko mógł, Hobo dzielnie dotrzymywał mu kroku. Jonah bał się, że przybiegnie za późno.

Do domu Bridie, stojącego na końcu drogi, dotarł ubłocony i zdyszany. To chyba musi być tu, ale nie był pewien, dom wydawał się pusty. Podniósł głowę, jastrząb krążył nad dachem. A więc to jednak tu.

Pobiegł wąskim podjazdem i zobaczył leżącą na ziemi obok schodków starą kobietę.

Wziął głęboki oddech i poczuł, że w staruszce tli się jeszcze odrobina życia. Kruchotka, malutka, ale serce, chociaż bardzo nierówno, ciągle jednak biło. Żyje.

Dobiegł do niej i opadł na kolana.

Hobo zaskomlał i polizał starą panią po policzku, a Jonah przesunął dłonią wzdłuż jej ciała, szukając przyczyn niedomagania oraz omdlenia.

- Cofnij się - nakazał Jonah ostro i pies natychmiast posłusznie się odsunął, położył plackiem na ziemi, znieruchomiał, czekał.

Jonah niemal od razu wiedział, że wszystkie kości są całe, ale Bridie musiała mieć wylew. Puls był słabutki, serce ledwie pracowało. Była wątłutka i taka stara, zapewne chętnie by już odeszła, ale nie pozwoli jej umrzeć.

Musi zanieść ją do domu, ona nie powinna leżeć na tym zimnie, na wilgotnej ziemi. W sekundzie zmienił zdanie. Życie ledwie się w niej tliło, nie było już czasu na przenoszenie Bridie.

Obrócił ją i położył na plecach. Wziął głęboki oddech i powietrze wokół nich natychmiast się zmieniło. Sierść Hobo zjeżyła się, zaskomlał nerwowo, ale nie mógł się ruszyć.

Jonah czuł w sobie narastającą moc. Nigdy nie wiedział, skąd przychodziła, skąd się brała, ale wiedział, jak jej używać.

Musiał skupić się na tym, co chore, i uleczyć. W mózgu Bridie była krew, lekarze nazywają to wylewem, a dla niego było to wyzwanie. Położył dłonie na ubłoconym czole Bridie, zamknął oczy i zaczął odmawiać cichą modlitwę.

Luce dotarła do domu Bridie zdyszana, coś okropnie kłuło ją w boku. Kiedy zobaczyła Jonaha klęczącego przy starszej pani leżącej obok ganku, poczuła jeszcze większy lęk o swoją gospodynię.

Opadła na kolana w pobliżu. Serce biło jej jak oszalałe, w uszach szumiała krew. Tym razem wiedziała już, że nie wolno dotykać ani Bridie, ani Jonaha. Tym razem nie była już tak wstrząśnięta na widok aury otaczającej Jonaha i Bridie, raczej zadziwiona, ciągle zdumiona tym, co się dzieje.

A aura była biała i tak świetlista, że porażała oczy, a przy tym miała w sobie moc i siłę przyciągania. Luce zapragnęła znaleźć się tam, w środku, gdzie działo się coś niezwykłego i potężnego, jakby jakaś nieznana siła kosmiczna interweniowała w ziemski świat.

Ponieważ pomóc nie mogła, pochyliła głowę i zaczęła się modlić. Pomyślała, że to najlepsze dopełnienie cudu, którego właśnie była świadkiem.

Franklin przesłał Bridie całusa i zniknął za płotem.

Zawołała za nim:

- Franklinie, poczekaj, poczekaj. Dlaczego odchodzisz? Ile razy można odchodzić? Znowu zostawiasz mnie samą.

Ale Franklin nie słyszał już jej nawoływań. Otworzyła oczy i z najwyższym zdziwieniem stwierdziła, że leży na ziemi.

Kłaść się na ziemi, żeby odpocząć? Jakie to niemądre, pomyślała. Człowiek odpoczywa w domu, w fotelu, w łóżku, na leżance. Zamrugła kilka razy i jeszcze bardziej się zdziwiła, bo zobaczyła, że nachyla się nad nią jakiś mężczyzna.

- Franklin? - ucieszyła się w pierwszym momencie. Wrócił jednak, usłyszał jej wołanie. Nie, to przecież nie Franklin, tylko ktoś całkiem obcy. Wszystko mieszało się jej w głowie. Co jest czym? Co ja mogę wiedzieć, pomyślała. Jestem starą kobietą, która ucięła sobie drzemkę na mokrej ziemi.

Jonah otarł jej błoto z czoła. Pokręcił głową.

- Nie, nie Franklin.

Widział to samo, co ona, zanim się przebudziła. Widział jej Franklina, słyszał nawoływania i czuł, wiedział, że ta kobieta gorąco, głęboko musiała kochać swojego męża. Czuł, jak bardzo cierpiała po jego odejściu, słyszał, jak go potem wyklinała, że zostawił ją samą na świecie, a sam zabrał się do lepszego. Zazdrościł ludziom takiej miłości.

Sam nigdy nie zazna niczego podobnego, nie będzie mógł dzielić życia z kobietą, nie będzie w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa. Śmierć ojca była tego najlepszym dowodem. Wszystko dlatego, że jakiś opętany człowiek chce go upolować.

Człowiek, który zawział się niszczyć wszystko wokół Jonaha. Chory człowiek z milionami, który nie potrafi zrozumieć, że nawet gdyby go upolował i zamknął w tej swojej rezydencji, Jonah nigdy w niczym mu nie pomoże, nigdy nie położy na nim rąk. To przecież proste, oczywiste. Zatem po co to wszystko?

Zanim Bridie miała szansę zapytać Jonaha, kim jest i co właściwie robi przy jej domu, podniósł ją ostrożnie z ziemi. Patrzyła długą chwilę w jego oczy, by w końcu stwierdzić, że zapomniała już, o co chciała zapytać. Trudno.

Nie protestowała, kiedy wziął ją na ręce i poniosł do domu. W końcu chyba jednak podjął rozsądną decyzję. Bo, po co niby leżeć w zimny dzień na mokrej ziemi przed gankiem. W letni dzień na trawie, na kwietnej łące albo w lesie, w cieniu drzew, to zupełnie, co innego.

Zobaczyła, że jest Luce, że wchodzi z nimi do domu, i od razu poczuła się lepiej, przynajmniej jakaś znajoma, przyjazna, bliska twarz. To miło, że przyszła ją odwiedzić. Luce o nią dba i zawsze jej pomaga. Kochana dziewczyna.

- Witaj, skarbie. Jak dobrze cię widzieć. Nie wiedziałam, że będę miała gości. Szkoda, upiekłabym wcześniej szarlotkę.

Luce, której zbierało się na płacz i największym wysiłkiem woli powstrzymywała łzy, uśmiechnęła się tylko i kiwnęła głową. Gardło miała tak ściśnięte, że nie była w stanie dobyć słowa. Jonah zatrzymał się w korytarzu, a ona wskazała, gdzie znajduje się sypialnia Bridie.

- Tam, pierwsze drzwi na lewo. Muszę cię umyć i przebrać, Bridie.

Ubranie Bridie było mokre i ubłocone, dłonie też miała w błocie. Jak ja muszę wyglądać, pomyślała zawstydzona. Przesunęła palcami po twarzy, zobaczyła, że są ubłocone.

- Na litość boską, co ja z siebie zrobiłam? Straszycie jakieś chyba. Co się właściwie stało? Nic nie rozumiem. W głowie mi się płacze.

- Spadła pani z ganku - powiedział Jonah, idąc za Luce do sypialni Bridie. - Posadzę panią teraz na łóżku, a Luce pomoże pani doprowadzić się do porządku. Musi panią umyć, trzeba się przebrać w suche, czyste rzeczy.

Bridie długo intensywnie wpatrywała się w tego obcego człowieka. Kiedy posadził ją na łóżku i chciał się cofnąć, jej drobna ręka wystrzeliła z zadziwiającą szybkością i chwyciła go mocno za nadgarstek.

Jonah odgadywał rodzące się w jej głowie pytanie, widział pomieszanie połączone z ciekawością.

Uśmiechnął się.

- Tak, proszę pani, jestem trochę dziwnym człowiekiem.

Oczy Bridie rozszerzyły się ze zdumienia. Mocniej zacisnęła palce na nadgarstku Jonaha.

- Przecież ja tego nie powiedziałam. Nic nie mówiłam. Pomyślałam, ale nie powiedziałam.

Jonah przyklęknął, nie chcąc stać nad staruszką niczym jakiś wielkolud.

- Pani cała drży, musi pani szybko zmienić ubranie i obmyć błoto.

Ale Bridie okazała się bardzo upartą staruszką, której nie da się tak łatwo zbyć. Nie puszczała Jonaha.

- A teraz, o czym myślę? - zapytała prawie zaczepnie.

Jonah zawahał się, jego twarz jakby w jednej chwili się zamknęła.

- To, skąd pochodzę, nic pani nie powie o tym, kim w rzeczywistości jestem. To są pytania nie-przynoszące prawdziwych odpowiedzi.

Bridie przymrużyła oczy i spojrzała na Luce, czyniąc z niej kolejną ofiarę swoich indagacji. Tak, Bridie była bardzo upartą staruszką.

- Co właściwie mi się stało, skarbie? Tylko mów mi prawdę, prosto z mostu. To, że jestem stara, nie oznacza, że trzeba się ze mną pieścić. Znasz mnie dobrze, więc powinnaś o tym wiedzieć.

Luce nie wiedziała zupełnie, co odpowiedzieć. Trudna sytuacja.

- Musisz spytać Jonaha, Bridie.

Spojrzenie Bridie powędrowało na powrót do wysokiego, czarnowłosego mężczyzny.

- Czekam, mój panie. Żądam wyjaśnień - oznajmiła ze stanowczością w głosie.

Jonah lekko dotknął czoła upartej staruszki. Poczynała sobie wyjątkowo rezolutnie jak na osobę, która dwadzieścia minut wcześniej miała wylew.

- Pamięta pani, że bolała ją głowa? - zapytał, myśląc, że w tym swoim uporze jest aż rozczulająca.

Teraz z kolei Bridie dotknęła czoła, przesunęła po nim z pewnym roztargnieniem. Z tego wszystkiego całkiem zapomniała o porannym bólu głowy.

- Rzeczywiście, masz rację, młody człowieku. Obudziłam się rano z bólem głowy, to prawda. Ale jak co rano zrobiłam, co było do zrobienia... krowa, kury, wybrałam jajka... Wróciłam do domu... jakaś taka osłabiona, nieswoja... Wyszłam na ganek... - zmarszczyła czoło - więcej nie pamiętam.

- Ten jastrząb, który często lata nad pani oborą, a i pewnie czasami skradnie jakiegoś kurczaka, bo już takie są jastrzębie... No więc ten jastrząb widział, że pani upadła i czym prędzej przyleciał powiedzieć mi o tym. Przybiegłem najszybciej, jak mogłem, żeby panią ratować. To wszystko.

Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył.

Bridie wpatrywała się w oczy dziwnego mężczyzny. Franklin zawsze powtarzał, że o człowieku można bardzo dużo powiedzieć na podstawie

jego oczu. Ten tutaj nie odwracał wzroku. Odwzajemniał spokojnie spojrzenie, nawet nie mrugał.

- Uratowałeś mnie? - upewniała się Bridie. Kiwnął głową w odpowiedzi.

- Tak.

- Jak?

Wyciągnął dłonie.

Bridie patrzyła na nie przez chwilę, potem podniosła wzrok.

- A co się właściwie stało?

- Czy to ważne?

- Owszem, dla mnie to ważne, łaskawy panie - oznajmiła Bridie.

- Coś pękło, jakaś żyłka z głowie. Umierała pani. Zdażyłem jeszcze przybiec.

Bridie zaczęła się trząść. Nie, to niemożliwe. Dożyła spokojnie osiemdziesięciu lat i teraz ma uwierzyć w bajki?

- Chcesz powiedzieć, młody człowieku, że położyłeś na mnie ręce i mnie uzdrowiłeś? Ot tak, po prostu?

Luce westchnęła.

- To prawda, Bridie. Ja to widziałam, mogę zaświadczyć.

- Po prostu zemdlałam i tyle - powiedziała Bridie z lekceważeniem.

Jonah wzruszył ramionami, cofnął się o kilka kroków.

- To, w co pani wierzy, nie ma najmniejszego znaczenia. Ważne, że już jest dobrze. - Spojrzał na Luce. - Poczekam w innym pokoju, a ty pomóż jej doprowadzić się do porządku.

Wyszedł, zanim któraś z pań zdążyła cokolwiek powiedzieć. O ile było coś do powiedzenia w sprawie tak oczywistej.

Bridie strasznie się zachnęła, kiedy Luce zaczęła ją rozbierać.

- Jestem jeszcze na tyle zaradna i samodzielna, że sama mogę się przebrać.

- Tak jest, madame - powiedziała Luce tonem pokornej pokojówki.

Bridie rozebrała się i poszła do łazienki zmyć błoto z rąk i twarzy.

- Włosy wyglądają okropnie - mruknęła zniesmaczona.

Luce nie wytrzymała, weszła do łazienki.

- Pozwól, że jednak ci pomogę. - Odebrała upartej staruszce myjkę i zaczęła zmywać błoto i źdźbła z włosów.

Bridie siedziała spokojnie i poddawała się zabiegom Luce z pewną rezygnacją, ale jej umysł pracował na pełnych obrotach.

- Jak poznałaś tego człowieka?

- Wczoraj w miasteczku na dole.

Na twarzy Bridie odmalował się bezgraniczny niesmak.

- I sprowadziłaś go sobie do domu, żeby się trochę zabawić? Ot tak, po prostu? Miałam o tobie lepsze zdanie, moja droga.

Luce diabli na to wzięli. Nie zamierzała tolerować podobnych uwag.

- A ja myślałam, że znasz mnie trochę lepiej i stać cię na mądrzejsze oceny. - Wepchnęła myjkę Bridie do ręki. - Jesteś już czysta, zresztą, jako osoba zaradna i samodzielna, możesz wszystkim zająć się sama.

Bridie westchnęła. Miała niejasne przeczucie, że Luce należą się przeprosiny. Chyba rzeczywiście zachowała się paskudnie, bo wzburzona Luce szła już do drzwi.

- Poczekaj. Nie unosź się. Porozmawiaj ze mną, Luce.

Luce zatrzymała się, wzięła głęboki oddech i odwróciła do Bridie.

- Nie mogę powiedzieć, że widziałam jastrzębia, który przylatuje z wiadomością dla Jonaha, bo byłam w domu i robiłam właśnie śniadanie. On wyszedł na kilka minut zaczerpnąć powietrza. Wrócił biegiem. Wpadł do domu jak szalony, chwycił kurtkę, krzyknął „starsza pani upadła” i już wybiegał. Pobiełam za nim. Kierował się prosto do twojego domu, jakby mieszkał tu całe życie, ja nie pokazywałam mu drogi. Nie mogłam za nim nadążyć, tak gnał. Ja też biegnęłam. Krzyczał, że umierasz. Kiedy tu dotarłam, leżałaś koło ganku, a on klęczał przy tobie.

- Pamiętam, że obudziłam się z bólem głowy i że z czasem się nasilił - powiedziała powoli, a potem dodała bardziej do siebie niż do Luce: - Pamiętam też, że widziałam mojego Franklina. Uśmiechał się do mnie, ale zaraz odszedł. Wołałam go, tylko, że on już mnie chyba nie słyszał.

Teraz Luce mogła okazać niedowierzanie. Prychnęła sceptycznie.

- Chcesz powiedzieć, że widziałas człowieka, który nie żyje od dziesięciu lat? Wierzysz, że go widziałas, ale nie chcesz uwierzyć w coś, w co w głębi serca już uwierzyłaś. Jesteś potwornie uparta, Bridie.

Bridie pochyliła głowę i zaczęła się ubierać. Może coś w tym jest, co mówi Luce, pomyślała. Oczywiście nie powiedziała tego głośno. Cisza się przedłużała, wreszcie Bridie spróbowała z innej beczki.

- Powiadasz więc, że wczoraj sprowadziłaś go do domu?

- Niezupełnie. Ktoś zastawił potrzask koło potoku, blisko twojego starego domu. Wczoraj po południu wpadł w niego Hobo. Sama nie mogłam sobie poradzić. Pobiełam na stację benzynową, myślałam, że Slug Marten mi pomoże, ale on boi się Hobo. No i tam akurat siedział Jonah, powiedział, że mi pomoże. Zaprowadziłam go do potrzasku.

Luce otrząsnęła się i usiadła na krześle koło drzwi.

- Bridie, nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Łapa Hobo wyglądała strasznie, zmasakrowana. Dookoła pełno krwi. Jonah pokieroszował dłonie, usiłując otworzyć potrzask. Już myślałam... - szloch uwiązał w gardle Luce. - Już myślałam, że Hobo umrze. I raptem zupełnie obcy człowiek... Rani strasznie ręce, żeby mi pomóc.

Bridie zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

- Widziałam jego dłonie. Normalne, zdrowe dłonie, bez żadnych okaleczeń.

- Właśnie o tym mówię. Były strasznie pokaleczone, ale zamknął je w pięści i po chwili, kiedy je otworzył, wszystko już było w porządku. Kiedy potem położył je na łapie Hobo, skądś wzięła się świetlistość tak jasna, porażająca, że po prostu nie można było w nią patrzeć. Skończył i łapa Hobo jest znów zdrowa, nie ma żadnych śladów. Zapytałam Jonaha, czy jest aniołem. Ciągle podejrzewam, że jednak tak, bo to, co widziałam, zakrawa na niemożliwe, a jednak widziałam to na własne oczy. Człowiek nie jest przecież zdolny do takich rzeczy, nie ma takiej mocy.

Bridie wysłuchiwała historii Luce z szeroko rozwartymi oczami.

- Jeśli mówisz prawdę, jeśli rzeczywiście tak było i on posiada taką niezwykłą moc, to znaczy, że szukając pomocy dla Hobo, po prostu znalazłaś uzdrowiciela.

- Kogo?

- Uzdrowiciela, kochanie. Moja babcia często o nich opowiadała, ale ja jej nigdy nie wierzyłam, myślałam, że to takie bajania, które powtarzają sobie stare kobiety, kiedy się wieczorem zbiorą przy szyciu. Coś jak opowieści o duchach. Ludzie lubią takie historie, lubią wszystko, co

niezwykłe. Za czasów mojej babci nie było telewizji, więc wieczorami siadało się razem w krąg i snuło niesamowite opowieści.

- Bridie...

- Co, skarbie?

- Jak oni to robią? Jak się stają takimi ludźmi?

- Uzdrowiciele? Luce pokiwała głową.

- Nie jestem pewna, ale babcia mawiała, że to ludzie naznaczeni przez Boga.

- Chcesz powiedzieć, że Jonah jednak... jest aniołem?

Bridie wzruszyła ramionami.

- Może tak daleko bym się nie posuwała... Powiedzmy, boży człowiek, czyli taki ziemski anioł.

Luce westchnęła.

- Widziałam, jak ptak sfrunął z drzewa i usiadł mu na ramieniu, a on rozmawiał z tym ptakiem, jak ja teraz rozmawiam z tobą.

- Zwierzęta wiedzą więcej o ludziach, niż nam się wydaje. Nie wiem dokładnie, dzieciaku, kogo właściwie sprowadziłaś do domu... ale jeśli to wszystko, co mi tu opowiadasz, jest prawdą, on nie zrobi ci krzywdy. A teraz chodźmy do jadalnego i przedstaw mnie jak się należy temu aniołowi. Należą mu się małe przeprosiny i podziękowania.

- On szuka pracy - powiedziała szybko Luce.

- Sugerujesz, że powinno mnie teraz ruszyć sumienie?

- Powtarzam tylko, co mówił. Bridie westchnęła.

- No to zobaczymy, co z tego wyniknie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy weszły do jadalnego, zastały Jonaha na kolanach koło stołu. Trochę był speszony, że go przyłapały w tak dziwnej pozie. Bez słowa otworzył dłoń, zeskoczyła z niej maleńka mysz polna i umknęła szybciotkim truchtem pod kredens.

- O Jezu... to ta mysz! Od dobrego tygodnia usiłuję się z nią rozprawić. Dlaczego, na litość boską, pozwoliłeś jej uciec, skoro już miałeś niecnotę w garści?

Jonah podniósł się z trochę głupią miną, ale nie zamierzał się wcale tłumaczyć ani przeproszać, że wypuścił stworzonko.

- Bardzo jej przykro, że pani przeszkadza i panią denerwuje, ale przeniosła się do domu tylko dlatego, że w oborze pod sianem zamieszkał wąż, zatem ona musiała się stamtąd wyprowadzić.

Bridie najpierw szeroko otworzyła usta, potem kilka razy sapnęła, po czym opadła na krzesło przy stole.

- Coś takiego - mruknęła i spojrzała dociekliwym wzrokiem na Jonaha. - Ta mysz niby twierdzi, że pod sianem w oborze zamieszkał wąż? Jonah wzruszył ramionami.

- Powtarzam tylko, co powiedziała.

Bridie spiorunowała Jonaha wzrokiem, a potem spojrzała w stronę kredensu, myśląc, że oto mieszka pod nim mały szary szkodnik, który w dodatku opowiada o węzach.

- Powiedz mi, młody człowieku, na jakich warunkach ta mysz mogłaby uwolnić mnie od swojej uprzykrzonej obecności w domu?

Jonah uśmiechnął się, bo też było to zabawne, że starsza pani gotowa jest uwierzyć, że on potrafi dobić targu z myszą, wątpi natomiast w jego moce uzdrowicielskie.

- Gdyby pani obiecała sypnąć czasem przez szczeliny w podłodze kurnika trochę prosa czy innego ziarna, cokolwiek, to siostra myszka może zdecydowałaby się tam przeprowadzić... Nie wiem, to tylko taka moja propozycja.

Bridie prychnęła.

- Siostra myszka, rzeczywiście, myślałby kto. Nie czuję szczególnego pokrewieństwa, chociaż od pewnego czasu muszę mieszkać z nią pod jednym dachem. Mały szkodnik i tyle. Ale dobrze, powiedz jej, że się zgadzam, niech się czym prędzej wyprowadza i więcej nie pokazuje w domu, bo jak ją tu zobaczę, koniec, żadnych więcej układów.

Jonah obszedł stół, wyszedł do korytarza i otworzył drzwi.

- Młody człowieku, ja myślałam, że powiesz pani myszce, czy tam siostrze myszce, nazywaj, jak chcesz, tego małego szkodnika, że ma w trybie natychmiastowym przeprowadzić się do kurnika.

- Ona panią słyszała - powiedział Jonah, czekając przy drzwiach.

Ku zachwytowi Luce i zdumieniu Bridie mały gryzoń wysunął ostrożnie łepkę spod kredensu. Przez chwilę poruszał wąsami, jakby się nad czymś zastanawiał, jakby bardzo rozważnie mierzył odległość od kredensu do drzwi wejściowych oraz swoje szanse na bezpieczną ewakuację.

- O Boże! - wykrzyknęła Bridie, najwyraźniej niezdolna zachować opanowania.

Na ten krzyk myszka w największym popłochu wyskoczyła spod kredensu i czmychnęła ku drzwiom tak szybko, jak tylko potrafiła. Słychać było pazurki uderzające o starą drewnianą podłogę.

Jonah już na nią czekał, nachylił się i wyciągnął pomocną dłoń, myszka wskoczyła na nią niczym do łodzi ratunkowej.

Musiała zebrać się na naprawdę wielką odwagę, żeby wychynąć w jasnym świetle dnia, przy ludziach, z bezpiecznego ukrycia. Jak na takie malutkie stworzonko, miała bardzo dzielne serduszko i Jonah to wiedział. Mógł zrobić dla niej przynajmniej tyle, by przenieść ją spokojnie do kurnika, gdzie miała zamieszkać pod podłogą.

- Wracam za chwilę - powiedział i wyszedł z myszką z domu, zostawiając rozbawioną Luce i zdumioną Bridie samym sobie.

Bridie spojrzała na Luce.

- Jak myślisz, gdzie poszedł z tym paskudnym szkodnikiem?

Luce podeszła do drzwi, stanęła na ganku i patrzyła, jak ten dziwny człowiek niesie swoją siostrę myszkę do nowego mieszkania przyznanego jej w kurniku Bridie.

- Najwyraźniej postanowił osobiście zanieść ją do kurnika.

- I ty, moje dziecko, chcesz, żebym ja wynajęła człowieka, który przenosi myszy z miejsca na miejsce w trosce o ich wygodę i bezpieczeństwo? - zapytała Bridie z pewnym niesmakiem.

Luce wróciła do jadalni. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej będziesz wiedziała, że masz najlepszą opiekę nad swoimi stworzeniami w całej okolicy.

W oczach Bridie błysnęły wesołe iskierki, które szybko zgasły, ale Luce wiedziała, że jej stara przyjaciółka jest już kupiona.

- Zobaczymy, zobaczymy. Muszę się dobrze zastanowić - powiedziała Bridie ostrożnie, czekając na powrót Jonaha.

Wrócił chwilę później. Stał w drzwiach, nie przekraczając progu.

- Czy dalej jestem mile widzianym gościem, no może niekoniecznie aż mile widzianym, ale przynajmniej tolerowanym?

- Luce mówi, że szukasz pracy.

Jonah spojrzał pytająco na Luce, zobaczył, że się okropnie zaczerwieniła, i przeniósł spojrzenie na Bridie.

- Tak, madame, szukam pracy. Nadchodzi zima i trudno zostać w drodze. Potrzebuję pracy i jakiegoś dachu nad głową.

Bridie zmarszczyła czoło i jakby się zasepiła.

- Jak to tak, w drodze? To nie masz żadnej rodziny?

- Nie.

- W ogóle? Całkiem? Nigdzie?

- Nigdzie.

- Nie uciekasz przypadkiem? Nie poszukuje cię policja?

- Nie, madame.

- Okłamujesz mnie?

- Ja nie kłamię.

Bridie założyła ręce na piersi i dalej prowadziła swoją indagację.

- Potrafisz wydoić krowę? Jonah powściągnął uśmiech.

- Tak.

- Nie mam dużo pieniędzy, ale możesz tutaj przezimować, o ile mi się niczym nie narazisz.

- U mnie jest wolna sypialnia - powiedziała Luce i westchnęła.

Dlaczego nie potrafi powiedzieć wprost, jasno i wyraźnie: zamieszkać u mnie. Nie chciała być sama.

Jonah spojrział na Bridie, na Luce. Po ich minach widać było, że sam musi podjąć decyzję. Oczywiście łatwiej byłoby mieszkać na miejscu, u Bridie, tu, gdzie miał pracować, zamiast codziennie wstawać przed świtem i piąć się w śniegu na szczyt.

Jednak Luce bała się czegoś. Ktoś ją prześladował. Czuł to, chociaż nie chciała się przyznać. Rozumiał jej lęk.

- Chętnie przyjmę pracę, jestem wdzięczny, ale jeśli nie będzie pani miała nic przeciwko temu, zamieszkać raczej u Luce.

Bridie kiwnęła głową. Wcale mu się nie dziwiła. Na miejscu Jonaha też wolałaby towarzystwo młodszej kobiety.

- Oczywiście, jak wolisz. Jak szybko obliczam, mogłabym ci płacić sto dolarów tygodniowo. To bardzo mało, wiem. Jeśli zależy ci na większym zarobku, musisz szukać gdzie indziej.

- Nie, godzę się na taką stawkę.

Bridie powściągnęła uśmiech. Gdyby negocjował, zapłaciłaby sto pięćdziesiąt, i to bez wielkiego targowania.

- Molly trzeba doić nie później niż o ósmej rano. Nie będziesz musiał zrywać się bladym świtem. Do zobaczenia jutro.

- Tak jest, madame.

- Masz prawo jazdy?

Jonah kiwnął głową. Zrobił prawo jazdy jeszcze na Alasce, kiedy był w szkole średniej.

- W szopie stoi stary pikap Franklina. Jest na chodzie, bo mechanik, który czasami tu zagląda, utrzymuje go przy życiu. Jeśli przed przyjściem tutaj będziesz zawoził Luce do pracy, to pozwolę ci go używać.

- Ale ja przecież sama mogę dostać się do pracy, Jonah nie musi mnie podwozić.

Bridie przewróciła oczami.

- Owszem, chodzisz piechotą. Gdybyś miała prawo jazdy, już dawno bym ci dała tego pikapa, wiesz o tym.

Luce zawsze twierdziła, że może chodzić pieszo do pracy i samochód jest jej niepotrzebny, ale prawda była taka, że uciekła od wujostwa, zanim miała szansę na zrobienie prawa jazdy, a potem właściwie nie bardzo było jak. Gdy już zaczęła pracować i zamieszkała w starym domku Bridie, szkoda jej było pieniędzy ze skromnej pensji kelnerki na opłacenie lekcji.

Jonah w milczeniu obserwował sprzeczkę i czuł, że te dwie kobiety muszą się bardzo kochać, chociaż się czubią. Miłe to było, nawet jeśli tylko przyglądał się uczuciom z boku, sam nie będąc w nie zaangażowany. Między nim i ojcem istniała chyba podobna więź, jak między tymi dwoma. Przeczesał drżącą ręką włosy i szybko odwrócił głowę, wbijając spojrzenie w las zaczynający się zaraz za podwórzem.

Niebo było szare, niewiele chmur, lekkich, prawie przejrzystych. Gdyby zmrużył oczy, spojrzał na wzgórza porośnięte lasami, na góry, mógłby prawie pomyśleć, że jest z powrotem na Alasce, ale na Alasce panowała teraz noc polarna i wszystko pokrywał śnieg.

- Jonah?

Odwrócił się, twarz pozbawiona wyrazu, zupełnie pusta.

- Tak?

Luce widziała, że coś jest nie tak, że z Jonahem dzieje się coś złego, ale w tej chwili nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

- Muszę szybko wracać do domku, przebrać się i zmykać do pracy, już jestem spóźniona. Tutaj są kluczyki od pikapu Bridie, czy też raczej pikapu Franklina.

Włożyła mu kluczyki do ręki, a potem serdecznie uściskała starszą panią.

- Jesteś kochana, Bridie, chociaż czasami uparta i niezdolna. Tak bardzo się cieszę, że jesteś cała i zdrowa.

Bridie odwzajemniła uścisk.

- Rozważywszy wszystkie za i przeciw, chyba jednak jeszcze trochę pobędę na tym świecie i dam mu drugą szansę. Innym razem się z nim pożegnam. - Tu posłała Jonahowi surowe spojrzenie. - Skoro podobno uratowałeś mi życie, to nie psuj sobie opinii i nie spóźnij się jutro do pracy.

- Przyjdę jeszcze dzisiaj, jak odwiozę Luce do miasteczka.

- Nie ma takiej potrzeby. W zupełności wystarczy, jak zaczniesz jutro rano.

Jonah upierał się przy swoim.

- Jest kilka rzeczy, które trzeba zrobić jeszcze dzisiaj, zanim spadnie śnieg, co stanie się dzisiaj w nocy.

Bridie prychnęła cicho.

- A tam, śnieg, śnieg. Dziś w nocy nie spadnie żaden śnieg.

- Owszem, spadnie - powtórzył Jonah.

Bridie posłała mu podejrzliwe spojrzenie spod przymkniętych powiek.

- A ty niby skąd wiesz, że spadnie? Jesteś również prognostykiem?

- Po prostu wiem - powiedział Jonah z pewnością w głosie, choć obie panie patrzyły na niego z niedowierzaniem, Bridie jawnie pokpiwała. - Potrzebna będzie karma dla kur, a ta specjalna pasza, którą daje pani swojej krowie, kiedy ją pani doi, też już się prawie skończyła.

- Dużo zdążyłeś zobaczyć jak na taką krótką wizytę.

- Nic nie widziałem. Sowa, która mieszka w pani oborze...

- Rozumiem. Mądra sowa uczyniła siebie samozwańczym administratorem mojego gospodarstwa i nocami sprawdza stan zapasów. Powinna sama latać do miasteczka po zakupy, zamiast zwać to na ciebie... Dość. Nie chcę już słuchać tych banialuk o tym, jak pozyskujesz swoje informacje. Ktoś tutaj musi zachować odrobinę przytomności umysłu, i wszystko wskazuje na to, że to będę ja. Kiedy już odwieszysz Luce do pracy, wstąp do magazynu z karmami Middletona, powiedz, że pracujesz u mnie, niech ci zapakują do samochodu tyle, ile zawsze biorę. Rachunek przesyłają mi zawsze pod koniec miesiąca.

- Tak, proszę pani.

- Jeszcze jedno, Jonah.

- Tak.

- Jak się nazywasz?

Jonah zawahał się. Im mniej ludzie będą o nim wiedzieć, tym mniejsza szansa, że Bourdain natrafi na jego ślad, z drugiej strony nie potrafił omijać prawdy, kłamać.

- Jonah Szary Wilk. Bridie wyciągnęła dłoń.

- Mój Franklin zawsze powtarzał, że jak człowiek coś z kimś załatwia, musi przypieczętować to uściskiem dłoni.

Tak też uczynili i Bridie z satysfakcją kiwnęła głową.

- Mam nadzieję, że teraz poznam cię trochę lepiej - powiedziała.

Jonah, nieco zaskoczony, uśmiechnął się po chwili.

- A ja panią - odparł miękko. - Będę z powrotem za jakieś dwie godziny.

- Ja tymczasem zabiorę się za pieczenie mojej szarlotki.

- Ja lubię tylko dwa rodzaje ciasta - powiedział Jonah.

Bridie mocniej zabiło serce, aż bała się pytać, jakie.

- Mianowicie? - zaryzykowała jednak.

- Na ciepło i na zimno - odparł z kamienną twarzą i odchodząc, mrugnął jeszcze do Bridie.

Bridie długo nie mogła dojść do siebie po odjeździe gości. Serce waliło jej jak oszalałe, krew szumiała w uszach. Był to chyba najbardziej niezwykły dzień w całym jej długim życiu, a przecież dopiero się zaczynał. Bała się aż myśleć, co mogą przynieść następne.

Poprawiła włosy i spojrzała w niebo.

- W porządku, Franklinie, a raczej bardzo nie w porządku z twojej strony. Jeśli w ten sposób chciałeś dać mi znać, że postąpiłam słusznie, powinienesz jednak jakoś mnie ostrzec. Kiedy usłyszałam twoje słowa z ust tego dziwnego człowieka, przeżyłam szok.

Stała jeszcze chwilę na ganku i patrzyła, jak stary pikap Franklina znika za wzniesieniem, a potem wróciła do domu, mówiąc sobie, że trzeba zabrać się za pieczenie szarlotki.

Kiedy wjeżdżali do Little Top, Jonah kończył kanapkę z jajkiem sadzonym, którą przygotowała mu Luce. Na śniadanie w domu nie było już czasu, więc posilał się, jednocześnie prowadząc. Na pustych wiejskich drogach można sobie na to pozwolić. Stary pikap sprawował się całkiem dobrze, zarzucał tylko w lewo, ale to żaden problem, wystarczy wyważyć opony i wszystko będzie dobrze, oceniał Jonah.

- Ten sandwich był naprawdę bardzo dobry, dzięki - powiedział, rzucając szybkie spojrzenie Luce. - Jakoś nigdy nie pomyślałem, że można zrobić sandwich z jajkiem sadzonym.

Luce kiwnęła głową.

- Szkoda marnować jedzenie. Usmażyłam te jajka, ale potem trzeba było biec do Bridie, no i zostały w piekarniku - mówiła, poprawiając jednocześnie ubranie.

Jonah zatrzymał się przed „Harold's Eats”, małą, tanią restauracją, gdzie pracowała Luce. Spojrzał na zegarek; było wcześnie, trochę po wpół do ósmej, a od świtu tyle już zdążyło się wydarzyć.

- O której kończysz? - zapytał.

- Serwujemy tylko śniadania i lunche, potem zamykamy. To mała miejscina, wieczorami ludzie siedzą w domach, nie mielibyśmy ruchu. Zwykle wychodzę około trzeciej.

- Przyjadę po ciebie.

Luce kiwnęła głową, otworzyła drzwi, spojrzała na Jonaha.

- Dziękuję.

- Za co?

Luce westchnęła. Że też trzeba każdą rzecz wyjaśniać i tłumaczyć.

- Za to, że zdecydowałeś się zamieszkać u mnie, a nie u Bridie.

- Jak myślisz, dlaczego to zrobiłem? Luce zawahała się i odruchowo skuliła.

- Ty wiesz, o co chodzi, prawda? Nie muszę nic mówić.

- Wiem, że boisz się kogoś lub czegoś, że coś ci zagraża.

- Tak.

- Dlaczego nie chcesz o tym mówić, dlaczego unikasz tematu?

Luce wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, kto to robi.

- Poza potrzaskiem, w który złapał się Hobo, było coś jeszcze, tak?

- Kartki, mnóstwo kartek z naprawdę wstrętnymi pogróżkami.

- Byłaś na policji? Luce przewróciła oczami.

- Byłam, i nic to nie dało, zlekceważyli sprawę. Powiedzieli, że nie ma żadnych podstaw do wszczynania działań, jak to określili. Obudziliby się pewnie dopiero wtedy, gdybym została zaatakowana.

- A nie masz żadnych podejrzeń? Zupełnie się nie domyślasz, kto to może być?

Luce pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia.

- Zdajesz sobie sprawę, że moja obecność może go raczej rozjuszyc niż odstraszyć?

- Może tak będzie lepiej. Może się ujawni i to się wreszcie skończy.

- Skoro mówimy szczerze, jest coś, co powinnaś o mnie wiedzieć - zaczął Jonah.

Luce przewróciła oczami.

- Ciekawe, co to może być? Nie wystarczy wstrząsający fakt, że jesteś aniołem, który rozmawia ze zwierzętami?

- Milion dolarów nagrody za schwytanie mnie. Jestem wart milion dolarów.

Luce cicho jęknęła ze zgrozy.

- Ściga cię policja?

- Nie. To pewien człowiek... poluje na mnie od wielu lat.

- Dlaczego jesteś dla niego tyle wart? Milion dolarów?

- Kiedyś uratowałem mu życie. To chory człowiek, z obsesją. Wbił sobie do głowy, że mogę zapewnić mu nieśmiertelność.

- Piękne podziękowanie za uratowanie życia - sarknęła Luce.

- Uznałem, że powinnaś wiedzieć. To nie jest miła świadomość mieć pod swoim dachem ściganego człowieka. W każdej chwili mogę zamieszkać u Bridie.

Luce czuła, że cała krew odpływa jej z twarzy, na pewno była teraz blada jak papier.

- Nie, zostań u mnie... proszę. - Słyszała panikę w swoim głosie, ale nic nie mogła na to poradzić.

Niczego bardziej nie pragnął, niż zostać z nią. Na zawsze. Ale pragnąć i realizować te pragnienia, to czasami dwie zupełnie różne rzeczy.

- To twoja decyzja, Lucio. Skoro uważasz, że jesteś w stanie sobie poradzić z taką świadomością, zostanę.

Luce poczuła ogromną ulgę. To właśnie chciała usłyszeć.

- W takim razie sprawa ustalona. Do zobaczenia po południu - powiedziała.

Jonah przyglądał się jej uważnie, notował każdą zmianę na jej twarzy, zapisywał starannie w pamięci, wiedząc, że przyjdzie taki dzień, w którym pozostaną mu tylko wspomnienia.

- Do zobaczenia. Udanego dnia, Lucio. Uśmiechnęła się jeszcze na pożegnanie i wysiadła z samochodu. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czuła się naprawdę dobrze. Nie, to za słabo powiedziane, czuła się bezpieczna.

Stał przy ladzie w drogerii i czekał na realizację recepty. Jakoś bezmyślnie, odruchowo zerknął przez okno i zobaczył stary samochód Bridie Tuesday parkujący przed „Harold's Eats”. Wysiadła z niego Luce Andahar. Luce. Poczul bolesny ucisk w żołądku. Pragnął jej od dnia, gdy pojawiła się w miasteczku, a potem, z każdym następnym dniem pragnął jej chyba coraz bardziej. To grzech tak bardzo pragnąć kobiety, zwłaszcza, że on był już żonaty. Nie powinien w ogóle zwracać uwagi na Luce, należało zakazać sobie wszelkiej myśli o niej.

A jednak nie mógł przestać o niej myśleć. Szedł do kościoła, padał na kolana i modlił się czasami godzinami, aż całe ciało drętwiało, by Bóg uwolnił go od tej nieczystej żądz. Lecz kiedy kochał się z żoną, zamykał oczy i wyobrażał sobie, że to Luce. Kiedy kupował coś żonie, też wyobrażał sobie, że to zakup dla Luce.

To grzeszne pożądanie trawiło go od pięciu lat, aż przestał myśleć racjonalnie. Kiedy żenił się ze swoją żoną, miał nadzieję, wierzył, że przestanie pożądać innych kobiet, że będzie spokojnie trwał przy tej jednej. I rzeczywiście przez pewien czas tak było, uspokoił się, nieczyste żądze przycichły, pochłonęła go codzienność.

Dopóki Luce nie przyjechała do miasteczka. Wtedy wszystko wróciło. Walczył, zmagął się z sobą, ale w pewnym momencie poczuł, że nie ma już sił na walkę i zmaganie. Żądze zawładnęły nim kompletnie, wzięły górę nad dobrymi intencjami.

Kilka miesięcy temu miał sen. Przebudził się z niego z przekonaniem, że to znak od Boga. W tym śnie wreszcie posiadał Luce. Brał ją raz, drugi, trzeci... Tak wiele razy, aż widok jej nagiego ciała zaczął budzić w nim wstręt. W tym śnie uwolnił się wreszcie od nieczystej żądz. Poczul się oczyszczony przez samego Boga.

Tej nocy, na granicy snu i jawy, zrodził się w jego głowie plan. Będzie miał Luce Andahar. A potem, oczywiście, będzie musiał ją zabić. Nie może zostawić jej przy życiu, nie może dopuścić, by ogłosiła publicznie, co zrobił. Zabije ją, ale w końcu uwolni się od żądz.

Zaczął zostawiać jej karteczki. Wyobrażał sobie, że to rodzaj zalotów, chociaż były to ostrzeżenia i pogróżki, coraz bardziej chore, coraz obrzydliwsze. Bo żądza jest przecież czymś wstrętnym. Pisał, co z nią zrobi, jak będzie w nią wchodził... Realizował powoli swój plan.

Kilka dni temu zachorowała jego teściowa i żona musiała polecieć do Maine, żeby zaopiekować się matką. Odwiózł ją na lotnisko. Wracał do domu pewien, że to kolejny znak od Boga. Oto nadszedł właściwy czas, by przejść do działania.

Po szóstej wieczorem dotarł z powrotem do Little Top. Przyjmował telefony od przyjaciół z życzeniami zdrowia dla teściowej, odpowiadał na pytania zatroskanych sąsiadów i niecierpliwie czekał nadejścia nocy.

Jakoś po północy pojechał do starego domku Tuesdayów, zaparkował kilkadziesiąt metrów od niego. Wziął z siedzenia pasażera torbę, w której miał wszystko, co trzeba: rękawiczki chirurgiczne, kondomy i, rzecz najważniejsza, nóż, którego zamierzał użyć, kiedy już poczuje się oczyszczony. Podeszedł do drzwi, położył dłoń na klamce, gdy nagle z ciemności wychynął olbrzymi pies.

- Cholera - mruknął pod nosem i natychmiast zdjął dłoń z klamki.

Pies zaczął szczekać jak oszalały. Przepadło. Teraz nie dostanie się już do domu niepostrzeżenie. Zawiedziony odszedł, wsiadł do samochodu i szybko odjechał.

Wiedział oczywiście, że Luce ma psa, ale jakoś nie brał go w swoich rachubach pod uwagę. Chyba uznał, że obecność zwierzęcia nie ma wielkiego znaczenia. Pomylił się. Trzeba było pomyśleć teraz, jak się sprytnie pozbyć tej niespodziewanej przeszkody, która raptem stanęła na drodze do oczyszczenia.

W drodze do pracy widział, jak Luce wchodzi do restauracji. Pies ruszył swoją drogą. Pojechał za nim. Widział, jak przebiega kilkaset metrów na skwer naprzeciwko biblioteki i tam układa się na trawie pod wielką sosną. Chyba jest jakaś szansa, pomyślał sobie wtedy.

Potrzask w pobliżu strumienia, poniżej starego domu Tuesdayów. Wszystkie zwierzęta chodzą tam pić. Dzikie zwierzęta ominą raczej potrzask, wyczuwszy zapach człowieka, ale domowy pies powinien się nim zainteresować. Umieścił potrzask w dobrym miejscu, obok zostawił jeszcze na wszelki wypadek kawałek mięsa w charakterze przynęty i odjechał zadowolony, że udało mu się rozwiązać problem.

Ostatniej nocy pojechał na górę, pewien, że zobaczy psa martwego albo przynajmniej unieszkodliwionego, tymczasem znalazł tylko pusty potrzask. Zastanawiał się, czy nie zastawić pułapki jeszcze raz, ale uznał w końcu, że jednak nie. Nie warto dwa razy próbować. Następnego wieczoru przyjedzie z pistoletem. Jedno pociągnięcie za spust, i po psie. A Luce Andahar będzie wreszcie jego. Im wcześniej ją dostanie, tym wcześniej uwolni się od swojego szaleństwa. Z tą myślą wrócił do domu.

A teraz to.

Nowa przeszkoda?

Ktoś odwiózł Luce do pracy. Nie wiedział, co o tym myśleć.

Wiedziony ciekawością podszedł szybko do okna apteki. Stary samochód właśnie ruszał.

Usiłował dojrzeć, kto siedzi za kierownicą. Mignął mu jakiś mężczyzna, którego twarzy nie mógł dojrzeć, i samochód odjechał. To był stary klekot Bridie Tuesday, ale z pewnością to nie stara Tuesday siedziała za kierownicą.

- Odbiorę lekarstwa później - zawołał i ruszył do restauracji.

Wiedział, że spóźni się do pracy, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

Luce spóźniła się prawie godzinę, kiedy weszła, przy stolikach siedzieli już pierwsi goście. Harold chciał zmyć jej głowę, że sam musi biegać z talerzami, ale szybko mu wytłumaczyła, że Bridie upadła i trzeba było się nią zająć.

Nie zamierzała opowiadać swojemu szefowi niezwykłych historii o tym, że człowiek o cudownych dłoniach uratował właśnie Bridie od śmierci. Tak było prościej i łatwiej.

Harold przyjął wyjaśnienie ze zrozumieniem i Luce zaczęła swój dzień pracy. Zdążyła zrealizować dwa pierwsze zamówienia, a knajpka pełna była już gości, w przeważającej większości stałych klientów. Wpadali na szybkie śniadanie i zaraz w ich miejsce pojawiali się następni.

Harold podał jej przed okienko kuchenne dwa kolejne zamówienia. Zaniósła je i wróciła szybko po następne.

- Harold, co się dzisiaj dzieje w tym mieście? Taki ruch, że nie mogę nadążyć z obsługiwaniem. Mamy dzisiaj dwa razy tyle gości co zwykle.

Harold kończył wydawać kolejne zamówienie: jajka sadzone z pieczonymi ziemniakami, tłustym sosem gravy i kilkoma grzankami.

- Poza tym, że dzisiaj pierwszy, nie widzę innego powodu. Nie mam pojęcia. Bierz, to zamówienie Juniora Cockera. Zanieś mu i zaraz wracaj po dania dla Mike'a i Stu.

Luce skinęła głową. Była naprawdę wdzięczna Haroldowi, że nie gniewał się za jej spóźnienie. Nie mogła stracić tej pracy. W małym górskim miasteczku nic innego by nie znalazła, a poza kelnerowaniem tak naprawdę nic innego nie potrafiła. Zniosła zamówienie Juniorowi, po czym chwyciła dwa dzbanki z kawą i ruszyła między stoliki, dolewając tam, gdzie filiżanki były już puste. Stali klienci lubili droczyć się z nią i żartować, a ona śmiała się razem z nimi.

- Luce, kochanie, dolej i mnie, z łaski swojej, dobrze?

Luce uśmiechnęła się do Waltera Ferrisa, miejscowego bankiera, który podniósł swoją pustą filiżankę i wymachiwał nią prosząco. Musiał chwilę poczekać, bo właśnie nalewała nową porcję pastorowi.

- Dla mnie kielbaski z sadzonymi na grzance, Luce. - Mark Ahern usiadł przy stoliku naprzeciwko Waltera. - I poproś Harolda, żeby dał trochę szczypiorku. Właśnie dostaliśmy nowe książki telefoniczne, będę je dzisiaj rozwoził, co oznacza, że robotę skończę Bóg wie kiedy - poskarżył się Walterowi.

Luce szybko odeszła zrealizować zamówienie, a Ferris klepnął Marka Aherna po ramieniu i wdał się w poważną dyskusję o ostatnich rozgrywkach ligowych futbolu.

Pastor Wagner znad swojej kawy podziwiał przez chwilę czarny warkocz Luce, po czym zajął się spożywaniem galaretki owocowej, którą zafundował sobie na deser.

Hank Collins, który zawsze zajmował miejsce przy tym samym stoliku, przyglądał się drobnej kelnerce, jak się uwija po sali, ale kiedy spojrzała w jego stronę, szybko zajął się swoimi grzankami, zbyt nieśmiały, by się odezwać.

Herman Truesdale chwycił Luce za nadgarstek, kiedy przechodziła obok jego stolika.

- Hej, moja maleńka... Kiedy wreszcie dasz się zaprosić na randkę?

- Kiedy Gertie ci pozwoli - odparowała Luce błyskawicznie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nie wyłączając Hermana. Jego żona Gertie z pewnością nie pozwoliłaby mu na żadne randki.

Zadzwonił dzwonek nad drzwiami oznajmiający nowych gości. Luce odwróciła się, ciekawa, kto przyszedł, ale w tej samej sekundzie zawołał ją Harold. Kiedy odebrała od niego kolejne zamówienie, nie pamiętała już o swojej ciekawości.

Skończyło się wreszcie poranne szaleństwo, goście powychodzili, lokal opustoszał i tylko przy jednym stoliku siedziała jakaś para, popijając już trzecią filiżankę kawy.

- Dzięki Bogu - powiedziała Luce, kiedy przechodziła obok Harolda. Szła do magazynku po serwetki.

Trzeba je było umieścić w stojaczkach na stolikach, należało też napęlić keczupem puste plastikowe buteleczki. Nigdy nie mogła zrozumieć, jak można używać keczupu do śniadania. Jej latynoskie korzenie objawiały się tym, że nigdy nie żałowała sobie salsy do

jajecznicy. Po zastanowieniu dochodziła do wniosku, że to w zasadzie prawie to samo.

Teraz, kiedy u Harolda zrobiło się spokojnie, miała czas pomyśleć o Jonahu. Nie potrafiła powiedzieć, co będzie, na dłuższą metę, oznaczała jego obecność w jej domu, wiedziała jednak, że zawsze już będzie dziękować losowi, że go poznała.

Spojrzała na zegar. Dziesiąta, jeszcze pięć godzin i znowu go zobaczy.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jonah bez trudu odnalazł magazyn Middletona. Zaparkował przy rampie załadunkowej i wszedł do środka. Dwaj starsi panowie we flanelowych koszulach, roboczych drelichach z karczkami, na szelkach, oraz czapeczkach z logo popularnej firmy produkującej narzędzia dla rolników grzali się przy okrągłym żelaznym piecyku i zawzięcie dyskutowali na temat aktualnej sytuacji politycznej.

Mężczyzna za ladą podniósł głowę. Widząc obcego, wyprostował się natychmiast i obrzucił go uważnym spojrzeniem.

Jonah przeszedł obok dwóch starszych panów i podszedł do ekspedienta. Miał już się przedstawić, gdy na ladę wskoczył wielki kot, typowy szaro-bury pręgowany dachowiec.

- Jak się masz, mały - przywitał go Jonah i podrapał kota pod brodą.

Kot zaczął głośno mruczeć, tak głośno, że wszyscy się uśmiechnęli.

- Jestem Paul Binger-przedstawił się ekspedient.

- A to Tygrys w kociej skórze. Nie każdego lubi, ale najwyraźniej zdał pan u niego egzamin.

- Akceptacja to ważna rzecz - powiedział Jonah i wyciągnął rękę do ekspedienta. - Jestem Jonah i przez zimę będę pracował dla pani Tuesday. Przyjechałem po jej zwykłe zamówienie. Prosiła, żeby je załadować na pikapa. A zapłaci, też jak zwykle, pod koniec miesiąca.

Paul nie przestawał przyglądać się Jonahowi.

- No proszę... Pani Tuesday nigdy nikogo nie wynajmowała. W każdym razie ja nigdy o nikim nie słyszałem.

Jonah wzruszył ramionami.

- Wiek wiele zmienia - powiedział sentencjonalnie i wskazał kciukiem za siebie w kierunku starego pikapu. - Ile karmy dla kur i słodkiej paszy dla krów kupuje zwykle pani Tuesday?

- Po dwa worki tego i tego - odpowiedział Paul. Jonah pokręcił głową.

- Tym razem poproszę po cztery. Dziś zacznie padać, może nas zasypać, nie wiem, kiedy będę mógł znowu przyjechać. Nie chcę, żeby czegoś zabrakło.

Jeden z mężczyzn przy piecyku zaśmiał się w głos i klepnął kolegę w kolano.

- Widzisz, nie tylko ja przepowiedziałem śnieg - stwierdził z wielką satysfakcją.

Jonah spojrzał w stronę dwóch starszuchów z lekkim uśmiechem, tymczasem oni dalej się sprzeczali, tyle, że teraz już na temat pogody.

Paul zapatrzył się w okno, zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- No nie wiem. Nie wygląda mi to na śnieg.

- Spadnie - zapewnił Jonah. Paul wzruszył ramionami.

- Ja tam mogę załadować ci tyle worków, ile tylko chcesz, proszę bardzo.

Jonah na pożegnanie podrapał starego kota za uchem.

- Pokaż mi tylko, gdzie stoi towar, to sam załaduję.

- Nie będę protestował, bo kręgosłup już nie ten, co dawniej.

Przeszli do magazynu, w głębi znaleźli to, czego potrzebowali. Jonah załadował worki na wózek i przewiózł na rampę, gdzie miał je przeładować do samochodu.

Para gołębi mieszkająca pod dachem zagruchała na powitanie. Jonah oczywiście je widział, ale wolał nic nie mówić. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi, nie rzucać się zbytnio w oczy. Podpisał kwit, który podsunął mu Paul i odjechał, zadowolony z pomyślnego załatwienia sprawy.

Przejeżdżając koło Harolda, pomyślał o Lucii. Restauracja była pełna gości, wszystkie stoliki zajęte, co oznaczało, że dziewczyna biega teraz z zamówieniami, nie mając chwili wytchnienia. Pomyślał, że jej prześladowca może teraz siedzieć przy stoliku i obserwować ją przy pracy. W takim małym miasteczku to bardzo możliwe, nawet prawdopodobne. Na samą myśl, że grozi jej niebezpieczeństwo, robiło mu się niedobrze. Niechby tylko dostał w swoje ręce tego zwyrodnialca...

Wrócił do domu Bridie, wypakował worki, narąbał drew do kominka, zreperował wrota do obory i tak minął mu czas do południa. Wracał właśnie z szopy, w której mieścił się domowy warsztat, gdy zobaczył Bridie. Stała na ganku kuchennym i machała do niego serwetką. Zrozumiał to jako znak, że lunch jest gotowy, i ruszył w stronę domu. Coś mu mówiło, że praca dla tej starszej pani okaże się prawdziwym darem, pod wieloma względami.

W chwilę później siedział już przy suto zastawionym stole. Na blacie pod oknem stygły dwie blachy szarlotki.

Bridie przeszła samą siebie: olbrzymi półmisek porcjowanego, smażonego na oleju kurczaka w panierce, micha tłuczonych ziemniaków, duża sosjerka zawiesistego sosu, do tego wszystkiego czerwona fasolka na zimno i sałatka coleslaw. Jeszcze koszyk z chlebem i gorące biszkopty. Prawdziwa uczta.

Rano bliska śmierci, teraz Bridie krzątała się energicznie po kuchni. Miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Naprawdę przeszła samą siebie. Chyba przygotowała to wszystko, by uczcić pierwszy dzień jego pracy. Rozczuliła go, nie oczekiwał przecież ani specjalnych podziękowań, ani uroczystych powitań.

- Wygląda wspaniale, proszę pani - powiedział, stając przy stole.

- Siadaj, siadaj - ponagliła, niosąc dzban mrożonej herbaty.

Jonah odebrał od niej dzban, napełnił szklanki, a potem odsunął krzesło dla Bridie.

- Bardzo proszę, panie mają pierwszeństwo - powiedział z galanterią.

Trochę zaskoczona, Bridie sadowała się przez chwilę na krześle.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała, kładąc serwetkę na kolanach.

Kiedy i Jonah usiadł, zmówiła krótką modlitwę, a potem przyglądała się z zainteresowaniem Jonahowi, podsuwając mu kolejne potrawy.

- Rozmawiałeś jeszcze z jakimiś moimi zwierzakami, młody człowieku?

Jonah uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę chce pani wiedzieć?

Trochę ja to ubodło. Bo cóż to ma znaczyć? Czy on zarzuca jej szyderstwo i kpinę? No, może miał trochę racji.

- Pracowałeś bez przerwy aż do tej pory. Jonah nakładał sobie kolejne potrawy.

- Tak, proszę pani. Zrobiłem kilka rzeczy, które trzeba było zrobić. Jeśli będzie pani miała jakieś specjalne życzenia, proszę natychmiast mówić.

- Przede wszystkim, mów mi Bridie. Gdy tak cały czas powtarzasz to swoje „proszę pani”, czuję się strasznie stara.

Jonah uśmiechnął się. Bridie naprawdę była stara i oboje o tym wiedzieli.

- W porządku... Zatem, Bridie, domyślasz się chyba, że nie jestem przyzwyczajony do takiego wspaniałego jedzenia. Naprawdę nie rób sobie tyle zachodu. Kanapka w południe i duża szklanka mrożonej herbaty w zupełności mi wystarczą.

Bridie poprawiła odruchowo włosy i ujęła widelec.

- Bardzo lubię gotować, szczególnie gdy mam dla kogo, więc nie kryj się, tylko jedz, bardzo cię proszę.

Jonah posłusznie zastosował się do polecenia, kwitując każdą potrawę słowami zachwytu, nie szczędząc pochwał.

- Wszystko jest pyszne. Nie pamiętam, czy kiedyś jadłem coś równie dobrego.

Bridie aż pokraśniała z zadowolenia.

- Franklin zawsze bardzo lubił moją kuchnię. Bridie zaczęła snuć opowieść o swoim drogim Franklinie. Musiała czuć się po jego śmierci bardzo samotna. Jonah rozumiał to wszystko, ale ona opowiadała, tymczasem jedzenie stygło. Nic dziwnego, że była taka krucha i wątła.

Wziął biszkopt z koszyka, posmarował masłem i położył na jej talerzu.

Bridie przerwała w pół zdania, na moment osłupiała.

- Musisz jeść.

Bridie nie mogła powiedzieć słowa. Od bardzo dawna nikt o nią nie dbał, nikogo nie obchodziło, co się z nią dzieje. Poza Luce, oczywiście.

Ale Luce nie wpadała tu zbyt często. W każdym razie nie codziennie, może raz, dwa razy w tygodniu. Wzięła biszkopt do ręki, ugryzła kawałek, łzy napłynęły jej do oczu.

Jonah dostrzegł te łzy, dlatego postanowił szybko znaleźć inny temat do rozmowy.

- Siostra myszka bardzo ci dziękuje za nowe mieszkanie.

Bridie najpierw prychnęła, a potem uśmiechnęła się trochę kpiąco.

- Doprawdy?

Jonah z powagą pokiwał głową, zjadł kawałek panierowanego, przyprawionego ziołami kurczaka, polał ziemniaki sosem. Nie pytając, przygotował takie samo danie dla Bridie.

Bridie napiła się szybko herbaty i nachyliła nad talerzem. Jedli już w milczeniu, dopiero kiedy skończyli, Bridie się odezwała:

- Zmieścisz jeszcze trochę szarlotki? Jonah podniósł wzrok i mrugnął.

- A jak myślisz?

Bridie zachichotała i w tym momencie Jonah zobaczył ją taką, jaką była przed laty. Szczupła dziewczyna z jasnymi kręconymi włosami, zawsze uśmiechnięta. Nic dziwnego, że Franklin się w niej zakochał.

Bridie wstała, wzięła jedną z blach stojących na kredensie, postawiła na stole, sięgnęła po talerzyki deserowe. Ręka jej drżała, kiedy kroїła ciasto, ale udawała, że nic się nie dzieje.

- Cudowne - powiedział Jonah, kiedy ugryzł pierwszy kęs.

Bridie rozpromieniła się.

- Mój Franklin zawsze mówił to samo.

- Fajny gość musiał być z Franklina.

Bridie posmutniała.

- Strasznie mi go brakuje.

Jonah zawahał się, a potem położył jej dłoń na ramieniu. Miał wrażenie, że przez skórę czuje każdą kosteczkę.

- Wiem, jak to jest - powiedział cicho. - Mój ojciec nie żyje od dziesięciu lat. Poza nim nie miałem nikogo.

Bridie nie mogła się napatrzeć na tego człowieka, który siedział przy jej stole. Złotobrązowa skóra, wysokie kości policzkowe, mocno zarysowana broda, lekko orli nos - wszystko to wskazywało na jego indiańskie korzenie. Tylko oczy były inne, dziwne. Nigdy u nikogo nie widziała takich oczu. W tym świetle wyglądały jak złote. Niemożliwe. Ludzie nie mają złotych oczu. Otrząsnęła się z tych rozważań. Siedział tu i rozmawiał z taką swobodą, jakby znali się od lat.

- Nie będziesz jadła swojego ciasta? - zapytał Jonah.

Wyglądało na to, że jednak się nie otrząsnęła, dopiero teraz. Zamrugła, spojrzała na swój talerzyk z nietkniętym ciastem.

- Rzeczywiście... Kilka kęsów mogę chyba zjeść.

I znowu jedli w milczeniu. I znowu to Bridie odezwała się pierwsza, gdy skończyli i sprząтали naczynia ze stołu.

- Luce jest mi najdroższa na świecie. Jonah zatrzymał się. Spodziewał się tego.

- Ty jej też.

Teraz i Bridie się zatrzymała, spojrzała na Jonaha przenikliwie.

- Chciałabym wierzyć, że jesteś człowiekiem, który jej nie skrzywdzi.

- Nie, madame.

Bridie na moment zacisnęła wargi. Nie chciała wydawać ocen ani pouczać, w końcu oboje byli dorosłymi, odpowiedzialnymi za swoje życiowe decyzje ludźmi.

- Mieszkanie pod jednym dachem potrafi bardzo skomplikować sprawy. Człowiek sam nawet nie wie, jak i kiedy - orzekła i oblała się rumieńcem.

- Ona się boi.

To była chyba ostatnia rzecz, jaką Bridie spodziewała się usłyszeć.

- Jak to... boi się? Co masz na myśli? Czego się boi?

- Ktoś ją prześladowa. Podrzuca kartki z pogrózkami. To ten człowiek zastawił pułapkę koło strumienia. Chciał pozbyć się Hobo, żeby została zupełnie sama.

Bridie otworzyła szeroko oczy.

- Dobry Boże! Wy się przecież zupełnie nie znacie, jesteście dla siebie dwójką obcych ludzi i ona ci to wszystko powiedziała?

Jonah zastanawiał się, ile może wyjawić, w końcu westchnął z rezygnacją.

- Niezupełnie. Ja to po prostu wiedziałem, ona tylko potwierdziła, dodała kilka szczegółów.

Teraz Bridie westchnęła.

- To ta sama wiedza, która pomaga ci zrozumieć mysz, sowę albo jastrzębia?

- Zdaję sobie sprawę, że to trudno zrozumieć.

- Wiesz, co to za jeden?

- Nie, jeszcze nie. Ale gdybym go spotkał przypadkiem w sklepie czy na ulicy, wiedziałbym, że to on.

- Biedactwo. Nie powiedziała mi ani słowa.

- Jest bardzo silna. Nie chce się przyznawać, że z czymś nie daje sobie rady. Dlatego wołała ci o niczym nie mówić.

- Opiekuj się nią dobrze, Jonah.

- Zamierzam - przyrzekł. - A teraz, wracając do naszych banalnych spraw. Jak mam przygotować dom na pierwszy śnieg? Przychodzi ci do głowy, co jeszcze trzeba zrobić?

- Śnieg? Nie, nie sędzę. Za wcześnie jeszcze na śnieg.

Jonah pokręcił stanowczo głową.

- Będzie śnieg... I Molly ma coraz mniej mleka. Bridie zaśmiała się głośno.

- Wiem, że Molly daje coraz mniej mleka. Jestem za stara, żeby się przejmować takimi rzeczami. Po prostu nie chcę rezygnować ze swoich nawyków, sposobu życia.

- Przyniosę drewno do kominka. Co jeszcze mógłbym zrobić?

- O której masz odebrać Luce?

- Powiedziała, że około trzeciej. Zawiozę ją do domu, a potem wrócę jeszcze tutaj, w porządku?

Bridie uśmiechnęła się.

- Jak dla mnie, całkiem w porządku. Upiekłam dwie blachy ciasta, jedną możesz wziąć do domu, będziecie mieli deser do kolacji.

Jonah poczuł się, jakby otrzymał nieoczekiwany cios. Dom. Nie miał domu od bardzo, bardzo dawna i nie będzie miał żadnego, dopóki Major Bourdain na niego poluje.

- Wielkie dzięki za szarlotkę. Jest naprawdę pyszna. No to cóż... Przyniosę drewno do kominka i pojedę po Luce.

- Dokończ najpierw, co masz na talerzyku. Zaraz wracam.

Bridie wyszła z pokoju, a Jonah połknął dwa ostatnie kęsy ciasta.

Wróciła chwilę później z kilkoma banknotami w dłoni.

- Proszę - powiedziała, podając mu pieniądze. - Pomyślałam, że może ci się przydać zaliczka na poczet pierwszej tygodniówki.

- Dziękuję. - Ku największemu zdumieniu Bridie, objął ją serdecznie.

- Na pewno cię nie zawiodę, możesz być spokojna.

Kiedy znalazła się tylko w jego ramionach, ogarnął ją jakiś niezwykły spokój. Nigdy w życiu nie zaznała podobnego uczucia, tak silnego, silniejszego niż cokolwiek, czego doświadczyła. Westchnęła i całkowicie poddała się temu uczuciu.

Nawet kiedy Jonah wyszedł z domu, przenikało ją jeszcze ciepło. I to cudowne wrażenie, że wszystko jest możliwe. To właśnie w tym momencie Bridie ostatecznie przyznała, że Luce chyba jednak miała rację, obdarzając tego człowieka zaufaniem. Jeśli Jonah Szary Wilk nie był prawdziwym aniołem, to niewątpliwie był człowiekiem błogosławionym.

Luce właśnie zdejmowała fartuszek, kiedy zobaczyła Jonaha w drzwiach restauracji.

- Haroldzie, przyjechał po mnie znajomy. Do zobaczenia jutro.

- Dzisiaj spadnie śnieg - przypomniał raz jeszcze Jonah.

Harold miał siedemdziesiąt jeden lat, przynajmniej pięćdziesiąt kilogramów nadwagi i przy tym wciąż niezwykle jasny umysł. Kiedy jednak zobaczył w drzwiach młodego mężczyznę, do tego Indianina, nie wiedział, czemu bardziej się dziwić. Czy temu, że obcy odwozi jego małą Luce do domu, czy temu, że zapowiada opady śnieżne.

- Uhm... chwileczkę, ja...

Luce widziała zdumienie w oczach Harolda i uznała, że najlepiej jeśli sama dokona prezentacji, ucinając w zarodku wszelkie domysły. Cóż, i tak nie uda się uniknąć plotek. To było naprawdę małe miasteczko.

- Haroldzie, to Jonah. Będzie przez zimę pracował u Bridie. Jonah, to mój szef, Harold Carter.

- Bardzo mi przyjemnie. - Jonah uścisnął dłoń Harolda.

Uścisk dłoni mógł trwać sekundę, może dwie, dość, by Harold pozbył się jakichkolwiek obaw czy zastrzeżeń wobec obcego. Ogarnął go niezwykle spokój

- Tak... mnie też... bardzo miło poznać - powiedział Harold i przypomniał sobie o zapowiedzi opadów śnieżnych.

- Słuchałem prognozy pogody w południe, nic nie mówili o śniegu. Jonah wzruszył ramionami.

- Będzie padać.

Harold uśmiechnął się na myśl, że mógłby spaść śnieg. Poklepał Luce po ramieniu.

- Jeśli rzeczywiście spadnie, nie próbuj jutro brnąć w zaspach do pracy, weź sobie wolne. Kto by chciał plątać się po świecie w taką pogodę. Dam sobie radę sam, bo ruch będzie zapewne mały, właściwie żaden, a tych kilku, co ich tu pomimo wszystko przyniesie, bez trudu obsłużę.

Perspektywa dłuższego snu była bardzo ponętna, ale Luce nie chciała zostawiać Harolda zupełnie samego.

- Jesteś pewien? Ja przecież mogę...

- Nie, nie - zapewnił ją Harold, ciągle rozweselony, że ktoś opowiada o śniegu. - Ale pamiętaj, tylko jak będzie śnieg.

Luce pomachała Haroldowi na pożegnanie i próbowała nie zwracać uwagi na to, że Jonah położył jej dłoń na plecach, prowadząc ją do samochodu.

- Bridie dobrze się czuje? Jonah uśmiechnął się.

- Upiekła dla nas szarlotkę.

- Jej szarlotki są pyszne.

- Tak, naprawdę pyszne, bez dwóch zdań. Zjadłem już wielką porcję po lunchu i teraz nie mogę się doczekać następnej porcji.

Luce przeszedł dreszcz. Perspektywa wspólnego spędzania czasu budziła jej niepokój. Czy pojawi się między nimi coś więcej poza seksualnym przyciąganiem? Ile jeszcze przeżyje orgazmów, doprowadzających do granicy omdlenia? Westchnęła i wsiadła do samochodu.

- Zmęczona? - zapytał Jonah, zanim zamknął drzwi z jej strony.

- Tak, chyba tak - powiedziała Luce, uznawszy, że lepiej mówić o zmęczeniu, niż przyznać, że jest po prostu podniecona. Lepiej w ogóle skupić się na codziennych sprawach. - Pojedziesz jeszcze wieczorem do Bridie?

- Tak.

- Możemy podjechać do supermarketu? Mamy tyle czasu?

- Mamy mnóstwo czasu. Luce uśmiechnęła się.

- Jeśli rzeczywiście spadnie śnieg, muszę kupić kilka rzeczy.

- Spadnie, spadnie - powtórzył Jonah po raz nie wiadomo który. -

Gdzie ten supermarket?

Nie lubił myśleć o sobie, że jest podglądaczem, ale tak właśnie się czuł, obserwując, jak Luce obsługuje gości w porze śniadania. Siedział u

Harolda dość długo, zamienił słowo to z jednym znajomym, to z drugim, w końcu musiał wyjść, jeśli nie chciał spóźnić się do pracy. Zabrał się z desperacją za codzienne zajęcia, byle tylko uwolnić się od dręczących myśli. Wychodził z pracy w podłym humorze. Dopiero kiedy wrócił do domu, wygodnego domu urządzonego przez żonę, pełnego miłych zapachów i eleganckich drobiazgów, poczuł się lepiej. Żona zrobiła wszystko, żeby to był prawdziwy dom.

Kiedy wchodził do holu, telefon już dzwonił.

Rzucił kluczyki na stolik przy wejściu i pobiegł odebrać.

- Tak?

- To ja, kochanie. Chciałam tylko sprawdzić, jak sobie radzisz.

Oparł się o ścianę i uśmiechnął lekko. W głosie żony było tyle prawdziwej troski.

- Daję sobie radę, nie martw się o mnie. Powiedz lepiej, jak czuje się twoja mama?

Żona wdała się w szczegółowe wyjaśnienia dotyczące przypadłości, diagnozy oraz przebiegu leczenia, a on nie mógł wzbudzić w sobie za grosz zainteresowania dla stanu zdrowia teściowej. Znowu myślał o Luce Andahar. Czy wreszcie tej nocy będzie ją miał? Czy zdoła pozbyć się niepostrzeżenie psa? Nie miał pojęcia, ale wiedział, że musi spróbować.

- Jak myślisz, kochanie?

Ocknął się. Nie miał pojęcia, o co pytała żona, ale szybko wybrnął z sytuacji. Na pewno nie zorientowała się, że w ogóle jej nie słuchał i myślał o czymś innym.

- Wiesz co... sama zdecyduj, tak będzie najlepiej. Ja nie powinienem chyba zajmować stanowiska. Będziesz wiedziała, co robić.

- Och, dziękuję, jesteś taki kochany. Zatem zostanę z mamą jeszcze przez tydzień, a potem zobaczymy, co dalej.

Miał ochotę głośno krzyczeć z radości.

- Myślę, że to bardzo rozsądne. Dbaj o siebie, ucałuj ode mnie mamę i odzywaj się.

- Oczywiście - powiedziała żona. - Kocham cię, skarbie.

Zamknął oczy, wyobraził sobie twarz Luce i dopiero po chwili odpowiedział:

- Ja też cię kocham.

Jego życie stawało się torturą. Czasami miał wrażenie, że zaczyna wariować, traci zmysły, ogarnia go obłąd. Wiedział, że ta jego fiksacja na punkcie Luce nie jest całkiem normalna, ale nie mógł przestać myśleć o tej dziewczynie. Jak będzie wyglądała jej czerwona krew na złotej skórze? Czy będzie miała słony smak, jak jej łzy? Niedługo się przekona, znajdzie odpowiedzi na swoje pytania.

Poszedł do gabinetu, wyjął niebieski notes z szuflady biurka i zaczął pisać kolejną wiadomość dla niej. Ot, krótka informacja o tym, co będą razem robili - gdy nadejdzie odpowiedni czas.

Bourdain podejmował lunchem kilku swoich znajomych, z którymi łączyły go interesy. Dopiero przed chwilą usiedli do stołu i czekali teraz na pierwsze danie, gdy jeden z gości, niejaki Karl Kaiser, zaczął dziwnie się zachowywać.

Jego twarz zrobiła się szara, pot wystąpił mu na czoło, chociaż w domu nie było wcale gorąco.

- Karl? Dobrze się czujesz? - zapytał Bourdain z niepokojem w głosie.

Karl nie odpowiedział, chwycił się tylko za pierś, po czym zwał się na stół, twarzą w talerz.

- Jezus Maria! - krzyknął ktoś i Bourdain rzucił się do telefonu.

Wystukał numer 911. Tymczasem dwóch z jego gości położyło Karla na podłodze i usiłowało robić mu masaż serca. Karetka zaraz przyjedzie, jednak dla Bourdaina było oczywiste, że na wszelką pomoc już za późno.

Karl Kaiser przyszedł na lunch, a opuścił dom Majora w czarnym worku.

Bourdainowi zrobiło się niedobrze. Siedział z pochyloną głową, z dłońmi splecionymi między kolanami. Wiedział z własnego doświadczenia, jak kruche jest życie i jak łatwo odejść z tego świata. Słyszał już sygnał nadjeżdżającego ambulansu, ale dla Karla było za późno.

Zamknął oczy i pomyślał o Szarym Wilku. Gdyby tu był, Karl nie leżałby teraz martwy na podłodze, a konsorcjum, które chcieli stworzyć, zapewne by powstało.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Poszedł otworzyć, wpuścił sanitariuszy. Stał chwilę bez ruchu, gotując się na przetrwanie kilku następnych godzin.

Śmierć Karla umocniła go w przekonaniu, że musi, za wszelką cenę musi odnaleźć Szarego Wilka, indiańskiego uzdrowiciela. Gdyby tylko miał szansę z nim porozmawiać, na pewno by go przekonał. Indianin mógłby podać swoją cenę, mógłby żyć w luksusie. Byle tylko zgodził się zostać z Bourdainem.

Szedłby, gdzie on idzie.

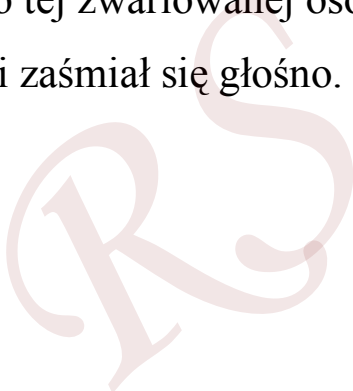
Jadłby, co on je.

Spałby w zasięgu jego głosu.

Byle tylko utrzymać Bourdaina przy życiu.

Kilka godzin później, kiedy koroner i policja opuścili dom, zabierając ciało Karla, Bourdain zaczął zastanawiać się nad sposobem odnalezienia Szarego Wilka. Podwyższenie nagrody niczego nie rozwiązywało. Odpowiedni ludzie? W ciągu ostatnich dziesięciu lat wynajmował najlepszych. Wszyscy, co do jednego, ponieśli sromotną klęskę. Nawet jeśli zbliżyli się do Indianina, natychmiast pojawiały się zwierzęta, gotowe stanąć w jego obronie.

I wtedy przyszedł mu do głowy genialny pomysł - D.J. Caufield. Że też wcześniej nie pomyślał o tej zwariowanej osobie, jakby rodem z komiksów. Odchylił głowę i zaśmiał się głośno. Dobry Boże, tym razem mu się wreszcie uda.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Hobo spał smacznie koło buzującego kominka w bezpiecznej odległości od sypiących się z ognia iskier, oparty grzbietem o polana, które Jonah ułożył pod ścianą, zanim pojechał do Bridie.

Luce stała na ganku, kiedy odjeżdżał. Odprowadziła wzrokiem znikający samochód, a potem spojrzała niespokojnie na linię drzew wyznaczającą granicę polany. Robiła to już chyba odruchowo, co źle świadczyło o stanie jej nerwów. Przypomniała sobie, że nie wyjęła poczty ze skrzynki stojącej na końcu podjazdu.

Trochę zła na siebie zeszła z ganku i ruszyła do skrzynki. Jeszcze do niej nie dochodząc, zobaczyła podjeżdżającego powoli granatowego dżipa. Tak wysoko mieszkały tylko ona i Bridie. Kto to mógł być? Ktoś do niej? Dopiero po chwili przypomniała sobie, że to przecież samochód Marka Aherna, miejscowego listonosza.

W pierwszej chwili pomyślała, że jest już trochę późno na rozwożenie poczty. Mark zatrzymał wóz koło skrzynki i pomachał energicznie na powitanie.

- Cześć, Luce, rzadko cię widuję poza knajpą Harolda.

Luce uśmiechnęła się szeroko.

- Kiedy kończę pracę, nie mam już na nic siły. Wspinam się tutaj, a potem myślę tylko o tym, żeby nie używać nóg.

Mark pokiwał głową.

- To dokładnie tak samo jak ze mną, rozumiem cię. Kiedy kończę rozwożenie poczty, za nic nie wybrałbym się na żadną przejażdżkę.

Luce zaśmiała się głośno. Mark pomyślał, że jest śliczna, kiedy się śmieje, i szybko przypomniał sobie, po co tu przyjechał.

- Muszę ruszać. Mam coś dla pani Tuesday - poklepał sporych rozmiarów paczkę leżącą na siedzeniu. - Znowu chyba jakiś zakup z katalogu sprzedaży wysyłkowej.

Luce zobaczyła naklejkę pocztową dużej firmy JCPenney. Bridie kochała zamawiać rzeczy z katalogów.

- A to twoja poczta. - Mark wręczył Luce kilka czasopism, które prenumerowała.

- Dzięki - powiedziała i cofnęła się trochę, kiedy Mark nawracał dzipa.

Odjechał w stronę domu Bridie, a ona wróciła do domu. Odłożyła czasopisma, wypakowała zakupy z supermarketu i przeszła do swojego pokoju. Pierwsza rzecz, którą zrobiła po powrocie z pracy, to wzięła prysznic. Potem przebrała się w domowe ciuchy.

Pod koniec dnia u Harolda zawsze miała wrażenie, że cuchnie olejem i dymem papierosowym.

Było wpół do piątej, kiedy zabrała się za przygotowywanie kolacji. Krzątając się po kuchni, wspominała, jak wyglądały kolacje w jej rodzinnym domu, kiedy była dzieckiem, zanim jej rodzice zginęli i zanim zrozumiała, że nie ma czegoś takiego jak „żyli potem długo i szczęśliwie”.

Ona i jej siostra plątały się rodzicom pod nogami i słuchały, jak ci opowiadają sobie, co działo się w pracy i jak im minął dzień. Jeśli miały szczęście, udawało im się zwędzić coś ze stołu. Najbardziej lubiły tortille, które mama właśnie przygotowywała na kolację. Kiedy Luce trochę

podrosła, zdała sobie sprawę, że matka doskonale widziała, jak łasują, i pozwalała, by cieszyły się, że przechytrzyły rodzicielkę.

Pamiętała wesołe błyski w oczach ojca, który patrzył, jak córki zmykają z ciepłymi tortillami. Kiedy pochłaniały swoją zdobycz na schodkach przed domem, słyszały jego śmiech.

Wzięła głęboki oddech. Czuła bolesny ucisk w gardle.

Boże, tak bardzo za nimi tęskniła.

Dość smutków, powiedziała sobie, sięgając do koszyka z warzywami po cebulę. Tyle razy od tamtego dnia zadawała sobie pytanie, dlaczego ona jedna przeżyła, dlaczego została oszczędzona, gdy pozostali zginęli w koszmarnym wypadku. Wiedziała, że to pytanie będzie ją prześladować już do końca życia.

Obrała cebulę, kilka ziemniaków, pokroiła je, do tego dodała seler, kilka marchewek, przecier pomidorowy. Robiła gulasz z warzywami.

Stojąc przy blacie kuchennym, zastanawiała się, jak to jest mieć w swoim życiu kogoś bliskiego i ukochanego. Kogoś, kto zawsze będzie obok, jak niegdyś jej ojciec obok matki, gotów zrobić wszystko dla niej i dla rodziny.

Pomyślała o Jonahu, chociaż to śmieszne marzyć o kimś, kogo poznało się zaledwie wczoraj. Sięgnęła po mięso, nalała trochę oliwy do starego żeliwnego garnka, który rozgrzewał się już na kuchence. Poddusiła mięso, dodała sól, pieprz, a potem jeszcze szcodrze dołała ostrego sosu dla uhonorowania swoich latynoskich korzeni. Teraz mogła już wsypać posiekane warzywa, dodać przecier pomidorowy i trochę bulionu wołowego. Zadowolona z siebie, przykryła garnek pokrywką.

Wkrótce po całym domku rozchodził się aromatyczny zapach duszonego mięsa i warzyw. Spojrzała na zegar. Mogła już piec chleb kukurydziany. Zagniotła ciasto, włożyła do foremki i wsunęła do piekarnika. Dzięki Bridie na deser będą mieli szarlotkę. Dla Luce oznaczało to prawdziwą ucztę, najwspanialszą, na jaką mogła sobie pozwolić.

Hobo zaszczekał kilka razy cicho przez sen, w sposób charakterystyczny dla śpiących psów. Był to gardłowy, krótki szczek. Hobo nawet nie otworzył pyska, tylko kilkakrotnie poruszył łapami. Luce uśmiechnęła się. Może śniło mu się, że złapał w końcu tę wiewiórkę, która mieszkała na wielkim starym dębie przy strumieniu. Widywała czasami, jak za nią zawzięcie gania, ale jak na razie bez większych sukcesów.

Odruchowo spojrzała na jego tylną łapę i szybko odwróciła wzrok. Od kiedy Jonah Szary Wilk pojawił się w życiu jej i Hobo, racjonalne myślenie zawodziło, w niczym nie było pomocne, nie wyjaśniało nic z tego, czego była świadkiem.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, gdy przeszła do kominka i podrzuciła kolejne polano do ognia. Robiło się już ciemno, zapadał pierwszy zmrok. Podeszła do okna, popatrzyła na ciemne chmury na niebie. Zerknęła w stronę kuchenki, jakby chciała się upewnić, czy wszystko w porządku. Potem wyszła przed dom, by jeszcze stąd spojrzeć na niebo. Za progiem uderzyła ją fala mroźnego powietrza. W ciągu ostatnich dwóch, trzech godzin temperatura musiała spaść przynajmniej o dziesięć stopni. Jonah przepowiadał śnieg i rzeczywiście wszystko wskazywało na to, że tej nocy można spodziewać się opadów.

Zadrżała z zimna. Właśnie miała wracać do domu, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Zaciekawiona odwróciła głowę, zmrużyła oczy, usiłując wypatrzeć coś w gęstniejącym mroku. Często o tej porze dnia widywała jelenie idące do strumienia, czasami szopy, choć te trzymały się z daleka, jeśli Hobo był na dworze.

Wpatrywała się w ciemności tak długo, aż oczy zaczęły ją szczypać od zimnego wiatru, ale nie wypatrzyła już żadnego ruchu. Pomyślała, że coś musiało się jej przywidzieć i odwróciła się, żeby wejść do środka. Otworzyła drzwi i wtedy Hobo wypadł jak szalony, omal nie zbijając jej z nóg. Z głośnym ujadaniem runął w stronę drzew.

Luce patrzyła za nim. Biegł dokładnie w to miejsce, w które ona wpatrywała się przed chwilą. Może jednak coś tam się poruszyło. W każdym razie za późno już na psie polowania, powinna go uspokoić. Jeśli Hobo pobiegnie za jakimś zwierzęciem, nie wróci na noc do domu. Nie może mu na to pozwolić.

- Hobo, Hobo, wracaj tu natychmiast.

Na próżno go wołała, pies przepadł.

Spał przecież spokojnie przy kominku. Co takiego wywabiło go z domu? Nie miała pojęcia, słyszała w każdym razie jego ujadanie. Nasłuchiwała dobrą chwilę, zanim zdała sobie sprawę, co słyszy. Hobo nie polował na żadne zwierzę, on atakował.

Spojrzała w stronę drzew.

Podglądacz? Czyżby to rzeczywiście był on? To jego Hobo teraz atakuje?

Ogarnięta paniką wbiegła do domu i zamknęła drzwi na klucz. Minutnik kuchenki właśnie się wyłączył, podskoczyła, słysząc głośne

kliknięcie. Drżącymi dłońmi wyjęła chleb kukurydziany z piekarnika, wyłączyła gaz pod gulaszem i chwyciła nóż. Jeśli ktoś ją zaatakuje, będzie walczyła. Przebiegła przez domek, pogasiła wszystkie światła, jednak po chwili zastanowienia zapaliła światło na ganku. Za kilka minut zrobi się zupełnie ciemno. Jeśli to jest ten wieczór, w który jej prześladowca zdecydował się uderzyć, lepiej widzieć, jak się zbliża.

Mocniej ścisnęła nóż. Już chciała przysunąć krzesło do okna, kiedy zobaczyła światła samochodu zjeżdżającego z góry.

Dzięki Bogu.

Jonah wraca.

Jonah był zmęczony, ale równocześnie przepełniało go uczucie satysfakcji i zadowolenia. Naniósł Bridie mnóstwo drewna do kominka i obiecał, że niezależnie od pogody pojawi się rano, żeby zająć się jej skromnym żywym inwentarzem, tak by sama nie musiała wychodzić z domu.

Zgodziła się chętnie, pomachała mu na pożegnanie i szybko wróciła do ciepłego, przytulnego domu, żeby nacieszyć się zakupami. W paczce był nowy płaszcz zimowy, dwie sukienki oraz nowe gumki robocze. Kiedy je zamawiała, nie wiedziała jeszcze, że będzie miała tej zimy pomocnika w domu, że wynajmie kogoś, kto wyęczy ją w codziennych zajęciach. Ale gumki zawsze mogą się przydać, szczególnie w czasie górskiej zimy, wystarczy tylko ubrać grube, ciepłe skarpety i już nie trzeba się martwić o odmrożenia. Cieszyła się swoimi zakupami, długo je oglądała.

Jonah tymczasem zjeżdżał na dół. Myślał o Lucii, o tym, jak by to było mieć wspólny dom, już na zawsze. Wiedział doskonale, że im dłużej

z nią zostanie, tym trudniej będzie mu odchodzić i znowu ruszać w drogę. W pewnym momencie jednak będzie musiał odejść, nie było wyjścia. Na próżno roił o domu. Dopóki Major Bourdain żyje, jemu nie wolno mieć nikogo bliskiego, nie mógł narażać nikogo na niebezpieczeństwo. Widać jeszcze długo pisane mu samotne życie.

Z taką oto myślą zaparkował przed domkiem. Kiedy zobaczył, że w oknach ciemno i pali się tylko światło na ganku, zrozumiał, że coś jest nie tak.

Przerażony wyskoczył z samochodu. Czuł strach w powietrzu, czuł złą energię, coś było mocno nie w porządku.

- Lucia, Lucia!

Serce waliło mu jak młot, kiedy wbiegał po stopniach na ganek. Kiedy otworzyła drzwi, jedyne, co był w stanie pomyśleć, to „dzięki Bogu”. Spojrzał na jej twarz, zobaczył nóż ściskany kurczowo w dłoni. Natychmiast wszystko zrozumiał.

- Co się dzieje? - Dotknął jej twarzy, ramienia, jakby sprawdzał, czy jest cała.

- Ktoś tutaj był.

Jonah czuł, jak bardzo jest wstrząśnięta, przerażona.

- Widziałaś go?

- Widziałam coś... jakiś ruch. Robiło się ciemno. Miałam już wrócić do środka i wtedy Hobo wypadł jak szalony i pognął w stronę drzew z potwornym ujadaniem. Usiłowałam go przywołać, ale nie słuchał mnie, zniknął. Zamknęłam się w domu i wtedy ty nadjechałeś.

- Wracaj do domu i zamknij się. Za nic nie otwieraj drzwi, nikomu, ktokolwiek by to był, choćby nawet Czerwony Kapturek.

Luce chwyciła Jonaha za rękę.

- Ciemno już. Możesz się zgubić w lesie, zabłądzić...

- Ja nigdy się nie gubię w ciemnościach, nocuję przecież w lasach.

Kurczowo zacisnęła palce wokół jego nadgarstka.

- Boję się.

- Czekaj na mnie, na pewno wrócę. - Nachylił się i pocałował ją.

Mocno. Szybko.

Powietrze ożyło jak poruszone tysiącem ptasich skrzydeł, zawibrowało, jak po potężnym wybuchu. Jonah niemal doprowadził Luce do kolejnego orgazmu. Pchnął ją lekko do środka i zatrzasnął drzwi.

- Zamknij się! - krzyknął.

Przekręciła zamek i osunęła się na podłogę. Nóż wypadł jej z dłoni. Siedziała w ciemnościach, czując jeszcze dotknięcie warg Jonaha. Przez ten krótki moment, póki trwał pocałunek, Jonah obudził w niej coś niesamowitego, o czym dotąd nie miała pojęcia.

Namiętność. Ogrom namiętności, o jaki nigdy się nie podejrzewała.

Drżała teraz, ale już nie ze strachu.

Boże, proszę, sprowadź go bezpiecznie do domu, do mnie. Nie chcę odchodzić z tego świata, nie spędziwszy choćby jednej nocy w ramionach Szarego Wilka. Daj nam obojgu tę szansę, modliła się żarliwie.

Jonah biegł, nie oglądając się za siebie. Oto przekroczył granicę, której ślubował sobie nigdy nie przekraczać, ale nie mógł jej zostawić takiej przerażonej. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to zająć czymś jej myśli, sprawić, by zapomniała o strachu.

Dlatego... pocałował ją.

Może było w tym pocałunku więcej, niż zamierzał dawać, ale stało się. Powiedział jej tym pocałunkiem, co naprawdę do niej czuje, ale wiedział, że nigdy nie będzie tego żałował.

Kiedy dotarł do granicy drzew, zatrzymał się, jakby szukał właściwego kierunku. Zło. Czuł wyraźnie obecność zła. Ciarki go przeszły, kiedy usłyszał wycie Hobo.

Pies informował, że coś znalazł. Albo kogoś.

Poszedł za psim głosem, zaczął biec, uchylając się przed gałęziami, przeskakując wystające korzenie, używając całej swej mocy do rozwinięcia prędkości w gęstniejących ciemnościach.

Napastnik siedział na drzewie i kłął własną nierozwagę. Mowy nie było, żeby pobiegł szybciej niż pies, a od samochodu dzieliło go dobrych kilkaset metrów. Kiedy już siedział na drzewie, wyciągnął pistolet, zamierzając pozbyć się psa, zanim ktoś się tu pojawi, zwabiony ujadaniem tego kundla.

No tak, ale jak tu mierzyć do celu w ciemnościach? Ciemności też nie brał pod uwagę, budując wcześniej swój misterny plan. Mógł tylko kierować się ujadaniem i hałasem robionym przez psa. Wystraszony kłął Luce, jej psa, własne chore żądze. Zaczął strzelać w mrok, bez przekonania, kierowany niezdrową desperacją.

Dwa pierwsze strzały okazały się chybione, ale czuł, że wystraszyły psa. Strzelił po raz trzeci i usłyszał skowyt.

- Dobrze - mruknął do siebie. Albo trafił, albo przynajmniej wystraszył psa.

Jeszcze za swoich bezpiecznych czasów Hobo został postrzelony i panicznie bał się strzałów. Tym razem kula drasnęła łopatkę, zostawiając

piekącą ranę. Powierzchnowa rana, ale Hobo podwinął ogon i uciekł ze skowyt.

Kiedy tylko napastnik usłyszał, że pies umyka, zeskoczył z drzewa, raz jeszcze strzelając w powietrze, dla upewnienia się, że pies nie ponowi ataku. W chwilę później dopadł samochodu, wskoczył za kierownicę i odjechał na pełnym gazie, sypiąc ziemią i drobnymi kamykami spod opon.

Dopiero na obrzeżach Little Top zaczął oddychać spokojniej. Dojechał do domu, otworzył drzwi garażu pilotem i wjechał do środka. Nacisnął na hamulec i samochód zatrzymał się z piskiem opon przy samej ścianie. Wsiadł, zamknął drzwi garażu.

Gdy już wszedł do środka, zaczęło do niego docierać, że mało brakowało, by go złapano. Zdjął ubranie, wrzucił je do kosza z brudną bielizną i nagi poszedł do łazienki. Zapalił światło, oparł się o umywalkę, przyglądał się sobie przez chwilę w lustrze, a potem nachylił się i zwymiotował do sedesu.

Kiedy Jonah usłyszał strzały, a potem rozpaczliwy skowyt, zaczął biec szybciej, nie zważając na to, że gałęzie smagają go po twarzy i że rozdziera ubranie o krzaki.

Wystraszony hukami jeleni wyskoczył z zarośli tuż przed nosem Jonaha. Jonah potknął się, hamując gwałtownie, by nie zderzyć się ze zwierzęciem. Czuł panikę jelenia, czuł też jego charakterystyczny zapach, nawet gdy zwierzę już dawno zniknęło. Biegł dalej, ale strzały już umilkły, Hobo też nie było słyhać. Jonah wołał nie myśleć, co się mogło stać. Biegł dalej.

Kiedy już myślał, że obrał zły kierunek, zobaczył Hobo leżącego przy ścieżce i liżącego bok.

Na szczęście pies żyje, pomyślał i opadł na kolana.

- Cześć, staruszk. Gdzieś ty był i co sobie zafundowałeś tym razem?

- zapytał, przesuwając dłonią wzdłuż psiego ciała.

Pies zaskomlał i polizał palce Jonaha. Chwilę później Jonah natrafił na lepłą strużynę na łopatkę Hobo. Tu musiała trafić go kula, która poszła wierzchem, naruszając skórę. Szybko położył obie dłonie na ranie.

W lesie zapanował magiczny spokój, wszystko się uciszyło, Jonaha i Hobo otoczyło to samo, co zawsze przy cudzie uzdrawiania, bijące w oczy, jaskrawe światło. Scenie przyglądała się sowa siedząca na drzewie nieopodal. Lis zmierzający do strumienia zboczył z drogi, obwąchał Jonaha i spokojnie powędrował dalej za swoimi sprawami.

Chwilę później Jonah zakołysał się na piętach i podniósł, wstał też Hobo, polizał buty Jonaha, potem jego palce.

Jonah pogłaskał go po łbie. - Wracaj do domu.

Hobo pobiegł stokiem w górę, w kierunku starego domku Tuesdayów, ale Jonah nie mógł jeszcze wracać, nie był gotów. Być może został jakiś ślad, trop, może uda się coś znaleźć.

Patrzył za znikającym psem, a potem podniósł głowę. Zamknął oczy, uwolnił wszystkie zmysły. Czuł strach tego człowieka unoszący się jeszcze w powietrzu. Poszedł za tym zapachem, przywołując na pomoc zwierzęcy instynkt, który tkwił w nim gdzieś głęboko i który teraz doszedł do głosu.

Szedł za napastnikiem.

Trop kończył się na małej polance przy wąskiej asfaltowej drodze. Chociaż wokół panowały nieprzeniknione ciemności, Jonah widział

wszystko. Widział ślady opon. Tutaj ten człowiek musiał parkować, i stąd odjechał w pośpiechu.

Jonah nic więcej nie był w stanie zrobić. Z poczuciem zawodu zawrócił w stronę domku Tuesdayów. Pomyślał o Luce. Czekająca na niego przerażona, przeżywała męki niepewności. Przyspieszył kroku.

I wtedy poczuł pierwsze płatki śniegu na twarzy.

Kiedy dotarł na polanę, na której stał domek, sypał już gęsty śnieg, otulając świat ciszą. Jonah nie słyszał już lasu, tylko własne, skrzypiące kroki. Śnieżna cisza wokół, świat zasypia pod białą pierzyną, pomyślał. Przez zasłonę śniegu migotało światło na ganku. Coś ujęło go za serce. Luce zostawiła zapalone światło, by sprowadziło go bezpiecznie do domu.

Dopiero teraz poczuł, jak bardzo zrobiło się zimno. Płatki czepiały się ubrania i szybko, niemal w tej samej sekundzie topniały.

Szybciej do domu. Schronić się w ciepłe.

Nie doszedł jeszcze do ganku, gdy drzwi się otworzyły, stanęła w nich Luce. Po chwili zbiegła i rzuciła się Jonahowi na szyję.

- Tak się bałem o ciebie - szepnął. - Chciałem go złapać, ale spóźniłem się.

- Nieważne. Nic nie jest ważne poza tym, że ty i Hobo wróciliście bezpiecznie, cali i zdrowi - powiedziała Luce i uwolniła się z objęć Jonaha. - Jesteś zupełnie przemarznięty, wchodź do środka... szybko. Musisz zrzucić to przemoczone ubranie, zanim się zaziębisz.

Poszedł za Luce. Wszedł do domku, zamknął drzwi i przekreślił zamek.

Hobo grzał się przy ogniu, jakby nic mu się nie stało i nie przeżył złej przygody. Luce szybko podeszła do kominka i dorzuciła dwa duże polana.

Natychmiast zajęły się ogniem, zrobiło się jeszcze cieplej w i tak już ciepłym wnętrzu. Kiedy tylko Jonah trochę się rozgrzał, kiedy ciepło przeniknęło przez wilgotne ubranie, poczuł, jak bardzo jest wyczerpany.

- Jak dobrze grzać się przy tych buzujących płomieniach. - Zaczął zdejmować mokre rzeczy, chciał się uwolnić z nich jak najprędzej. - Ściągam ubranie - ostrzegł ją.

- Jasne - mruknęła Luce. Zamierzała odejść, usunąć się, ale trwała w miejscu jak zahipnotyzowana, nie była w stanie się ruszyć, zostawić go samego, dać mu trochę prywatności.

Zdejmował kolejne części ubrania. Patrzyła z lekko rozchyłonymi ustami na to idealne, wspaniałe ciało i tylko od czasu do czasu przypominała sobie, że człowiek jednak musi oddychać. Kiedy stanął przed kominkiem w samych bokserkach, wstrząsnął nią dreszcz, zamknęła oczy, odwróciła się, ale spojrzała znowu, kiedy usłyszała, że Jonah się poruszył.

Rozłożył swoje rzeczy w pobliżu ognia, żeby szybciej wyschły. A potem podniósł głowę, zobaczył w oczach Luce pragnienie, pożądanie, jakiś głód i jęknął niemal bezgłośnie.

- Luce... ja...

- Mam ciepły gulasz i chleb kukurydziany w piekarniku.

Jonah z wysiłkiem wciągnął powietrze, kiwnął powoli głową.

- Daj mi chwilę czasu, przebiorę się tylko w suche rzeczy - powiedział i z ociąganiem poszedł do swojego, o wiele zimniejszego niż

ten pokoju. Tu, gdzie jesteśmy razem, jest ciepło. W małym pokoju, gdzie mieszkam sam, zimno, pomyślał, układając w głowie metaforę ludzkiego losu.

Luce drżącymi dłońmi nakładała ciepły, pachnący gulasz do miski. Wyjęła z piekarnika świeżutki chleb kukurydziany, potem jeszcze naląła parującej kawy do dużego kubka o grubych ściankach i postawiła to wszystko na stole. Gdy Jonah wrócił, kolacja już na niego czekała.

- Wygląda i pachnie wspaniale - powiedział Jonah, siadając.

- Dziękuję.

- Nie, to ja dziękuję tobie. - Ta wymiana zdań stawała się już rytuałem.

Zaczął jeść, jednocześnie obserwował nerwowe ruchy Luce. On też czuł jej pożądanie. Pragnęła go, ale bała się. Nie podobało mu się, że czuje się przy nim nieswojo, że jest skrepowana, ale nie dziwił się temu. Nie miał dotąd takich doświadczeń z kobietami. To, co działo się między nimi, było wyjątkowe, zupełnie nowe, również dla niego. Jak mógł się spodziewać zaufania czy też raczej ufności z jej strony, kiedy on sam sobie nie potrafił jeszcze zaufać?

Luce nie była w stanie usiedzieć spokojnie. Ilekroć na niego spojrzała, przypominała sobie, jak wyglądał przed chwilą. Smukła sylwetka na tle kominka, oświetlona blaskiem płomieni, długie, muskularne ręce, długie nogi, szerokie ramiona, płaski brzuch, złotobrazowa, gładka skóra.

Kiedy przebrał się w suche ubranie, związał włosy w kucyk, w pełni odsłaniając twarz. Wiedziała, że to głupie myśleć o mężczyźnie „piękny”,

ale to było najtrafniejsze i jedyne określenie, jakie przychodziło jej na myśl.

Jonah pochwycił to spojrzenie i uśmiechnął się, mrugnął i uniósł do ust łyżkę.

Luce zaczerwieniła się i odwzajemniła jego uśmiech.

- Możesz mnie pozwać za to, że tak się w ciebie wpatruję. Po tym striptizie, który mi urządziłeś przed kominkiem, nie powinieneś się dziwić ani mieć mi tego za złe.

- Ostrzegalem cię, że chcę się przebrać.

- Co wywarło wręcz odwrotny skutek, bo tylko podsyciło moją ciekawość.

Zaśmiał się głośno i pokręcił głową.

- To się nazywa absolutna, bezwarunkowa szczerowość. Jak facet może zareagować na coś takiego? Jaki ruch mu pozostaje?

Luce spoważniała.

- Zapewne... każdy. Inaczej mówiąc, facet może zrobić, na co tylko ma ochotę.

Jonahowi mocniej zabiło serce.

- Co byś powiedziała, gdyby chciał... no wiesz, co mam na myśli?

Luce poczuła, że otwiera się przed nią zupełnie nowa przyszłość, jeszcze nieznana, nieprzewidziana. Wiedziała, że jeśli teraz powie mu „nie”, to będzie koniec. Ale ona nie chciała i nie zamierzała mu odmawiać. Niczego. Decyzja należała do niej, toteż trochę przerażał ją fakt, że posiada taką władzę.

- Powiedziałabym mu, żeby to zrobił.

Jonah przestał jeść, powoli odłożył łyżkę i wziął głęboki oddech.

- Pamiętasz, co ci mówiłem... o nagrodzie za schwytanie mnie? Ten człowiek nie zrezygnuje, nie da mi spokoju. Jego najemnicy polują na mnie już od dziesięciu lat.

Luce skinęła głową.

- Dlatego nigdy nie angażowałem się w żadne związki. Nigdy nie odważyłem się nikogo pokochać, ponieważ mam świadomość, że każdy, kto by się ze mną związał, jest narażony na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nozdrza Luce rozszerzyły się lekko, ciemne oczy zwięzły się.

- Wszyscy, których kochałam, dawno nie żyją, Jonahu Szary Wilku, a ja nie miałam z tym nic wspólnego. W żaden sposób nie przyczyniłam się do ich śmierci. Jeśli nie ryzykujesz, nic nie masz. Nie rozumiem tego, nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak jest, ale nie chcę stracić szansy na przeżycie czegoś wyjątkowego. Rozumiesz mnie?

Przesunęła dłonią po włosach.

- Spójrz na to w ten sposób, od wielu miesięcy żyję w ustawicznym lęku. Twoja obecność może zachować mnie przy życiu. - Broda zadrżała jej lekko przy tych słowach. - Jestem potwornie zmęczona życiem w samotności.

Jonah wiedział doskonale, o czym mówi Luce. Osamotnienie było częścią jego życia i tak już w to życie wrosło, że traktował je jako coś oczywistego i naturalnego. I oto pojawiła się Lucia, gotowa zaryzykować wszystko dla szansy na miłość, nawet narażając się, być może, na śmiertelne zagrożenie.

Nachylił się i wyciągnął ku niej dłoń.

Luce nie wahała się.

Kiedy podała mu dłoń, kiedy ich palce się splotły, wiedziała, że tak właśnie ma być. Wstała.

Jonah również się podniósł.

Przeszli razem przez pokój i zatrzymali się w małym korytarzyku.

- Chodźmy do mnie - powiedziała Luce.

- Dlaczego?

- Ponieważ kiedy już odejdziesz, chcę zapamiętać cię właśnie tutaj... w moim pokoju... w moim łóżku... we mnie.

Krew tak szybko zaczęła krążyć w żyłach Jonaha, że trudno mu było oddychać. Z cichym pomrukiem chwycił ją na ręce i wniósł do sypialni. Drżała, kiedy kładł ją na łóżku, ale wiedział, że to nie ze strachu. Pragnęła go tak bardzo, jak on pragnął jej.

Rozebrał się szybko, zręcznie, bez jednego zbędnego ruchu, a potem zaczął zdejmować ubranie z Luce.

- Lucia... Wyciągnęła dłoń.

Położył się i wziął ją w ramiona.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jonah?

- Tak?

- To była magia.

Unióśł dłoń Luce, ucałował, a potem palcami przesunął po jej wargach, jakby uczył się ich kształtu.

- Tak, to była magia. - Jonah uniósł się na łokciu i pocałował ją w usta. - Och, Lucio...

- Tak?

- To nie powinno było się zdarzyć.

W rozszerzonych oczach Luce odmalował się szok, a potem ból.

- Wyjdź zatem z mojego łóżka.

- Nie. - Jonah przygniótł ją ciężarem swojego ciała do materaca, chwycił za nadgarstki, unieruchamiając zupełnie. - Nie powinno było się zdarzyć, ale się zdarzyło i... nigdy, przenigdy nie będę tego żałował.

Luce próbowała powstrzymywać łzy.

- W takim razie dlaczego to powiedziałaś? Nie rozumiem.

Nachylił się tak, że teraz ich czoła się stykały. Puścił jej nadgarstki i ujął twarz Luce w dłonie.

- Ponieważ to prawda. Miłość do ciebie daje Bourdainowi władzę nade mną, punkt zaczepienia. Jeśli dowie się o twoim istnieniu, użyje cię, żeby dotrzeć do mnie. Od tej chwili twoje życie jest zagrożone, przeze mnie. To przecież oczywiste.

Po policzku Luce spłynęła samotna łza.

- Moje życie i bez tego jest zagrożone. Zapomniałeś o człowieku, który prześladowa mnie od miesięcy?

Pomyślał o pościgu po lesie. To było ledwie godzinę temu.

- Nie zapomniałem. Pamiętam o nim aż nazbyt dobrze.

Jonah koniuszkiem języka zlizął słoną łzę z policzka Luce. Luce jęknęła.

- Jeśli ty nikomu nie powiesz o nas, ja nie zdradzę się słowem.

Jonah pokręcił głową.

- Nie musimy nic mówić. Wystarczy, że ktoś na mnie spojrzy i już będzie wszystko wiedział.

Luce spojrzała na jego twarz. Serce zabiło jej mocniej. Pomyślała, że być może Jonah jednak ma rację. Te gorejące oczy...

- O czym myślisz? Oczy mu się zwięzły.

- Wilk dobiera sobie towarzyszkę na całe życie. Należysz teraz do mnie.

Kąciki ust Luce opadły.

- Ja...

- Tak. Jestem tak samo zaskoczony jak ty, przecież poznaliśmy się zaledwie wczoraj. Niesamowite, że tyle już zdążyło się wydarzyć. Niewiele mieliśmy czasu, żeby dowiedzieć się o sobie czegoś więcej, choć to i owo sobie opowiedzieliśmy.

Luce uśmiechnęła się. Rzeczywiście poznali się zaledwie poprzedniego dnia. Piorunujące tempo, ale w jej sercu zdążyła obudzić się miłość. Tak długo była zupełnie sama. Wystarczyło mniej niż doba, by przyzwyczać się do jego obecności. Jednak w przypadku kogoś tak wyjątkowego jak Jonah Szary Wilk to w zupełności wystarczyło.

- Chodź no tutaj - powiedziała miękko, zaplotła mu dłonie na karku i pocałowała, mocno, długo, aż usłyszała jego gardłowy jęk. Kiedy już tracił zmysły, wydobyła się spod niego.

- Nie jadłeś deseru, ukroję po kawałku szarlotki Bridie.

- Ty jesteś moim najlepszym deserem - powiedział Jonah i wyciągnął rękę, ale Luce zdążyła wyskoczyć z łóżka.

- Wypuszczę Hobo, a ty się tymczasem ubierz. Jonah podniósł się, usiadł na krawędzi łóżka. Miał już wstać, ale znieruchomiał, podziwiał ciało Luce.

- Lucia, może włoż coś na siebie, gołym okiem widzę, że marzniesz.

Wykrzywiła się paskudnie, ale Jonah miał rację, nie mogła biegać po domu nago. Wciągnęła pospiesznie bawełniane spodnie od dresu i wychodząc już z pokoju, obszerną bawełnianą bluzę.

Słyszał, jak budzi Hobo, słyszał otwieranie drzwi wejściowych i pisk, gdy uderzył w nią podmuch mroźnej zawiei. Uśmiechając się, przeszedł do swojego pokoju, włożył czyste bokserki i poszedł do dużego pokoju. Luce właśnie dokładała polana do ognia.

Pocałował ją w kark i wyjął jej drewno z ręki.

- Ja to zrobię, ty miałaś podobno ukroić kawałek ciasta.

Luce uśmiechnęła się, wypuściła drewno, ale nie ruszała się, podziwiała grę mięśni na plecach Jonaha, kiedy nachylał się, by dorzucić polano. Wyciągnęła dłoń i zanurzyła ją w jego, teraz już rozpuszczonych, włosach. Gumka, którą związał włosy, zsunęła się niepostrzeżenie, gdy się kochali. Miał gęste włosy, były trochę jeszcze wilgotne od śniegu i jedwabiste.

Zakołysał się lekko na piętach i podniósł na nią wzrok.

- Co?

- Nic... Ja tylko... chciałam... chciałam cię dotknąć. Po prostu.

W dotychczasowym świecie Jonaha nie było miejsca na czułość.

Gardło ścisnęło mu wzruszenie, głos był zdławiony.

- Zatem dziękuję ci, moja Lucio, bo od bardzo, bardzo dawna nikogo nie obchodziłem na tyle, by chciał mnie dotknąć.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła Luce. Jonah podniósł się, ujął ją pod brodę, a ona lekko odchyliła głowę.

- A teraz jest? Skinęła potwierdzająco.

Objął ją i przytulił do piersi. Słyszała bicie jego serca i głos Jonaha: przyrzekał, że nigdy jej nie opuści i już nigdy nie będzie sama.

D.J. Caufield uwielbia luksus. Kiedy więc dzwoni doń Major Bourdain, zlecając odnalezienie pewnego człowieka za sumę miliona dolarów, Caufield uśmiecha się szeroko. Lubi luksus, ale nade wszystko kocha polowanie, kocha pościg. Na poczet nagrody, a nie ma najmniejszych wątpliwości, że ją zgarnie, kupuje sobie hummera. Może sobie pozwolić na ten wydatek, ponieważ nie wie, co to przegrana, nie ma w swojej karierze takich przypadków. Łowy zawsze kończą się sukcesem.

Następnego dnia kurierem otrzymuje od Majora dane dotyczące obiektu polowania, niejakiego Jonaha Szarego Wilka. Przegląda dossier podczas śniadania. Szybko pojmuje, że to niezwykle człowiek, intrygujący i tajemniczy. Historia ze zwierzętami, które przyszły mu z pomocą, wydaje się mocno przesadzona, ale milion dolarów to na tyle poważna suma, by zignorować fakt, że chodzi o jakiegoś odmienca, jak przynajmniej twierdzi Bourdain.

Według danych zawartych w teczce Szary Wilk po raz ostatni widziany był w górach Wirginii Zachodniej. W porannej prognozie pogody zapowiadano tam właśnie intensywne opady śniegu.

Caufield krzywi się. Zima to obrzydliwa pora roku, ale milion dolarów jest w stanie rozgrzać nawet najbardziej przemarznięte stopy.

Hobo drapał w drzwi, sygnalizując, że koniecznie, natychmiast, bezwarunkowo musi wyjść i Luce wreszcie otworzyła oczy. Jonah nadal spał głębokim snem. Nie wiedziała, czy powinna być przerażona swoim postępowaniem, czy też uznać się za wielką szczęściarę, że ten człowiek pojawił się w jej życiu. Jonah obrócił się na bok i we śnie wyciągnął ramię, żeby ją objąć, Luce westchnęła. Cóż, jednak jest nieprzeciętną szczęściarą.

- Muszę wypuścić Hobo - szepnęła, ucałowała czubek nosa Jonaha i wstała.

Jonah prawie natychmiast się obudził, sięgnął po swoje bokserki, spojrzął na zegarek; była za pięć siódma.

- Ja go wypuszczę. I tak muszę wstać, bo jadę do Bridie, a ty miałaś się dzisiaj wyspać, zapomniałaś już?

- Pod warunkiem, że nasypało śniegu - powiedziała z naciskiem.

Jonah uniósł brew.

- Ciągle masz wątpliwości?

- Chcę popatrzeć na świat - powiedziała i wymknęła się z pokoju, zostawiając Jonaha walczącego jeszcze z bokserkami.

Otworzyła drzwi. Hobo skoczył w śnieg z entuzjazmem dziecka, któremu właśnie pozwolono się pobawić. Patrzyła z uśmiechem, jak podskakuje, by zapaść się znowu w biały puch, jak chwyta śnieg w pysk i

szczeka zachwycony odmianą. Śnieg sięgał najwyższego schodka ganku, pokrywał całe podwórko nieskalanym kobiercem, który Hobo właśnie rujnował. Luce obserwowała go jeszcze przez moment, po czym zamknęła drzwi i poszła poruszyć ogień.

Tlił się ciągle pod popiołem, wystarczyło tylko przegarnąć zwęglone drewno pogrzebaczem, dać podpałkę, dorzucić nowe polana, i w kominku już buzowały płomienie. Zadowolona, że tak łatwo to poszło, ruszyła do kuchni, żeby zaparzyć świeżą kawę. Nawet jeśli miała wrócić do łóżka, chciała najpierw wypić kubek gorącej kawy.

Kawa była prawie gotowa, gdy Jonah wynurzył się ze swojego pokoju. Miał na sobie znoszone, ale czyste džinsy, T-shirt i flanelową koszulę w czerwono-czarną kratkę. Wcześniej ustawiła jego buty przy ogniu, żeby się ogrzały i teraz, zanim je włożył, uśmiechnął się do niej, dziękując za troskliwość.

- Jeśli masz coś do prania, zostaw na podłodze w swoim pokoju, zanim wyjdiesz. Upiorę twoje rzeczy razem z moimi.

Jonah wstał, tupnął kilka razy lekko, żeby ułożyć stopy wygodnie w butach, po czym spojrzął na bose stopy Luce.

- Nie masz żadnych kapci?

Wzruszyła ramionami.

- Nie. Zwykle noszę grube skarpety i to mi zupełnie wystarcza.

Zmarszczył czoło i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to kawa tak pachnie.

- Mógłbym zabrać kubek kawy ze sobą?

- Jasne, że mógłbyś, ale myślałam, że zrobię ci śniadanie.

- Wezmę słodką bułeczkę z tych, które kupiliśmy wczoraj, to mi wystarczy.

Luce wyjęła ze spiżarni miodową bułeczkę w celofanie, naląła kawy do największego kubka, jaki miała, i zniosła to wszystko do drzwi, gdzie czekał Jonah.

Wspięła się na palce i pocałowała Jonaha na pożegnanie.

- Hobo przetarł ci już ścieżkę. Uściskaj ode mnie Bridie.

Jonah naburmuszył się, odstawił kawę i bułeczkę na stolik przy wejściu, wziął Luce w ramiona.

- Powiem, że ją pozdrawiasz, uściski są zarezerwowane dla mnie.

I pocałował ją.

Tak jak wcześniej, Luce poczuła, że świat zadrżał. Kiedy jego usta dotknęły jej warg, mignął jej przed oczami pysk wilka. Wtem Jonah uniósł ją, zakręcił gwałtownie i przycisnął do ściany.

Luce objęła nogami jego biodra, zarzuciła mu ręce na szyję. Kiedy Jonah oderwał usta od jej ust, jęknęła, jakby nie zgadzała się, że przestał ją całować, ale Jonah przytulił policzek do jej policzka i zaczął szeptać.

Mówił o tym, co dopiero nadejdzie, opowiadał, czego może oczekiwać, czego się spodziewać, i były to rzeczy, o których Lucii Marii Andahar nigdy się nie śniło. Miałyby naprawdę być jej udziałem?

Szaleństwo, istne szaleństwo. Chwycił lekko zębami jej ucho, a potem przycisnął wargi do jej szyi, tam gdzie najlepiej wyczuwa się puls.

Luce zaczęła jęczeć, gdy wstrząsnął nią nieoczekiwany orgazm, przenikający całe ciało od stóp do głów. Drżącą jeszcze od jego pieszczot, od siły jego dotyku zaniósł do łóżka, położył delikatnie dokładnie w tym samym miejscu, gdzie spała wcześniej i otulił troskliwie kołdrą.

- Śpij - powiedział cicho. Zamknęła posłusznie oczy.

Jonah stał jeszcze przez chwilę, patrzył, jak drgają lekko zamknięte powieki, jak długie, ciemne rzęsy rzucają cień na policzki, a potem zacisnął zęby i wyszedł przed dom.

Gwizdnął. Hobo pojawił się natychmiast.

- Do domu - powiedział Jonah, przytrzymując drzwi. - Pilnuj jej dobrze - polecił jeszcze, zwolnił zatrząsk pod klamką i zamknął drzwi.

Brnąc w śniegu, dotarł do samochodu. Stary pikap zapalił łatwiej, niż Jonah oczekiwał. Ruszył drogą pod górę do domu Bridie, by zająć się potrzebami drugiej z kobiet w jego życiu. I pomyśleć, że jeszcze dwa dni wcześniej nie miał nikogo, był zupełnie sam. Nadal nie mógł uwierzyć w tę nagłą odmianę, jaka zaszła w jego życiu.

Śnił o swojej żonie, ale kiedy zaczął się z nią kochać, zamieniła się nieoczekiwanie w Luce Andahar. Obudził się zlany potem, pewien, że zostanie zdemaskowany, że wszyscy się dowiedzą o jego postępach. Nie, to był tylko sen, pomyślał półprzytomnie. Żona jest przecież nadal u swojej matki. Przewrócił się na plecy i otarł drżącymi dłońmi pot z twarzy.

- Niech to diabli... niech to wszyscy diabli - mruknął pod nosem i spojrzął na zegarek. Raz jeszcze zaklął cicho i podniósł się z łóżka.

Wszedł do łazienki, zerknął odruchowo przez okno i zobaczył, że spadł śnieg. Nienawidził zimy. Prawdę mówiąc, w zimie czy latem, w ogóle nienawidził Wirginii. Od lat usiłował przekonać żonę, żeby przenieśli się do Miami, ale ona bała się huraganów i nie chciała mieszkać tak daleko od matki.

Westchnął ciężko. Jeśli będzie miał szczęście, teściowa powinna niedługo kopnąć w kalendarz, wówczas może uda mu się namówić żonę

do przeprowadzki. Nie muszą mieszkać na wybrzeżu, mogliby się osiedlić gdzieś w głębi lądu. Chciał mieszkać w miejscu, gdzie trawa jest zawsze zielona i gdzie przez cały rok świeci słońce. Poza tym łatwiej znaleźć kochankę na tak zwanym gęsto zaludnionym obszarze. A kiedy taka dziewczyna przypadnie, minie wiele dni, czasami tygodni, zanim ktoś zauważy jej zniknięcie. Inaczej niż tutaj. Jeśli Luce nie pokaże się w pracy, natychmiast zostanie uznana za zaginioną, no, powiedzmy po przepisowych czterdziestu ośmiu godzinach, w każdym razie wszyscy wokół zauważą, że coś się stało, że musiało się przytrafić jej coś złego. Znalezienie ciała to zupełnie inna sprawa.

W każdym razie mieszkając w Little Top, musiał być ostrożny. Często zadawał sobie pytanie, dlaczego tu mieszka, co go trzyma w tej zapadłej dziurze. Dlaczego ożenił się, zamiast postąpić tak, jak zwykle postępował ze swoimi kobietami? Może dlatego, że Sue przypominała mu jego matkę? Ze to ona podejmowała wszystkie decyzje. On stawał się królem życia dopiero poza domem.

Kiedy się golił i gotował do wyjścia, pomyślał, że może wpadnie na śniadanie do Harolda. Będzie mógł popatrzeć na Luce, na jej piersi. Całkiem niezły sposób na rozpoczęcie dnia.

Kiedy wyjechał z garażu, przekonał się, że nie będzie to takie proste. Szef wydziału drogowego rady miejskiej najwyraźniej jeszcze spał, inaczej poleciliby odśnieżyć ulice i posypać je piaskiem.

Klnąc żonę, pogodę oraz urzędników, których zima jak zwykle zaskoczyła, dotarł w końcu jakoś do knajpy.

Harold siedział w głębi sali i kończył jeść śniadanie. Kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach, podniósł głowę, przełknął ostatni kęs grzanki i gestem zaprosił gościa do środka.

- A to niespodzianka. Już myślałem, że dzisiaj nikt się nie pojawi. Siadaj, proszę. Zaraz przyniosę kawę.

- Gdzie Luce?

- Po wiedziałem jej wczoraj, że jeśli spadnie śnieg, może zostać w domu. Nie było sensu, żeby przychodziła do pracy, skoro nie będzie ruchu. Wątpię, bym miał chociaż dziesięciu klientów do końca dnia.

- Och.

- Co ci podać? - zapytał Harold, nalewając gościowi kawę.

- Masz biszkopty i sos gravy?

- Jasne, mnóstwo. Może weźmiesz do tego pieczone ziemniaki?

- Możesz dać ziemniaki, wszystko jedno - powiedział, słodząc kawę i dodając śmietankę. Znowu był wściekły. Najpierw ten cholerny śnieg, teraz okazuje się, że nie zobaczy dzisiaj Luce.

- Słyszałem, że kiepsko z matką Sue. Jak się teraz czuje?

- Niedobrze, bardzo niedobrze. Żona zostanie u niej do końca tygodnia.

- To jesteś teraz słomianym wdowcem? Skinął głową. Jest słomianym wdowcem albo kawalerem, jak zwał, tak zwał. Do końca tygodnia. Niestety, tylko do końca tygodnia. Ba, gdyby rzeczywiście był kawalerem...

- Zrobię dzisiaj chilli, upiekę trochę chleba kukurydzianego. Wpadnij na lunch, jeśli będziesz jeszcze w pracy. Zawsze lepsze to niż jakaś zupa z puszki.

- Dzięki... Zajrzę - powiedział. Otworzył gazetę i udał, że czyta. Miał nadzieję, że Harold zrozumie i wreszcie się zamknie.

Nie wiedział, co będzie robił później, ale korciło go, żeby pojechać na górę. Jeśli Luce zasypało, może ucieszy się z towarzystwa, będzie gotowa go przyjąć. On był gotów. Na wszystko.

W oknach u Bridie paliły się światła, kiedy Jonah wjechał na podwórze. Zamiast zaparkować przed domem, jak zwykle, pojechał do obory. Obrobi się tutaj, a potem wróci i zaopatrzy Bridie w kolejny zapas drewna do kominka.

Zobaczył Bridie w oknie kuchni, zatrąbił i pomachał, Bridie odmachala, a on pojechał dalej, w stronę obory.

Stara Molly czekała już na niego. Cicho zamuczała, kiedy wszedł.

- Dzień dobry, dzień dobry - powiedział, podrapał ją za uchem i obrócił tak, żeby umieścić jej łeb w bramce.

Napełnił wiadro paszą, przesyłał ją do żłobu, a potem chwycił wiadro do mleka, przysunął sobie stółek i usiadł przy Molly.

Ciepłe wymię rozgrzewało zgrabiące palce. Powoli zaczął doić i wkrótce zapach świeżego, ciepłego mleka mieszał się z zapachem siana i słodkiej paszy, którą Molly dostawała podczas dojenia.

Dojenie krowy należy do zadań nie wymagających myślenia ani specjalnych umiejętności, potrzebna jest tylko cierpliwość. Jonah lubił te samotne chwile w oborze.

Wielki czarny wąż, który zimował pod sianem, spał w najlepsze. Sowa mieszkająca na krokwi pod dachem udawała, że śpi, ale Jonah wiedział, że obserwuje go jednym okiem, ot, na wszelki wypadek, dla

pewności, czy nic jej nie grozi i nie będzie żadnych niespodzianek. Wokół obory krążył mały rudy lis w nadziei, że trafi mu się na śniadanie jakaś mysz, a może jajko. Chciał koniecznie coś zjeść, zanim wróci do swojej nory.

Siostra mysz, która mieszkała teraz pod podłogą kurnika, wiedziała o lisie i wystrzegą się go. Bardzo dobrze, bo Jonah polubił maleństwo i nie chciał, żeby stało się posiłkiem rudego chytruska.

Skończył doić, a Molly skończyła jeść. Przeżuwała jeszcze i czekała cierpliwie, pewna, że jak co dzień wyjdzie na łąkę. Jonah jednak postanowił inaczej.

- Za zimno dzisiaj, staruszek, i śniegu nasypało. Zaraz dam ci siana. Jeśli chcesz, zostań w oborze, a jeśli chcesz wyjść i odmrozić sobie uszy, wolna wola.

Molly odwróciła łeb i spojrzała na niego, zamuczała cicho.

Jonah uśmiechnął się szeroko.

- To był żart, w porządku?

Wstawił wiadro z mlekiem do pikapu, wrócił do obory, oddzielił naręcz siana z dużego snopka i zaniósł Molly.

- Poranna przekąska, starczy też na lunch. Zajrzę do ciebie później. Bądź grzeczna, staruszek.

Molly uderzyła go delikatnie łbem. Jonah uśmiechnął się.

- Rozumiem, ja też ci dziękuję, moja droga - powiedział. Wsiadł do samochodu i pojechał po drewno.

Załadował solidną stertę polan na skrzynię i siadł znowu za kierownicą.

Miał rękawiczki, ale dłonie mu zgrabiwały, stopy też przemarzły. Przypominały mu się długie zimy na Alasce, lata spędzone z ojcem. Los obszedł się z nimi okrutnie. Adam stracił życie, Jonah - jedyny dom, jaki miał, ale zostało mu przynajmniej wspomnienie tych wspólnych lat.

Pomyślał o Lucii. Nawet kilka godzin z dala od niej przyprawiało go o fizyczny ból. Nigdy nie czuł nic podobnego do żadnej kobiety. Aż strach, że taka drobna kobieta mogła mieć nad nim taką ogromną władzę. Jeszcze większy strach go ogarniał, kiedy wyobrażał sobie, co zrobiłby Bourdain, gdyby dowiedział się o jej istnieniu.

Miłość do Lucii odmieniła radykalnie Jonaha, inaczej teraz patrzył na życie, na świat. Nigdy jej nie opuści. Nie potrafiłby jej opuścić, ale też nigdy nie zaproponuje jej, by podjęła życie uciekinierki.

Ze względu na Lucię, na miłość do niej, Jonah podjął ważką decyzję, być może jedną z najważniejszych w swoim życiu. Nie będzie już uciekał, stawi czoło kolejnym najemnikom Bourdaina, będzie walczył. Dość krycia się, dość życia w drodze, oglądania się przez ramię. Dawno powinien był z tym skończyć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jonah był wyciszony, ale Bridie czuła, że coś się stało. Nie potrafiła powiedzieć, o co chodzi, na czym polega zmiana, ale doskonale ją wyczuwała. Zabrała się za odcedzanie mleka, Jonah tymczasem układał drewno na ganku kuchennym. Kiedy skończyła, zawołała go do kuchni, żeby się ogrzał. Posadziła go przy stole, podsunęła kubek gorącej kawy i świeżutkie, pachnące ciastka imbirowe, które właśnie wyjęła z piekarnika.

- Pyszne, dziękuję - powiedział Jonah, sięgając po trzecie ciastko.

Bridie rozpromieniła się, jak zawsze kiedy komplementował jej talenty kulinarne. Uwielbiała gotować, piec, a kiedy miała dla kogo, była to jeszcze większa przyjemność.

- Proszę, smacznego. A teraz powiedz mi, co się dzieje.

Jonah nie próbował udawać, że nie wie, o co Bridie pyta. Wpojono mu szacunek do starszych, tak został wychowany.

Poza tym wiedział, ile dla niej znaczy Lucia.

- Ten podglądacz kręcił się wczoraj wieczorem wokół domku. Kiedy wróciłem od ciebie, zastałem Luce spanikowaną, z nożem w dłoni. Hobo pognął do lasu, za czymś... albo za kimś. Kazałem Luce zamknąć się dobrze i poszedłem za psem.

Bridie sposepniała, trudno jej było uwierzyć, że mógł się tutaj pojawić ktoś tak nikczemny.

- Może Hobo pobiegł za jeleniem... albo za kotem. Tutaj jest sporo dzikich kotów.

- To nie był kot. Chyba że na górze mieszkają zmotoryzowane koty. To był człowiek. Szedłem jego tropem do miejsca, w którym zaparkował samochód, ale kiedy tam dotarłem, zdążył już odjechać.

Bridie nadal odgrywała rolę adwokata diabła. Jeśli podejrzenia Jonaha były uzasadnione, oznaczało to, że gdzieś wokół czai się zło. Nie chciała dopuszczać do siebie takiej myśli.

- Może to jakiś myśliwy.

- Dlaczego w takim razie uciekał, zamiast po prostu się ujawnić? Poza tym ten człowiek postrzelił Hobo. Rana nie była groźna, chociaż bolesna. Uleczyłem go, zanim wróciliśmy do domu. Luce dość już przeżyła, kiedy Hobo o mało nie stracił łapy. Nie chciałem, żeby znowu się denerwowała, chociaż jestem przekonany, że ten człowiek próbuje pozbyć się psa, by zyskać swobodny dostęp do Luce.

Bridie zmarszczyła czoło.

- Ale przecież ty jesteś z nią w domu.

- O czym nikt nie wie. On też nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności, nie wie nawet, że go wczoraj tropiłem. Myśli, że jedyną przeszkodą i jedynym jego przeciwnikiem jest Hobo.

Bridie odchyliła się w krześle i przyglądała Jonahowi. W głębi serca wiedziała, że mówi prawdę, ale ona ze swej strony ciągle miała wątpliwości, co do niezwykłego daru Jonaha. Musiałaby to na własne oczy zobaczyć, by uwierzyć.

Sięgnęła po ciasteczko imbirowe i przez chwilę w skupieniu studiowała jego kształt.

- Macie zamiar powiedzieć szeryfowi o tym wczorajszym incydencie?

- Sugerowałem to Lucii, ale ona powiedziała, że raz już u niego była i zlekceważyła jej podejrzenia. Nie ma ochoty jeszcze raz przez to przechodzić.

Bridie zachnęła się na te słowa.

- Co w takim razie zamierzasz zrobić, żeby zapewnić bezpieczeństwo mojej małej?

Kącik ust Jonaha drgnął nerwowo, dłonie zacisnęły się na kubku z kawą. Podniósł głowę i spojrzał Bridie prosto w oczy.

- Będę na niego polował. Kiedy go złapię, być może przekażę drania szeryfowi... albo sam się z nim porachuję, a wtedy mocno pożałuje, że w ogóle się urodził. Jeszcze nie zdecydowałem.

Bridie ponownie zmarszczyła czoło.

- Myślałam, że go nie widziałeś.

- Bo też go nie widziałem.

- Skoro nie widziałeś, jakim sposobem zamierzasz go wyłowić spośród wszystkich ludzi mieszkających w Little Top i okolicy?

- Rozpoznam go.

Bridie prychnęła.

- To jakiś nonsens. Jak niby go rozpoznasz? Napytasz sobie tylko biedy i znowu będę musiała sama doić Molly.

Jonah wiedział, że Bridie martwi się o niego, nie o siebie. Położył dłoń na jej dłoni.

Bridie poczuła nagły przepływ energii, niby wstrząs elektryczny. Zakrztusiła się z wrażenia i cofnęła dłoń, ale Jonah nie cofnął swojej.

- Nie zostawię cię samej i odnajdę tego człowieka, który wczoraj kręcił się koło domku.

- Powiedz mi, jak tego dokonasz - chciała wiedzieć Bridie.

- Poznam go po zapachu.

Bridie uśmiechnęła się.

- Nabierasz mnie. Nikt nie ma takiego węchu. To pies tak tropi, ale nie człowiek.

Jonah cofnął rękę, zakołysał się na krześle i dopił swoją kawę.

- Ciastka były naprawdę doskonałe, kawa też. Pójdę teraz nakarmić kury i zebrać jajka. Masz specjalny koszyk?

Bridie była wyraźnie urażona.

- Dlaczego zmieniasz temat? Jonah wstał.

- Franklin zawsze używał Old Spice'a po goleniu, prawda?

Bridie otworzyła usta.

- A ty skąd to wiesz?

- Ten zapach ciągle jest w domu, wszedł w deski podłogi.

Bridie zrobiła wielkie oczy.

- Franklin nie żyje od dziesięciu lat, a ja prawie codziennie przecieram podłogi mopem.

- W domu pachnie też woskiem i olejkiem cytrynowym, naftaliną i jakąś maścią do nacierania. Czuję to wszystko. Twój talk ma zapach gardenii. I jeszcze coś... ledwie uchwytnego, wyraźniej to wyczuwam w bawialni niż tutaj. - Jonah przymknął oczy. - Już wiem. Róże. Zapach róż.

Bridie wstrzymała oddech. Od lat miała zwyczaj wtykać woreczki z płatkami kwiatów pod poduszki kanapy. Ostatnie, jakie robiła, były właśnie z płatków róży rosnącej przy kuchennym ganku. Nie mógł

o tym wiedzieć i nie mógł ich przecież znaleźć. Nikt nie wiedział o tym zwyczaju. Nawet Franklin nie znał jej małego sekretu. Jonah pierwszy go odkrył.

Spojrzała na niego złym wzrokiem i wskazała w kierunku drzwi.

- Koszyk na jajka wisi obok mojego płaszcza w sionce. Uważaj na taką rudą kwokę, kiedy będziesz wybierał jajka, lubi dziobnąć, straszna z niej złoźnica.

- Tak jest, madame.

Bridie odprowadziła go wzrokiem, a potem zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Ona czuła wyłącznie zapach kawy i ciastek. Pokręciła głową i wstawiła kubki do zlewu.

Kimkolwiek był Szary Wilk, bardzo jej pomagał i opiekował się Luce. Tylko to się liczyło.

Następnego ranka śnieg zaczął topnieć. Luce przygotowywała się do wyjścia, a Jonah krążył niespokojnie po domu niczym zwierzę w klatce. Spał też niespokojnie, budził się co i rusz, szedł dorzucić polano do kominka i podchodził do okna, żeby się upewnić, czy nie mają towarzystwa. Potem wracał do łóżka, układał się obok Luce, przygarniał ją do siebie, opierał brodę na czubku jej głowy i znowu zasypiał, wdychając zapach, który pozostał po ich miłosnych uniesieniach.

Teraz miał powierzyć opiekę nad Luce i jej bezpieczeństwem staremu, poczciwemu Haroldowi, właścicielowi taniej restauracji „Harold's Eats” na dole, w Little Top.

Nalewał sobie drugi kubek kawy, gdy Luce wyłoniła się ze swojej sypialni. Usiadła na kanapie i zaczęła zakładać tenisówki. Cały dzień była na nogach i potrzebowała wygodnego obuwia.

Na szczęście Harold nie wymagał mundurków i Luce mogła się ubierać, jak chciała, zakładała tylko prosty, zawiązywany w pasie fartuszek z wygodnymi kieszeniami. Tego dnia zdecydowała się iść do pracy w dżinsach i czerwonym sweterku, a długie, falujące włosy związała w koński ogon. Na szyi miała malinkę, co Jonah zauważył z pewną satysfakcją. Był ciekaw, czy i ona ją zauważyła, ale doszedł do wniosku, że nie będzie nic mówił na ten temat. Zamierzał natomiast poruszyć inną sprawę, o wiele ważniejszą. Skłoniła go do tego również wczorajsza rozmowa z Bridie.

- Uważam, że powinnaś pokazać wszystkie listy z pogrózkami, jakie dostałaś, szeryfowi. Na co jeszcze chcesz czekać? To bez sensu.

Luce zachmurzyła się.

- Już mu pokazywałam.

- Pokazałaś tylko jeden.

Luce podniosła się z kanapy i wsparła dłonie na biodrach.

- W porządku, pokażę mu pozostałe. I co z tego wyniknie? Nikogo nie widziałam, nikt nie próbował włamać się do domu. Nie mogę dowieść, że to ten człowiek zastawił potrzask, w który wpadł Hobo. Co ja mu powiem?

- Że ktoś cię zastrasza, grozi ci, że się boisz. To mało?

Luce uderzyła się po udach i podniosła rękę.

- Co to zmieni, Jonah?

- Może zrozumiemy, dlaczego to robi. Kiedy go znajdę, rozniosę drania na strzępy.

Luce drgnęła. Bała się zadawać jakichkolwiek pytań, bała się prawdy.

- Nie znajdziemy go, ponieważ nie mamy żadnych wskazówek, nie wiemy nawet, jak wygląda.

- Ja potrafię go znaleźć i znaleźć. Jeśli jest w miasteczku, znajdę go, kiedy przyjadę dzisiaj po ciebie.

- Na litość boską, jak?

- Rozpoznam go po zapachu.

Luce wpatrywała się w niego bez słowa. Słyszała, co powiedział, ale brzmiało to zupełnie nieprawdopodobnie. No tak, ale przecież to Jonah. Widziała na własne oczy, jaką niezwykłą mocą jest obdarzony. Odnalezienie kogoś po zapachu mogło być dla niego równie proste, jak zawiązanie sznurowadeł.

- No tak. - Uśmiechnęła się szeroko. - Mnie też odnalazłbyś po zapachu?

Jonah podszedł, wziął ją w ramiona.

- W ciemnościach, z zamkniętymi oczami. Luce nie przestawała się uśmiechać.

- Jak ja pachnę?

Uniół ją i pocałował mocno.

- Nie odpowiedziałeś - zaprotestowała, kiedy znowu postawił ją na ziemi. - Jak pachnę?

- Pachniesz tak jak ja - mruknął. - Pachniesz mną, kochanie.

Serce zabiło jej mocniej. Po ostatnich dwóch nocach, które spędzili razem, mogła rzeczywiście pachnieć Jonahem.

- Muszę już wychodzić, jeśli nie chcę się spóźnić do pracy.

Jonah nie ruszył się.

- Weź te listy, proszę. Musisz je pokazać szeryfowi.

Luce przewróciła oczami.

- Dobrze, wezmę. Pokażę szeryfowi... Ale to nic nie da, przekonasz się.

- Zrób to dla mnie, dla mojego spokoju. To będzie moje alibi, kiedy rozerwę to ścierwo na strzępy... albo doprowadzę do szeryfa.

- W porządku, zrobię to dla ciebie. Nie wiem tylko, jak przekonasz szeryfa, że przyprowadziłeś właściwego człowieka, skoro rozpoznasz go jedynie po zapachu.

- Nie będę musiał przekonywać szeryfa. Ten człowiek sam się przyzna.

Luce zadrżała. Jonah mówił najpoważniej w świecie. Naprawdę zamierzał odszukać jej prześladowcę. Zaczynała bać się o jego bezpieczeństwo. W tej chwili nie czuła chyba nic poza lękiem o niego.

- Nie popełnisz żadnego głupstwa? - zapytała niemal błagalnie.

Jonah wysunął brodę.

- To on popełnia głupstwa. Będzie żałował swojej głupoty.

- Dobrze, wezmę te anonimy.

Poszła do sypialni i wróciła z dużą szarą kopertą. Jonah czekał już z kurtką w ręku, pomógł jej się ubrać. Luce chwyciła jeszcze torebkę i była gotowa do wyjścia.

Teraz Jonah założył kurtkę, wziął kluczyki od samochodu, otworzył drzwi, przepuścił Luce i wyszedł na ganek.

- Zaczekaj tutaj, podjadę zaraz, żebyś nie musiała brnąć w tej brei.

- Gotowa jestem przyzwyczać się do takiego traktowania.

Jonah zatrzymał się na stopniach ganku, obejrzał się. Luce miała wesołe iskierki w oczach, wiatr zawiewał luźne kosmyki ciemnych

włosów na policzki. Wyglądała na taką szczęśliwą. Bał się, żeby jego obecność w jej życiu nie zniszczyła tego szczęścia, wszystkiego, co razem próbowali budować. Jednocześnie zdawał sobie przecież sprawę, że to właśnie dzięki niemu jest szczęśliwa.

- Zobaczymy, co da się zrobić - powiedział cicho i poszedł po samochód.

Kilkanaście minut później podjechali pod knajpę Harolda.

- Miłego dnia, Jonah - powiedziała Luce. - Pozdrów ode mnie Bridie.

- Pozdrowię.

Luce otworzyła drzwi i miała już wysiadać, ale Jonah zatrzymał ją jeszcze.

- Lucia...

Odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Tak?

- Kocham cię.

Luce znieruchomiała, łzy napłynęły jej do oczu. Czekał z tą deklaracją, żeby wypowiedzieć ją właściwie na środku ulicy, na oczach ludzi, przed Bogiem i w ogóle...

- Ja też cię kocham, Jonah.

Skinął głową, zadowolony, że wykonał zadanie, które sobie wyznaczył.

- Przyjadę po ciebie o trzeciej.

Luce, a nie doszła jeszcze do siebie po deklaracji Jonaha, wyjąkała tylko:

- O trzeciej.

- Będiesz musiała pokazać te listy szeryfowi, pamiętaj.

- Pamiętam.

Jonah odczekał, aż Luce wejdzie do restauracji, i pojechał do domu Bridie i swoich codziennych zajęć. Nauczył się przez lata mówić, co myśli, nie odkładać nic do jutra, bo jutra mogło już nie być, należało się z tym liczyć. Od ich pierwszego pocałunku wiedział, że kocha Luce, przyszedł czas, by powiedzieć to głośno.

Luce przepęniało szczęście. Lekkim krokiem przeszła przez salę na zaplecze. Miała wrażenie, że płynie, unosi się w powietrzu. Położyła kopertę na półce nad wieszakami, powiesiła kurtkę i zabrała się do pracy.

Slug Marten zajrzał w drodze na swoją stację benzynową, zamówił śniadanie na wynos i zaczął wypytywać ją o Hobo.

- Przepraszam, Luce. Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego nie chciałem ci pomóc wydostać go z potrzasku, ale ten drań po prostu mnie nie znosi. Niewiele bym zwojował.

- Wiem - przytaknęła Luce. - Jonah wyciągnął go z pułapki.

- Jonah? Tak ma na imię ten Indian, który z tobą poszedł, prawda? Chyba nawet przedstawił mi się, jak przyszedł na stację.

- Jonah, tak.

- Hobo bardzo ucierpiał? - dopytywał się Slug.

Luce nie wiedziała, jak odpowiedzieć, nie zdradzając szczegółów. Im mniej powie, tym lepiej, to oczywiste.

- Nie było tak źle, jak wyglądało na pierwszy rzut oka. Jonah okazał się bardzo pomocny - powiedziała wymijająco i szybko zmieniła temat. - Kawa ze śmietanką i cukrem, jak zwykle?

- Aha, zgadza się. Widziałem, że ktoś cię odwiózł do roboty.

Wrzuciła do torby torebeczki z cukrem i śmietanką w proszku.

- Owszem - przytaknęła. - Nie musiałam brnąć w tym topniejącym śniegu. Poczekaj, Slug, widzę, że twoje śniadanie jest gotowe, zaraz wracam.

- Wróciła z pojemnikiem na wynos i podliczyła, ile Slug ma zapłacić.

- Sześć dolarów pięćdziesiąt centów.

Slug odliczył pieniądze, wziął torbę, ale jeszcze się ociągał i bacznie przyglądał Luce.

- Czy to był stary pikap Bridie, którym przyjechałaś?

Co za wścibski staruszek.

- Tak.

- A kto prowadził?

Luce zaśmiała się nerwowo.

- Na litość boską, Slug. Piszesz moją biografię czy co?

Slug miał na tyle przyzwoitości, że się zaczerwienił.

- Przepraszam, nie miałem na myśli nic złego. Nie chciałem być wścibski.

Luce uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Ale byłeś. Nie szkodzi, nic się nie stało. Muszę wracać do pracy.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, kto prowadził.

- Slug mimo wszystko nadal drażył temat. Luce westchnęła.

- Jonah. Bridie wynajęła go do pracy, ma u niej zostać przez zimę.

Slug pokiwał głową.

- I odwozi cię do pracy.

- Slug, na litość boską, jedzenie ci wystygnie. Slug uśmiechnął się szeroko, wzruszył ramionami i w końcu wyszedł.

Luce odetchnęła z ulgą, że zostawił ją w spokoju i zajęła się innymi klientami.

Zwykle obsługiwała codziennie tych samych, stałych klientów. Bardzo możliwe, że obsługiwała też swojego prześladowcę. Podawała mu zamówienia, zbierała brudne talerze, może nawet przyjmowała od niego napiwki. Rozejrzała się po sali, zatrzymując po kolei wzrok na każdej twarzy. Zastanawiała się, kto z tych dobrze znanych, przyjaznych z pozoru ludzi był na tyle nikczemny, by zgotować jej piekło na ziemi.

Nie widziała nigdzie zła, co nie znaczy, że go tam nie było.

- Luce, odbierz zamówienie - zawołał Harold. Podeszła do okienka i tak zaczął się kolejny pracowity dzień w „Harold's Eats”.

Dopiero trochę po drugiej miała wreszcie chwilę dla siebie. Nie wdając się w szczegóły, powiedziała Haroldowi, że musi coś załatwić w mieście, wzięła kopertę z pogrózkami i ruszyła do biura szeryfa.

Tom Mize był szeryfem w Little Top od prawie dziesięciu lat. Najtrudniejsze sprawy, jakie prowadził, to wypadki samochodowe. Od czasu do czasu któryś z młodych Batmanów brał bez pytania samochód albo łódź jednego z braci i wybuchała awantura. Kiedyś nawet doszło do pożyczenia żony, ale zwykle sytuacja szybko wracała do normy, nawet w przypadku żony. Obaj zainteresowani stracili zainteresowanie damą, zgodnie ją spakowali i odesłali precz.

Tego popołudnia siedział za biurkiem i pisał raport o uprowadzeniu jednego z kotów Idy Mae Coley. Ida upierała się, że to wraża robota UFO i nic nie pomagały tłumaczenia, że dachowiec zaszył się pewnie w jakimś ciepłym miejscu i czeka, aż śnieg całkiem stopnieje.

Prawda, że ostatnio znikają w tajemniczych okolicznościach mnóstwo zwierzątek domowych, istna epidemia zaginięć. Tom był zdania, że to jakiś mały drapieżnik schodzi z gór, żeby zaopatrzyć się w miasteczku w prowiant.

Skończył pisać raport i odruchowo pomacał kieszeń na piersi. Nie było w niej tkwiącej tam zwykle paczki papierosów. Tom westchnął. Od tygodnia próbował rzucić palenie. Strasznie zmagał się z sobą, przeżywał męki, w napadzie głodu nikotynowego posłał swojego zastępcę po batoniki do supermarketu i teraz oczekiwał jego powrotu. Koniecznie musiał zjeść coś słodkiego, zaraz, natychmiast. Kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają, podniósł głowę pewien, że to wraca zastępca z ratunkiem.

Ale do pokoju zamiast zastępcy wkroczyła Luce Andahar. Jej mina oraz koperta, którą trzymała w ręku, pozwalały przypuszczać, że kroi się coś poważnego. Praca. A on nie był akurat usposobiony do pracy.

Luce serce podchodziło do gardła, coś ścisnęło ją w żołądku. Zawsze tak nerwowo reagowała na stróżów prawa i porządku. Brało się to zapewne stąd, że pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła po tamtym strasznym wypadku, w którym zginęła cała jej rodzina, był mundur policjanta. Policja poszukiwała jej, gdy uciekła z domu wujostwa. Odetchnęła dopiero po kilku miesiącach, kiedy skończyła szesnaście lat. Teraz to. Jak ma opowiedzieć o swoim strachu wywoływanym świadomością, że ktoś obserwuje każdy jej krok?

Tom Mize oceniał przez chwilę wyraz jej twarzy, potem otaksował spojrzeniem zgrabną sylwetkę i wreszcie przystąpił do zajęć służbowych.

- W czym mogę pomóc, panno Andahar?

Luce podeszła do biurka i wysypała na blat całą zawartość koperty.

- A to co takiego? - Tom zaczął zbierać rozsypane po całym biurku kartki.

- Pamięta pan, jak kilka miesięcy temu przyszedł do pana z pierwszą kartką z pogrozkami od jakiegoś podglądacza?

Mize zmarszczył czoło.

- Nie nazwałbym wyznań tajemniczego wielbiciela pogrozkami podglądacza.

Luce wskazała na plik kartek.

- A ja nie nazwałabym tego zbioru listami miłosnymi.

Mize zasepił się.

- Powiada pani, że to wszystko o podobnym charakterze?

Luce skinęła głową.

- Proszę siadać. - Mize wskazał krzesło, sam usiadł i zaczął czytać kartka po kartce. Mniej więcej w połowie lektury naprawdę się zaniepokoił, a kiedy dotarł do ostatniej kartki, był czerwony na twarzy, skronie mu pulsowały.

- Dobry Boże, kobieto, czemu nie przyszła pani wcześniej?

- Zbył mnie pan za pierwszym razem. Nie miałam powodów przypuszczać, że zmieni pan stosunek do tej sprawy.

Mize poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Jeśli dałem pani odczuć swoim zachowaniem, że jej bezpieczeństwo nie jest dla mnie ważne, bardzo przepraszam.

Luce odetchnęła, trochę się odprężyła. Jonah miał jednak rację, kiedy tak nalegał, żeby zgłosiła się do szeryfa.

- Domyśla się pani, kto to może robić? - zapytał Mize.

- Nie. Próbowałam obserwować swoich klientów u Harolda, ale wszyscy odnoszą się do mnie normalnie, tak jak zawsze.

- Ktoś kręci się koło pani domu? Zauważyła pani kogoś?

Zawahała się, po czym przysunęła bliżej biurka, tak że siedziała teraz na krawędzi krzesła.

- Przedwczoraj wieczorem, zapadał już zmierzch, wydawało mi się, że widzę kogoś na skraju lasu, ale ten ktoś szybko zniknął, ukrył się albo odszedł. Kiedy otworzyłam drzwi, żeby wrócić do domu, mój pies wyskoczył z wściekłym ujadaniem i pognął do lasu, dokładnie tam, gdzie chyba coś zauważyłam.

- Co było dalej?

- Jonah wrócił do domu, zanim zdążyłam pomyśleć, co robić, i poszedł za moim psem. Miał nadzieję, że uda mu się zobaczyć, kto to był. Doszedł do miejsca, gdzie Hobo odnalazł tego człowieka, potem znalazł miejsce, gdzie tamten zaparkował swój samochód, ale to wszystko, bo ten ktoś zdążył już odjechać.

Mize znowu zmarszczył czoło.

- Kim jest Jonah?

- Jonah Szary Wilk. To mój przyjaciel... Nie, więcej niż przyjaciel. Pracuje u pani Tuesday, ale mieszka u mnie.

Tom Mize nie wierzył własnym uszom. Znał Luce Andahar od pięciu lat. Nigdy z nikim się nie umawiała, nigdy nie miała żadnego chłopaka.

Nachylił się nad biurkiem.

- Kiedy ten Jonah pojawił się w miasteczku? Nie przyszło pani do głowy, że to on może być podglądaczem i że wkradł się do pani domu, udając opiekuna?

- Pojawił się w miasteczku dwa, trzy dni temu, a ja dostaję te kartki od wielu miesięcy. Poza tym... to nie on. Gdyby go pan znał, nie wzięłyby pan w ogóle takiej ewentualności pod uwagę.

- Dwa, trzy dni i już wpuściła go pani do swojego łóżka?

Luce ogarnęła wściekłość. Poderwała się z krzesła, z trudem łapiąc oddech.

- Nie pański interes, kogo wpuszczam do swojego łóżka. Albo pan znajdzie tego człowieka, albo nie. To tyle. Myślę, że nic więcej nie mamy sobie do powiedzenia. Żegnam. Wyszła z gabinetu, trzaskając z rozmachem drzwiami.

Chwilę później wrócił zastępca szeryfa, Earl Farley, i postawił na biurku szefa niewielką papierową torbę.

- Czy to była Luce Andahar? Wyglądała na rozwścieczoną.

Mize westchnął i kiwnął głową.

- Tak, to była ona. - Zebrał kartki, włożył je do koperty, po czym wyjął z torby pierwszy batonik i rozerwał opakowanie. Ugryzł kawałek i przymknął oczy z wyraźną ulgą. Głód nikotynowy trochę zelżał.

- Ładna dziewczyna - powiedział Earl.

Mize nie odpowiedział, zajęty pochłanianiem drugiego batonika popijanego colą.

Luce jeszcze po powrocie do restauracji była czerwona ze złości. Harold spojrzął na nią i przywołał do siebie.

- Widzę, że mróz wyszczypał ci policzki, dziecko. Zmarzłaś. Siadaj tutaj, zrobię ci filiżankę gorącej czekolady.

- Nic mi nie jest. - Luce przeszła na zaplecze i odwiesiła kurtkę.

W chwilę później pojawił się Jonah.

- Hej, jak się masz? - zawołał Harold na jego widok. Wiedział już, że Jonah wozi Luce i bardzo mu się to podobało. Nie chciał stracić najlepszej kelnerki, jaką kiedykolwiek miał, a zawsze bolał nad tym, że Luce musi chodzić pieszo do pracy taki kawał drogi. Kiedy więc pojawił się Jonah za kierownicą starego samochodu Bridie, Harold od razu zapalał do niego sympatią.

- Dziękuję - odpowiedział Jonah. Spojrzał na Luce i chwycił ją za ramię.

- Co się stało?

Ciągle była wściekła, głos jej drżał.

- Zniosłam te kartki do szeryfa, tak jak chciałeś. Jonah zmarszczył czoło.

- I co powiedział?

- Najpierw bardzo się przejął, jak prawdziwy szeryf, ale kiedy mu powiedziałam, że wczoraj wieczorem poszedłeś za tym człowiekiem, odbiło mu. Jedyne co chciał wiedzieć, to dlaczego tak szybko znalazłeś się w moim łóżku.

Jonah drgnął, jakby ktoś dał mu w twarz, oczy mu zabłyśły, zacisnął zęby.

- Gdzie jest jego biuro?

- Na końcu ulicy, po prawej, czyli po zachodniej stronie, drugi dom od rogu.

- Zaczekaj tu na mnie.

Luce zdała sobie sprawę, że uruchomiła furie. Nie chciała, żeby Jonah napytał sobie biedy, a już na pewno nie chciała być przyczyną kłopotów, ku którym właśnie zmierzał. Chwyciła go za rękę.

- Jonah, zostaw to. Nie rób głupstw.

Jonah szarpnął się.

- Lucia, do diabła, powiedziałem, żebyś na mnie zaczekała. -

Westchnął jakoś żałośnie i dodał już spokojniejszym tonem: - Proszę cię.

Nie czekając na odpowiedź, wybiegł z knajpy i wszedł do pikapu.

Wszystko odbyło się tak szybko, że Luce nie miała czasu zareagować.

- Co się właściwie stało? - zainteresował się Harold.

- To długa historia - powiedziała Luce i usiadła przy barze, opierając brodę na dłoniach. - Jeśli twoja propozycja jest ciągle aktualna, napiłabym się gorącej czekolady.

Harold należał do tych, którzy wyznają zasadę: żyj i daj żyć innym. Skoro Luce nie chciała nic powiedzieć, nie zamierzał nalegać, widać miała powody, by zachować sprawę w tajemnicy.

- Już ci robię czekoladę - powiedział i zniknął w kuchni.

Tom Mize kończył ostatnią puszkę coli, gdy drzwi otworzyły się z takim impetem, że uderzyły w ścianę z głuchym łomotem. Na widok obcego w progu, Mize odruchowo chwycił za pistolet.

- A ty co za jeden? - warknął.

Jonah podszedł do biurka, spojrzał szeryfowi prosto w oczy.

- Jonah Szary Wilk. Rozumiem, że napawa pana wyjątkową troską prywatne życie Lucii Andahar.

Zjedzone batoniki podeszły nagle szeryfowi do gardła. Zerwał się z fotela.

Zastępca szeryfa, Earl Farley, usłyszał, że coś się dzieje. Stał teraz w przejściu, które prowadziło do niewielkiego aresztu, i gapił się na ciemnowłosego obcego.

Mize usiłował grać twardziela, ale w wielkich oczach Indianina było coś, co kazało mu cofnąć się o krok.

- Nie pozwalam nikomu wpadać tutaj i rzucać pogrózek - oznajmił z godnością, chociaż Jonah nie sformułował jeszcze żadnej pogrózki.

Mize się cofnął, a Jonah zrobił krok do przodu. Mówił tak cicho, że Mize musiał wyteżać słuch, żeby coś zrozumieć.

- A ja nie pozwalam nikomu, nawet dupkowi z blachą, ubliżać mojej kobiecie.

Szeryfowi zrobiło się niedobrze. Nigdy w życiu nie bał się nikogo, a ten człowiek napawał go przerażeniem.

- Nie możesz... - Indianin uniósł palec i nagle słowa uwięzły Mize'owi w gardle. Myślał je, miał w głowie, na końcu języka, ale nie był w stanie ich wypowiedzieć. Był coraz bardziej przerażony. Czyżby wylew? Co się z nim do diabła dzieje?

- Nie, to ty nie możesz - powiedział Jonah. - Jeśli jeszcze raz powiesz coś obraźliwego, uwłaczającego Lucii, pożałujesz. Czy To Jasne?

Mize skinął głową.

- Potraktujesz poważnie sprawę podglądacza, który ją prześladowa, czy sam mam się tym zająć?

Mize próbował odpowiedzieć, ale dalej nie był w stanie wykrztusić jednego słowa. Pot wystąpił mu na twarz. Bardziej bał się teraz o własne zdrowie niż lękał Indianina. Opadł bez sił na fotel i wsparł głowę na rękach.

- Spójrz na mnie - nakazał Jonah.

Głowa uniosła się, niejako sama z siebie, jakby nie była połączona z ciałem, jakby poruszała się niezależnie od woli Mize'a. Czuł się jak

marionetka, sam nic nie mógł zrobić, to Jonah Szary Wilk pociągał za wszystkie sznurki.

- Jeszcze nie wpadłem w gniew, jestem tylko wkurzony. Nie próbuj mnie rozgniewać. - Jonah odwrócił się, zostawiając dwóch stróżów prawa w kompletnym osłupieniu i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Dopiero teraz Mize odzyskał mowę.

- Jezu... o Jezu... Earl, sprawdź, czy doktor Bigelow jest u siebie, mam chyba wylew.

Earl dopadł telefonu, a Tom Mize odchylił się w fotelu i zamknął oczy.

Teraz przynajmniej wiedział, co musiała czuć Luce Andahar. Ten człowiek po prostu musiał rzucić na nią urok, tak jak przed chwilą rzucił urok na niego. To było jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mu do skołatanej głowy.

D.J. Caufield jest już w Wirginii Zachodniej, zaszywa się w wygodnym hotelu w Charlestonie i czeka spokojnie na poprawę pogody. Z Charlestonu do miejsca, w którym po raz ostatni widziano Szarego Wilka, jest dobry dzień drogi, a warunki meteorologiczne raczej nie zachęcają do dalekich podróży górkimi szosami. Obsługa hotelowa przywozi kolację na ładnie nakrytym barku: idealnie wysmażony stek, średnio krwisty, tak jak D.J. lubi najbardziej, do tego pieczone ziemniaki, dressing na boku, jarzynka... D.J. nie ma zamiaru spożywać jarzynki, ale taka kolorowa plama ładnie wygląda na talerzu. Na deser solidna porcja ulubionego ciasta orzechowego. Jeżeli już musi czekać, to przynajmniej w godziwych warunkach, nie odmawiając sobie przyjemności.

Pierwszy kęs jest smaczny, drugi jeszcze smaczniejszy. Na ekranie telewizora migają sceny z ostrego porno. D.J wyłącza fonię, fajniej jest patrzeć niż słuchać, zwłaszcza że pornosy, jak wiadomo, nie charakteryzują się porywającymi dialogami.

Tak upłynął wieczór. Około północy D.J. mówi sobie, że pora spać. Nigdzie się nie spieszy, nie zamierza uganiać się po całym stanie jak kot z pęcherzem. Cierpliwość jest cnotą. Z materiałów, które przesłał Bourdain, wynika, że ten szaleniec Major poluje na Jonaha Szarego Wilka od wielu, wielu lat. W tej sytuacji dwa dni dłużej nie stanowią problemu, nie mają żadnego znaczenia.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jonah wrócił do restauracji, jakby nic się nie stało. Uśmiechnął się do Harolda i objął ramieniem Luce, która nerwowo ścisnęła w dłoniach kubek z gorącą czekoladą.

- Ładnie pachnie - powiedział. Luce odsunęła kubek.

- Wszystko w porządku?

Na powrót podsunął jej kubek i odgarnął kosmyk włosów ze skroni.

- Wszystko dobrze, skarbie. Dokończ swoją czekoladę i wracamy do domu.

Harold rozczulał się, widząc, że ktoś serdecznie traktuje Luce. Była samotniczką i bał się, że nigdy nie znajdzie sobie mężczyzny. Trochę zaskoczyło go tempo, w jakim tych dwoje zbliżyło się do siebie, ale nie jemu sądzić i oceniać, tym bardziej że obydwójce robili wrażenie szczęśliwych. Miał nadzieję, że z tej znajomości urodzi się trwały związek, życzył im tego z całego serca.

- Jak się miewa panna Bridie? - zagadnął.

Jonah uśmiechnął się.

- Dobrze. Gotuje mi takie wystawne i obfite lunchy, że jeszcze trochę, a przestanę mieścić się w swoje ubrania.

Harold odpowiedział uśmiechem.

- Jest niesamowita, to pewne. Odkąd Franklin oszedł, rzadko pojawia się w miasteczku, prawie jej nie widuję. Czasami tylko, ale to już nie ta sama kobieta co kiedyś.

Jonah zmarszczył brwi.

- Naprawdę?
- Ano tak. Stroni od ludzi.
- A jak przyjeżdżała do miasteczka, gdzie lubiła pójść?
- Przyjaźniła się z Idą Mae Coley. Często umawiały się na lunch.

Jeśli dobrze pamiętam, Bridie zawsze kochała czytać, miała kartę biblioteczną i w ogóle. Teraz pewnie wzrok już nie ten i z czytaniem gorzej, może dlatego przestała zaglądać do biblioteki. No i nie jeździ już samochodem.

- A jak załatwia zakupy? - zainteresował się Jonah. Dotąd nie pomyślał o zakupach, nie zapytał nawet Bridie, czego jej trzeba.

- Myślę, że raz na jakiś czas dzwoni do supermarketu, składa zamówienie i ktoś zawozi to wszystko na górę.

- Nie ma rodziny gdzieś tu w okolicy? Dzieci? Harold pokręcił głową.

- Żadnej rodziny. Ona i Franklin nie mieli dzieci. Jest jakaś rodzina w Charlestonie, Bridie stamtąd pochodzi, ale nigdy nie utrzymywała z nimi kontaktu.

Jonah słuchał uważnie słów Harolda. Będzie musiał porozmawiać sobie ze swoją szefową, ale nie dzisiaj. Zaczeka do jutra, rano Bridie będzie wypoczęta, a on zdąży przemyśleć kilka spraw.

Smutno robiło mu się na myśl, że Bridie żyje zamknięta w swoim domu, z dala od ludzi i nie ma nikogo bliskiego, poza Luce, ma się rozumieć.

Luce słuchała, nie wtrącała się do rozmowy, ale znała już Jonaha na tyle dobrze, by wiedzieć, że zastanawia się, jak uczynić życie Bridie lepszym i łatwiejszym. Był dobrym człowiekiem, dobrym i pięknym.

Uśmiechnęła się do siebie. Zakazała sobie myśleć o Jonahu i ich wspólnych nocach, bo jeszcze chwila, a gotowa stanąć w pasach.

Skończyła swoją czekoladę, zostawiła panów pograżonych w rozmowie o Bridie i poszła na zaplecze po kurtkę. Założyła ją, wracając do sali, przewiesiła torebkę przez ramię. Włożyła odruchowo ręce do kieszeni i poczuła pod palcami papier. Nie było go tam chyba, kiedy szła do biura szeryfa albo po prostu nie zwróciła uwagi. Prawda, niosła kopertę, w ogóle nie wkładała rąk do kieszeni.

Pomyślała, że to pewnie jakaś stara lista zakupów. Wyjęła kartkę, już miała ją wyrzucić, ale poznała niebieski papier i zamarła. Ręce jej drżały, serce waliło jak oszalałe. Zrobiło się jej niedobrze. Stała przez chwilę bez ruchu, wpatrywała się w kartkę, wreszcie odważyła się ją rozłożyć.

Ręce trzymam na twoich piersiach, fiuta włożyłem ci głęboko do gardła. Jak ci się to podoba, suko?

- O Jezu... Jonah...

Osunęła się na kolana.

Harold skoczył ku niej, ale Jonah był szybszy. Podniósł ją i wziął w ramiona. Luce trzęsła się histerycznie.

- Był tutaj. Dzisiaj. Podawałam sukinsynowi jedzenie, nalewałam mu kawę. Sprzątałam naczynia z jego stolika, a on śmiał mi się w twarz. Ciągle nie wiem, kto to. Nie mogę go rozpoznać!

Harold miał dziwną minę, nie wiedział, o co chodzi, o czym mówi jego mała Luce, ale Jonah zorientował się natychmiast.

- Gdzie to znalazłaś?

- W kieszeni kurtki. - Luce zaczęła płakać. - W kieszeni - krzyknęła i wcisnęła kartkę Jonahowi do ręki.

- Co się dzieje? - zapytał Harold, kiedy Jonah rozłożył kartkę.

- Od kilku miesięcy dostaję listy z pogrózkami od jakiegoś zbrojnego. Do tej pory zostawiał je w domu, kiedy byłem w pracy. - Uderzyła dłonią w blat stolika. - Teraz włożył kartkę do kieszeni mojej kurtki, jakby chciał pokazać, że może posunąć się dalej. Śmieje się ze mnie. Ten sukinsyn śmieje się ze mnie.

Harold słuchał tego ze zgrozą.

- Zadzwoń do szeryfa. Jonah spojrzał na niego.

- Rozmawialiśmy już z szeryfem. Sam się tym zajmę, a ty zaopiekuj się Lucią, dopóki nie wrócę.

- Mieszkam nad restauracją. Zewnętrzne schody po zachodniej stronie budynku. Tam przyjdź po Luce.

- Zaczekaj - zawołała Luce, kiedy Jonah ruszył ku drzwiom, z kartką w dłoni.

Zatrzymał się.

- Lucio...

- Jonah, proszę, nie...

- Zaufaj mi.

Głos jej się łamał, mówiła przez łzy:

- Boję się o ciebie.

- Bój się o niego - powiedział i wyszedł z restauracji.

Harold przekręcił zamek w drzwiach, objął Luce i skierował ku schodom wewnętrznym, które prowadziły z zaplecza na górę, do jego mieszkania.

- Mój Boże, dziecko... tak mi przykro, że musiałaś przechodzić przez to wszystko sama, bez żadnego wsparcia. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Nie wiesz, że zrobiłbym wszystko, żeby ci pomóc?

Luce nie miała dobrej odpowiedzi. Przez większość życia sama musiała borykać się ze swoimi problemami i nie przyszło jej do głowy, że może liczyć na pomoc, prosić o nią.

- Poszłam do szeryfa, kiedy dostałam pierwszy list.

- Proszę, wchodź. - Harold wprowadził ją do mieszkania, zdjął z niej kurtkę i posadził w głębokim, miękkim fotelu, przykrytym narzutą w różnych odcieniach błękitu. W pokoju unosił się lekki zapach cygar i dropsów cytrynowych, ulubionych Harolda. Było tu czysto. I bezpiecznie. Luce martwiła się o Jonaha.

- Jak Mize zareagował?

- Powiedział, że to liścik od cichego wielbiciela. Harold zaklął i sięgnął po słuchawkę.

- Zadzwoń do niego.

- Ja nie będę rozmawiała z tym sukinsynem - oświadczyła Luce stanowczo.

Harold zasepił się.

- To przez niego byłaś taka zdenerwowana, kiedy wróciłaś z miasta?

- Tak.

- Zobaczymy... Został wybrany na urząd naszymi głosami. I naszymi głosami może zostać z niego odwołany, jeśli nie wie, co to znaczy respektować prawa i potrzeby obywateli.

Wystukał numer biura szeryfa, Luce tymczasem oparła się wygodnie o poduszki i zamknęła oczy.

- Jak się masz, Earl. Tu Harold Carter. Chcę rozmawiać z szeryfem. -
Słuchał przez chwilę jakiejś dłuższej relacji Earla. - Co on robi u
Bigelowa? Wylew? Nie mów. Dobrze, skoro ty przejąłeś chwilowo
obowiązki, przyjdź zaraz do mnie. Do mieszkania. Wejdz zewnętrznymi
schodami. Tak. Co? Luce Andahar znalazła właśnie kolejny list od
prześladowcy. Był w kieszeni jej kurtki. Miała zaraz wracać do domu. Nie
wiem. Dlatego dzwonię. Przyjdź tutaj i sam ją zapytaj.

Luce ledwie słyszała głos Earla rozbrzmiewający w słuchawce, ale
niewiele ją to obchodziło. Jeśli ktoś potrafi uporać się z sytuacją, to tylko
Jonah, bo dla Jonaha nie było rzeczy niemożliwych. Jeśli rzeczywiście
potrafił wytropić człowieka po zapachu, to ten żalosny skurwiol, który
podrzucał jej liściki, mógł spodziewać się poważnych kłopotów.

Jonah wyszedł na ulicę, ściskając kartkę w dłoni. Zapach
prześladowcy mieszał się z zapachem Luce, co wprawiało go w jeszcze
większy gniew.

Sukinsyn.

Bez wahania ruszył przed siebie, chłonąc zapachy Little Top. Na
rogu znajdował się niewielki salon piękności, po drugiej stronie,
naprzeciwko, bank. Jonah czuł spaliny, lakier do włosów, jakieś odchody
zwierzęce. Niezbyt przyjemne zapachy, ale tak właśnie pachniało Little
Top.

Przytknął kartkę do nosa dla odświeżenia pamięci i schował ją do
kieszeni. Ten zapach gdzieś tu musi być, trzeba tylko nań natrafić.

Zimny wiatr rozwiewał mu włosy, targał nimi, unosił je. Doszedł do
skrzyżowania, rozejrzał się i przeszedł na drugą stronę. Uszedł kilka
kroków, kiedy coś poruszyło jego zmysły. Zatrzymał się, odwrócił powoli,

aż zlokalizował zapach. Ledwie uchwytny, ale właśnie tego zapachu szukał. Problem polegał na tym, że zapach mógł powiedzieć, gdzie zboczeniec był, ale nie mówił, gdzie jest teraz. Jednak Jonah zyskał wreszcie jakiś punkt zaczepienia. Szedł za zapachem, krok po kroku, jakby to był widzialny trop. Przeszedł cały odcinek ulicy, od jednego skrzyżowania do następnego. Zapach był wszędzie. Ten człowiek musiał odwiedzić bank, salon piękności, zakład fryzjerski, kancelarię notariusza, warsztat hydraulika, wszystkie drobne firmy, jakie się tu znajdowały, ale po co? Za kolejnym skrzyżowaniem zapach stał się słabszy. Jonah zatrzymał się, odwrócił w kierunku, z którego przyszedł, usiłując coś zrozumieć z tej łamigłówki. Miał wrażenie, że ten człowiek bawi się z nim, idzie po własnych śladach, jakby chciał zbić go z tropu.

Zadrżał pod kolejnym uderzeniem zimnego wiatru, zapiał kurtkę i przeszedł przez plac miejski. Szedł nadal za zapachem, ale nic nie rozumiał.

Nie zwracał uwagi na zdziwione spojrzenia kierowców oraz nielicznych przechodniów, przeszedł miasteczko od końca do końca i niemal wszędzie odnajdywał ten zapach. Jakby szedł za zwierzęciem krążącym po lesie i oznaczającym każde drzewo.

Zapadał już zmierzch. Domyślał się, że Luce umiera tam z niepokoju, ale powiedział sobie, że gra ze zboczeńcem musi się wreszcie skończyć. Ten człowiek przekroczył granicę, kiedy dotknął rzeczy należącej do Luce, włożył rękę do kieszeni jej kurtki. To było tak, jakby dotknął samej Luce.

Kiedy wchodził do dzielnicy mieszkalnej, minął go jakiś samochód. Kierowca zwolnił, przez chwilę przyglądał mu się uważnie. Ludzie go nie

znali, był tutaj obcy, mógł budzić nieufność, skąd mogli wiedzieć, kim jest i jakie ma zamiary?

W domach zapalały się światła. Przemierzał niewielkie uliczki. Dwa razy stracił zapach, raz wydawało mu się, że już na dobre, ale odnalazł go. Dobrze, że jednak się nie poddał.

Zapach szedł teraz ku niemu silny, wyraźny. Jonahowi mocniej zabiło serce. Był blisko. Czuł to.

Kiedy skręcił na wschód, w ślepią uliczkę, zapach zaczął go niemal dławić. W zaułku stało tylko pięć domków, w trzech paliły się światła.

Minął go jakiś dzieciak na rowerze, inny na pochyłym podjeździe ćwiczył akrobacje na deskorolce, wykazując umiejętności prawdziwego profesjonalisty. Jakaś kobieta rozmawiała przez telefon, w innym oknie zobaczył starszego pana, który siedział samotnie przy kuchennym stole, jadł kolację i czytał książkę. Ruszył w kierunku pierwszego domu, kiedy usłyszał nadjeżdżający samochód. Odwrócił się. Po chwili rozpoznał auto listonosza, a potem zobaczył jego samego za kierownicą. Człowiek, który rozwoził pocztę, który dostarczył Bridie dwa dni wcześniej paczkę z jej zakupami. Chciał mu kiwnąć głową na powitanie, kiedy poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

Zapach był tak intensywny, że czuł go niemal na podniebieniu.

Patrzył na samochód i wtedy zrozumiał.

Listonosz. To był listonosz.

Skurwiel.

Dlatego zapach był wszędzie. Kto inny jak nie listonosz musi przemierzać wszystkie zaułki miasteczka?

Listonosz skręcił na podjazd nieoświetlonego domu w połowie zaułka. Jonah zaczął biec.

Mark Ahern był co najmniej zdziwiony obecnością Indianina w pobliżu swojego domu. Widział go w domu Bridie Tuesday, bo obcy dla niej pracował, ale co sprowadza go tutaj?

Spojrzał w lusterko wsteczne, zobaczył furie, najprawdziwszą furie i wpadł w panikę, bo zrozumiał w jednej chwili, że tamten wie.

Nacisnął na gaz, chwycił pilota. Ledwie drzwi się uniosły, wjechał do garażu, zahamował z piskiem opon. Przedni zderzak uderzył w ścianę, drzwi powoli zaczęły się zamykać. Próbował wysiąść z samochodu, gdy Indianin pojawił się tuż obok.

Chwycił go za kołnierz, wyciągnął z auta. Mark Ahern zaczął krzyczeć:

- Pomocy! Na pomoc! Niech ktoś mi pomoże! Drzwi garażu zamknęły się z cichym „bump”, odcinając ich od ulicy. Mark wił się, kopał, wszystko na nic. Jonah jednym ruchem przycisnął go do maski samochodu, niemal rozplaszczając mu twarz o blachę.

- Puść mnie - odezwał się Mark. - Sąsiedzi mnie słyszeli, dzwonią teraz na pewno po szeryfa.

- Sami do niego zadzwonimy. - Szarpnął Aherna w górę i tym razem przycisnął plecami do samochodu. - Opowiemy mu, jaką paskudną zabawę zafundowałeś Lucii Andahar.

Mark jęknął w duchu. Dobrze odgadł. Ten człowiek wiedział. Ale jakim sposobem doszedł prawdy?

Jonah widział szok malujący się na twarzy listonosza. Miał zboczeńca w ręku. Teraz się z nim rozprawi.

Chwycił go i przycisnął twarzą do ściany. Ze złamanego nosa poszła krew.

- Mój nos! Mój nos! - zaskowyczał Ahern.

- Ciesz się, że jeszcze nie skręciłem ci karku.

Ahern zaczął płakać.

- Jesteś obłąkany. Nie wiem, o co ci chodzi. - Próbował się uwolnić, ale coś dziwnego działo się z jego rękoma. Poruszały się, ale nie panował nad nimi, gięły się jak ręce szmacianej lalki. Spanikowany chciał krzyknąć i nie mógł dobyć głosu, jak w koszmarnym śnie.

Jonah zbliżył twarz do jego twarzy.

Mark zobaczył swoje odbicie w tych dziwnych, złotych oczach i nie mógł oderwać od nich wzroku. Był zupełnie bezradny, zdany na łaskę tego obcego, który, był tego pewien, zabije go. Ironia losu, pomyślał. Oto znalazł się w identycznej sytuacji jak jego ofiary, zanim z nimi skończył.

- Mów - rozkazał Jonah. Mark otworzył usta.

- Nie zrobiłem jej nic złego.

Jonah cisnął nim jak kukłą o maskę samochodu i znowu postawił na nogi.

- Owszem, zrobiłeś tyle złego, ile tylko można. Torturowałeś ją słowami. Co potem? Zamierzałeś przejść do działania czy nigdy byś się na to nie odważył, poprzestając na obleśnych listach?

Mark nie chciał mówić, ale nie mógł się pohamować. Słowa same płynęły z ust, ku jego zgrozie. Przez lata milczał, zbrodnie pozostawały niewykryte, a teraz mówił, głośno, szybko. Nie wiadomo, czy uwalniał się od ciężaru czy chlubił swoimi czynami. Najprawdopodobniej tracił rozum,

to jedyne wytłumaczenie. Tak, zwariował, tylko jeszcze o tym nie wiedział.

- Wybrałem ją, bo była sama, nie miała nikogo, kto by ją chronił. Zawsze wybierałem takie. Są najlepsze. Najgłośniej krzyczą i najdłużej się wykrwawiają.

Jonah nie wiedział, co się z nim dzieje, zapłonął żywym ogniem, nad którym nie miał już kontroli. Chwycił Aherna za ramię i zawlókł do domu.

- Pokaż mi ten niebieski papier! Pióra napełnione czerwonym i czarnym atramentem. Pamiątki. Tylko mi nie mów, że nie masz pamiątek, bo widzę je w twojej głowie.

Ahern chciał uciec, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Mógł tylko poddawać się woli Indianina, który włókł go z pokoju do pokoju.

- Mów albo cię zabije. Klnę się na Boga, że to zrobię, jeśli nie zaczniesz mówić. - Szarpnął z całej siły Aherna za ramię, a temu się wydawało, że mu je wyrwał.

Zawył z bólu i wskazał bibliotekę. Jonah pociągnął go tam. Ahern wyjął z szuflady biurka notatnik z niebieskimi kartkami i pióra, potem wyjął z kieszeni klucz i uniósł w dwóch palcach.

- Od czego ten klucz? - zapytał Jonah.

Ahern, slaniając się, podszedł do ozdobnej skrzyni, osunął się na kolana i wsunął klucz do zamka. Cofnął się, ciągle na kolanach, robiąc miejsce Jonahowi. Jonah nic nie ruszał: torebki, apaszki, portfele, tania biżuteria, ze wszystkiego była duszna woń śmierci. A więc to są te pamiątki po ofiarach, pomyślał Jonah. Czuł strach tych kobiet, które musiały umierać straszną śmiercią.

Ahern leżał na podłodze, tarzał się, zwiął, skamlał o łaskę. Jonah odsunął się od skrzyni z ponurą zawartością.

- Wstawaj - nakazał.

Ahern podniósł się, raz jeszcze podjął próbę ucieczki, ale nie zrobił nawet kroku, zmoczył się tylko z przerażenia.

- Pójdiesz ze mną.

Ahern chciał kategorycznie zaprotestować. Chciał się uwolnić, ale nie był w stanie nic zrobić, nic przedsięwziąć, mógł tylko słuchać Indianina, wykonywać jego polecenia.

Jonah spojrział na niebieski notatnik, na pióra i uznał, że powinien je zostawić tam, gdzie położył je Ahern. Niech szeryf zabezpiecza dowody, to jego robota.

Wyciągnął Aherna na ulicę.

Chłopak na deskorolce przestał ćwiczyć. Coś było nie tak z panem Ahernem, miał rozbity nos, krew na twarzy i najwyraźniej zsikał się w spodnie. Chłopiec pobiegł do domu, powiedzieć ojcu, że coś się stało. Tata wyrzwał przez okno i natychmiast zadzwonił do szeryfa.

Tom Mize wozem patrolowym wracał właśnie od doktora Bigelowa z zapewnieniem, że mowy nie ma ani o wylewie, ani o ataku serca. Mógł odetchnąć z ulgą. Niestety dosłownie po sekundzie zadzwonił do niego Earl z wiadomością, że Indianin poturbował Marka Aherna i teraz ciągnie go w stronę centrum.

Nie miał pojęcia, co się dzieje, ale na myśl, że znowu będzie miał do czynienia z tym dzikim człowiekiem, robiło mu się niedobrze.

- Będę potrzebował pomocy. Bierz wóz patrolowy i jedź natychmiast na miejsce, ja też już tam jadę.

- Ale szeryfie, nie mam kogo zostawić na...

- Rusz tyłek, Earl, natychmiast.

Zastępca szeryfa, Earl Farley, wyłączył mikrofon, chwycił kurtkę. W drzwiach przypomniał sobie, że Harold Carter na niego czeka. Obiecał Haroldowi, że przyjedzie porozmawiać z Luce Andahar. Trudno, oboje muszą jeszcze trochę poczekać. Sprawdził, czy pistolet jest dobrze osadzony w kaburze i podszedł do wozu patrolowego. Nigdy w życiu nie strzelił do człowieka i miał nadzieję, że tego dnia to się nie zmieni.

Ludzie wychodzili z domów, chcieli wiedzieć, co się dzieje, ale Jonah nie odpowiadał, a Ahern nawet gdyby chciał, nie mógł dobrać słowa, więc sąsiedzi trzymali się z daleka.

Ktoś zadzwonił do Sluga Martena, żeby podzielić się plotką. Slug rzucił niedojedzoną kanapkę i natychmiast wystukał numer Harolda Cartera.

Harold podgrzewał właśnie zupę dla Luce i dla siebie.

- Odbierz, skarbie, dobrze? Luce podniosła słuchawkę.

- Mieszkanie Harolda Cartera.

Slug zdziwił się, że słyszy kobiecy głos i dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że to Luce.

- To ty, dziecko?

- Tak. Slug?

- Owszem. Coś się dzieje. Właśnie dostałem telefon, że twój Indianin poturbował zdrowo Aherna i teraz ciągnie go do miasta. Pomyślałem, że...

Luce rzuciła słuchawkę, chwyciła kurtkę. Harold zatrzymał ją przy drzwiach.

- A gdzie to się pali, moja panno?

- Dzwonił Slug. Mówi, że Jonah prowadzi mocno poturbowanego Aherna w stronę centrum. - Wzdrygnęła się. - To znaczy, że Mark był moim prześladowcą. - Zakryła twarz dłońmi. - Dlaczego robił takie straszne, podłe rzeczy? Skąd w nim tyle nikczemności? Zawsze miałam go za dobrego człowieka.

Harold poklepał ją po ramieniu.

- Nie wiem, co się dzieje. Co ty na to, żebym poszedł z tobą? Przekonamy się na własne oczy, co to za zamieszanie. - Harold sięgnął po kurtkę.

W chwilę później byli już na ulicy. Przejechały jakieś samochody. Fryzjer zamykał właśnie zakład, pozdrowił głośno Harolda. Harold pomachał, nie patrząc nawet w jego stronę i wskazał na prawo.

- Zobacz, ludzie biegną w tamtą stronę. - Poszli za innymi ciekawskimi i po przejściu kilkuset metrów Luce zobaczyła w oddali Jonaha ciągnącego za sobą listonosza.

Rzuciła się ku niemu biegiem.

Minęła bank, salon piękności, zatrzymała się na skrzyżowaniu i wtedy z bocznej uliczki wyjechał na pełnym gazie wóz patrolowy z Earlem Farleyem za kierownicą.

- Jezu miłosierny - jęknęła Luce i uskoczyła odruchowo w tył, jakby się bała, że Earl nie wyrobi się na zakręcie i wjedzie na chodnik.

Jonah nie zwracał uwagi na gęstniejącą cizbę, na krzyki dochodzące z tłumu. Tuż koło niego zatrzymał się wóz terenowy z napędem na cztery koła, wyskoczył z niego mężczyzna ze strzelbą. Jonah nawet na niego nie spojrział, nie zwolnił kroku.

- Zatrzymaj się - wrzasnął mężczyzna i uniósł strzelbę. - Zastrzele cię na miejscu, jeśli zaraz go nie puścisz.

Jonah dopiero teraz podniósł wzrok na samozwańczego stróża porządku. Utkwił w jego twarzy nieruchome spojrzenie.

- Wsiadaj do swojego samochodu i wracaj do domu. Już.

Mężczyzna zbladł, ręce zaczęły mu się trząść. Wiedział, że powinien bronić biednego, zmalretowanego listonosza przed obcym, ale wsiadł potulnie do auta i odjechał.

Ludzie przyglądali się i cała sprawa wydawała się wszystkim coraz bardziej tajemnicza. Kiedy Jonah dotarł do Main Street stanowiącej centrum miasteczka czy też oś, wokół której toczyło się życie Little Top, podążało za nim jakieś czterdzieści osób, podniecona gromada, wymieniająca między sobą głośne uwagi, wykrzykująca coś do Aherna.

Jonah czuł doskonale zaniepokojenie tych ludzi, ale wiedział, że nic mu nie zrobią, nie zdecydują się na żadne działanie. Usłyszał syrenę i odetchnął, wreszcie będzie mógł przekazać Aherna władzom.

Na Main Street pojawił się wóz szeryfa, na światłach, z włączoną syreną. Niemal równocześnie z przecznicy wyprysnął drugi wóz patrolowy, prowadzony przez Earla Farleya.

Jonah pomyślał, że za wcześnie pozwolił sobie na westchnienie ulgi. Przewidywał, że przekazanie Aherna w ręce szeryfa wcale nie będzie rzeczą łatwą i prostą. Niech to wszyscy diabli.

Earl wrzasnął przerażony, kiedy wóz szeryfa pojawił się tuż przed maską jego wozu. Nacisnął na hamulce i odbił kierownicę do końca w prawo.

Mize zaklął głośno, sobacząc na cały świat i wszystkich ludzi, też nacisnął z całych sił na hamulce i odbił w lewo. Oba samochody wpadły w poślizg, zatańczyły, zaczęły się obracać, zderzenie wydawało się nieuniknione, scena jak z hollywoodzkiego filmu... Wozy wyminęły się jakoś przy pierwszym obrocie i gapie już odetchnęli, gdy znowu zbliżyły się w poślizgu do siebie i znowu wydawało się, że za chwilę rozlegnie się chrzęst gniecionych blach i sypiącego się szkła.

Ciągle klnąc, Mize zrobił jedyne, co mu pozostało, wjechał na parking. Coś zgrzytnęło, ryknęło i ze skrzyni biegów poszedł taki odgłos, jakby właśnie rozpadła się na części. Wóz szeryfa zadrżał jeszcze niczym zdychający smok i znieruchomiał. Samochód Earla przeleciał obok niego i zatrzymał się o kilka centymetrów od szyby wystawowej sklepu jubilera.

Tłum obserwował ten dziki taniec wozów policyjnych w absolutnym milczeniu, czekając, co nastąpi.

Szeryf i jego zastępca wysiedli równocześnie z wozów, stanęli naprzeciwko siebie, mierząc się złym wzrokiem.

Jonah wykorzystał ten moment, pchnął Aherna, i listonosz osunął się na kolana u stóp szeryfa.

Mize jeszcze nie doszedł całkiem do siebie po spotkaniu z Szarym Wilkiem, pamiętał doskonale, jaki paraliż nim owładnął za sprawą tego człowieka. Ale teraz, w obecności tylu świadków poczuł się trochę pewniej i postanowił spróbować dobyć głos z gardła.

- Co zrobiłeś? - zapytał i nie bardzo było wiadomo, czy kieruje pytanie do Jonaha czy do listonosza.

- Mów - rozkazał Jonah Ahernowi.

- To ja prześladowałem Luce Andahar. Ja pisałem kartki. Ja zastawiłem potrzask w lesie, chciałem pozbyć się jej psa, żeby została bez ochrony. Nie udało się. Dzisiaj rano zostawiłem znowu kartkę, tym razem wsunąłem ją do kieszeni jej kurtki, kiedy byłem rano u Harolda.

Ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł uwierzyć, że powiedział to wszystko, że się przyznał.

Thum milczał, ludzie słuchali w osłupieniu wyznań listonosza.

Jonah podniósł głowę i zobaczył Luce, szła ku niemu niepewnym krokiem, blada jak płótno. Nie dziwił się. Była w szoku. Przeklęty Ahern. Kto by pomyślał, że to właśnie on?

Kiedy zbliżyła się, objął ją, a ona ukryła twarz na jego piersi.

- Udało ci się - szepnęła. - Zrobiłeś to. Już po wszystkim...?

Naprawdę koniec?

- Będzie koniec, jeśli szeryf Mize znajdzie czas, żeby aresztować tego sukinsyna - mruknął Jonah.

Mize wpatrywał się w Aherna, jakby zobaczył go pierwszy raz w życiu.

- To prawda, Mark? Dlaczego to zrobiłeś?

Ahern zaczął coś kręcić, ale Jonah kopnął go w stopę.

- Nie kłam.

Miał tak spuchnięty nos, że ledwie widział. Spanikowany nie potrafił milczeć, tak jak robił to wcześniej przed Jonahem, wyznał wszystkie swoje grzechy przed szeryfem. Z ust lał się niepowstrzymany potok słów, obrzydliwych i wstrząsających.

- Robię to od lat. Właśnie tak. Luce była jedną z wielu. Wybieram zawsze samotne. Z nimi idzie najłatwiej.

Mize miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje albo osunie się zemdlony na bruk.

- Co ty mówisz? Od lat prześladujesz i torturujesz kobiety?

Ahern kiwnął głową.

Jonah przygarnął Luce bliżej i spojrzał z odrazą na Aherna, który natychmiast zamilkł.

- Mize... będziesz musiał postarać się o nakaz przeszukania od prokuratora, jeśli wszystko ma się odbyć zgodnie z prawem. Na biurku znajdziesz notatnik, z którego pochodziły kartki, które podrzucał Lucii, i pióra z czarnym i czerwonym atramentem, wszystko pasuje. Poza tym w jego gabinecie stoi skrzynia z pamiątkami po zamordowanych kobietach.

Zamordowanych? Pod Luce ugięły się kolana. Tom Mize zachwiał się, zareagował nie lepiej niż Luce.

- On je mordował?

- Tak mi powiedział. Że morduje od lat. W tej skrzyni przechowuje rozmaite drobiazgi, które należały do ofiar. Być może znajdziesz tam rozwiązanie wielu zamkniętych, nierozstrzygniętych spraw.

Jonah nachylił się nad Ahernem.

- Nie kłam, nie kręć, nie próbuj nic przemilczać, bo dowiem się o tym i gorzko pożałujesz.

Ahern spojrzał na niego wściekłym wzrokiem.

- Nie możesz...

- Mogę i zrobię to. - Nachylił się jeszcze bardziej i szepnął listonoszowi do ucha: - Nigdy nie znajdą twojego ciała. Rozumiesz, co do ciebie mówię, potworze?

Coś wdarło się do umysłu Aherna, coś znacznie mroczniejszego niż jego własne chore myśli. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale wiedział, był pewien, że ten straszny Indianin gotów jest spełnić swoją groźbę.

Zamrugał. Kiedy podniósł znowu wzrok, Indianina już nie było.

Jonah szedł przez tłum, nie patrząc na nikogo. Zajęty był Lucią, jej poświęcał całą uwagę. Lucia drżała, płakała, nie mógł tego znieść, robiło mu się niedobrze.

Wziął ją na ręce, przytulił do piersi i tak niósł, jakby była dzieckiem. Jej ciałem wstrząsało jeszcze łkanie, a potem uspokoiła się, oparła głowę na ramieniu Jonaha i zamknęła oczy.

Była w szoku. Obsługiwała tego człowieka setki razy, podawała mu zamówione dania, żartowała z nim. Rozmawiała z nim, kiedy przywoził jej pocztę. Prawdziwy cud, że dotąd jej nie zabił.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Jonah, niosąc ją do starego pikapu Bridie.

Harold szedł za nimi w milczeniu, odezwał się, dopiero kiedy doszli do jego restauracji.

- Luce zostawiła torebkę na górze, poczekajcie chwilę, zaraz przyniosę.

Jonah posadził ją w fotelu pasażera i położył dłoń na jej policzku.

Czuła ciepło jego ręki, słyszała głęboki głos bardzo blisko, tuż przy swojej twarzy, ale nie była w stanie otworzyć oczu.

Jonah pocałował ją w skroń i szepnął miękko:

- Już po wszystkim, Lucio. Już nie musisz się niczego bać. Jesteś mocna. Jesteś bezpieczna. Odpocznij teraz. Za chwilę będziemy w domu.

Luce westchnęła z ulgą. Głos Jonaha w cudowny sposób oczyszczał umysł, uwalniał od wszelkich myśli. Czuła już tylko spokój, doskonały, wszechogarniający spokój.

Pamiętała jeszcze, że oparła się wygodnie o zagłówek fotela. Po chwili już spała.

Jonah podszedł do podnóża schodów i odebrał torebkę Lucii od Harolda. Chciał wracać do samochodu, ale Harold go zatrzymał.

- Pozwól, że uścisknę ci dłoń, synu - mruknął szorstkim tonem. - Wykonujesz dobrą robotę, opiekując się Luce. Nie bardzo rozumiem, jak udało ci się schwytać łajdaka, ale jestem szczęśliwy, że nasza mała nie będzie już żyć w strachu.

- Ja też - przytaknął Jonah, potrząsając prawicą Harolda. - Do zobaczenia jutro.

Harold odchrząknął nerwowo.

- Posłuchaj, jeśli nie będzie się czuła na silach...

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Odjechali.

Jonah zaniósł Lucię do sypialni, położył ją na łóżku.

Hobo zaskomlał niespokojnie, wchodząc za Jonahem do pokoju.

- Nic jej nie będzie - uspokoił go Jonah. - Ale jeśli chcesz, możesz z nią zostać, ucieszy się, jak cię zobaczy po przebudzeniu.

Hobo powąchał dłoń Luce, polizał palce i ułożył się na dywaniku przy łóżku, łeb oparł na łapach.

- Zostawię drzwi otwarte, jak będziesz chciał wyjść na dwór, daj mi znać.

Hobo mrugnął.

Jonahowi to wystarczyło, porozumieli się.

Zapadł już mrok. Po raz pierwszy od wielu miesięcy w życiu Lucii zapanował spokój.

Jonah natomiast miał wrażenie, że po wszystkim, co przeszedł tego dnia, rozsypie się na kawałki.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

D.J. Caufield od wielu dni przebywa w Wirginii Zachodniej. Zatrzymuje się w małych miasteczkach, pokazuje zdjęcie Szarego Wilka, ale bez rezultatu. Zniechęcenie bierze w nim górę, do tego dochodzi paskudne zimno. D.J. zatrzymuje się na lunch w kafejce w kolejnym małym miasteczku na skraju parku narodowego Monongahela. W telewizorze zawieszonym nad barem leci jakiś lokalny program, D.J. przeżuwa powoli swój sandwicz z bekonem, sałata i pomidorem, kiedy zaczynają się wiadomości. Słucha jednym uchem relacji reportera, który wyrzuca z siebie z szybkością karabinu maszynowego relację z jakiegoś miasteczka o nazwie Little Top. Kilka dni wcześniej aresztowano tam seryjnego mordercę. Niejaki Mark William Ahern ma pozostać w miejscowym areszcie, dopóki prokurator nie sformułuje aktu oskarżenia. To może potrwać, bo sprawę przejęło FBI. Facet zamordował wiele kobiet, w różnych stanach i najpierw należało ustalić fakty, dopiero wtedy prokurator będzie mógł zażądać postawienia gościa przed sądem.

D.J. niezbyt interesuje seryjny morderca z jakiejś zapadłej dziury, ale w pewnym momencie pada nazwisko Szarego Wilka. To on podobno ujął mordercę i oddał go w ręce policji. Tu Caufield z wrażenia odkłada kanapkę i już jej nie kończy.

Wyciąga mapę i zaczyna szukać Little Top, chce sprawdzić, jak daleko jest do miasteczka Szarego Wilka. Najmarniej pół dnia jazdy, przy dobrych warunkach. Ma nadzieję, że w pobliżu Little Top znajdzie jakiś

dobry motel, to podstawa. Jest zdecydowanie za zimno na urządzenie zasadzek na świeżym powietrzu.

Luce pozbyła się wreszcie ciężaru, który od wielu miesięcy dźwigała na barkach. Znowu była beztroska, mogła się uśmiechać. Wszyscy stali klienci u Harolda współczuli jej serdecznie, każdy miał coś do powiedzenia na temat strasznych przeżyć, które były jej udziałem w ostatnich miesiącach, każdy też miał własną koncepcję kary, jaką powinien ponieść Mark Ahern.

Luce przypominała im, że żyje tylko dzięki Jonahowi, bo przecież po innych ofiarach Aherna pozostało tylko wspomnienie w postaci drobiazgów zgromadzonych w kufrze.

Jonah chodził z ciężkim sercem. Dzień po aresztowaniu Aherna do Little Top przyjechała ekipa telewizyjna z wiadomości krajowych. Kiedy usłyszał, jak szeryf Mize ze swadą opowiada przed kamerami, w jaki sposób udało mu się zatrzymać seryjnego mordercę, przestał oddychać.

Bourdain wiedział już, gdzie go szukać. Pozostawało tylko czekać, kiedy pojawi się kolejny najemnik skuszony perspektywą zgarnięcia miliona dolarów. W pierwszym odruchu miał ochotę spakować Lucię i uciekać, ale przecież nie mógł skazać jej na takie życie, jakie sam wiódł do tej pory. Wieczna tułaczka nie była dla niej. Zostawić też jej nie potrafił. Wszyscy w miasteczku wiedzieli już o ich związku i życie Lucii znowu znalazło się w niebezpieczeństwie, tym razem za jego sprawą.

Po miasteczku ciągle kręciły się ekipy telewizyjne i tak miało pozostać do chwili przeniesienia Aherna do innego aresztu, gdzie będzie oczekiwać na proces. Wokół pojawiło się zbyt wiele obcych twarzy, Jonah musiał być czujny. Nie wiedział, czy wśród ludzi z telewizji nie pojawi się

wynajęty przez Bourdaina łowca głów. Robiło mu się niedobrze na myśl o niebezpieczeństwie, na jakie naraził Luce. Wszystko przez niego. Co gorsza nie podzielił się z nią swoimi obawami.

Zrobił jedną dobrą rzecz - przywiózł Bridie do miasteczka, żeby mogła spędzić dzień ze swoją starą przyjaciółką Idą Mae. Bridie nie posiadała się ze szczęścia. Kiedy pojawił się u niej rano, czekała na niego ubrana, gotowa do drogi i niezwykle podekscytowana.

Jonah zobaczył światło w kuchni i zatrzymał się na tyłach domu. Zanim weźmie się do pracy, musi sprawdzić, jak miewa się Bridie. Bridie otworzyła drzwi, nie czekając, aż Jonah zapuka. Miała zaróżowione policzki, oczy jej błyszczały.

- Dzień dobry, Jonahu. Jadłeś już śniadanie?

- Owszem, madame, jadłem. - Bridie była ubrana w wyjściową suknię, gotowa do drogi.

- Rozmawiałaś z Idą Mae? Bridie kiwnęła głową.

- Rozmawialiśmy wczoraj przez telefon prawie godzinę. Robi właśnie narzutę na prezent bożonarodzeniowy dla jednej ze swoich wnuczek, powiedziałam jej, że chętnie pomogę. Wiesz, jednej osobie bardzo trudno jest ułożyć dobrze wypełnienie, a potem zszyć spód narzuty z wierzchem.

Jonah uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że nie zamierzacie pracować cały dzień.

- Nie, pójdziemy na lunch do Harolda. Na Boga, nie pamiętam już, kiedy byłam u niego ostatnio. Ida Mae obiecała, że po południu zabierze mnie do biblioteki. Wieki całe nie wypożyczałam nic do czytania. Na pewno mają mnóstwo nowych książek.

- Świetnie - ucieszył się Jonah. - Kiedy wszystko przeczytasz, ja albo Luce odwieziemy je do biblioteki. I pamiętaj, jak będziesz chciała wypożyczyć kolejne, zjeść znowu lunch z Idą Mae, wystarczy powiedzieć, zawiozę cię do miasteczka.

Bridie poklepała Jonaha po policzku, jakby był małym dzieckiem.

- Dobry z ciebie chłopiec. Nie wiem, co cię natchnęło, żeby zabrać mnie do Little Top, ale cieszę się, że wpadłeś na ten pomysł. Od kiedy przestałam jeździć samochodem, zamieniłam się w pustelnicę. Franklin dopiero by się wściekł, gdyby widział, jak ja żyję.

- To już przeszłość. Pozwoliłaś mi korzystać z samochodu, w zamian ja będę od czasu do czasu twoim szoferem.

- Możemy już jechać? Jonah spojrział na zegar.

- Nie ma jeszcze ósmej. Myślisz, że Ida Mae wstaje tak wcześnie?

Bridie założyła płaszcz, który już czekał przewieszony przez oparcie kuchennego krzesła, chwyciła torebkę.

- Ida Mae należy do skowronków, tak jak ja. Wypijemy kawę, poplotkujemy i dopiero potem weźmiemy się do pracy przy narzucie.

- W takim razie jedziemy.

Pomógł Bridie wsiąść do samochodu i zawiózł ją do domu Idy na skraju miasteczka. Gdy Ida Mae otworzyła drzwi, Bridie odwróciła się i dała Jonahowi znak dłonią, że może odjeżdżać.

Jadąc przez miasteczko, ciągle się uśmiechał. Zatrzymał się na światłach i zobaczył przed biurem szeryfa zastępcę Mize'a. Earl Farley udzielał kolejnego wywiadu przed kamerą.

Dostrzegł Jonaha, pomachał mu entuzjastycznie i wskazał ekipie. Kamera natychmiast skierowała się w jego stronę. Na szczęście światła się

zmieniły i Jonah nacisnął na gaz. Pomknął dalej z maksymalną dozwoloną prędkością.

Zabrał się do pracy, ale co jakiś czas wyglądał na drogę dla upewnienia się, czy nikt nie nadjeżdża. Nie miał ochoty opowiadać o Marku Ahernie i swoim udziale w jego ujęciu.

Skończył codzienne prace i zabrał się za zadanie specjalne, które zleciła mu Bridie, kiedy jechali do miasteczka. Na ganku miała trzy wielkie dynie oraz jakieś pół tuzina tykw różnych wielkości i kształtów. Chciała dodać do nich dwie bele siana - miała to być specjalna dekoracja.

Następnego dnia przypadał Halloween i chociaż dzieciaki z miasteczka nie zapuszczały się tak daleko, Bridie była osobą starej daty i ściśle przestrzegала wszystkich świątecznych obyczajów. Co więcej, tłumaczyła Jonahowi, że dekorację ganku będzie można zachować do Święta Dziękczynienia, nic w niej nie zmieniając.

Jonah zapomniał już, co to znaczy obchodzić święta, przestrzegać starych zwyczajów. Był to luksus, na który nie mógł sobie pozwolić. A tu proszę, targał na ganek siano, ustawiał dynie. Kiedy skończył, w szopie z narzędziami znalazł młotek, gwoździe, tarcicę i wrzucił to wszystko na skrzynię pikapu. Musiał uzupełnić deski w ogrodzeniu, kilka było połamanych, jedna całkiem przegniła. Pracował wytrwale, zrobił sobie tylko krótką przerwę na lunch, który przywiózł z domu.

Zbliżała się pora odebrania Lucii z pracy, gdy usłyszał jakiś dziwny odgłos. W górach trudno ocenić odległość, dźwięki rozchodzą się zupełnie inaczej, nie wiadomo, czy dochodzą z bliska czy z daleka. W dodatku Jonah nie potrafił powiedzieć, co właściwie słyszy. Jakby przeraźliwy pisk hamulców, trzask drzewa i chrzęst giętych blach. Coś się stało, z

pewnością nic dobrego. Wskoczył do samochodu i ruszył tak szybko, jak tylko pozwalał na to rozsądek.

Minął dom Luce, nie spoglądając nawet w tamtą stronę. Im bardziej zbliżał się do miasteczka, tym większy niepokój go ogarniał. Czuł idące skądś przerażenie, ból, w głowie słyszał rozdzierające krzyki, wołanie o pomoc. Wjechał na kolejne wzniesienie i serce mu się ścisnęło. Ujrzał kilkadziesiąt metrów w dół, tuż nad rowem, połamane drzewa. Skądś szedł dym. Zatrzymał samochód, wyskoczył. W powietrzu wisiała woń palonej gumy i ropy napędowej. Teraz już naprawdę słyszał krzyki i wołanie o pomoc. Podbiegł na skraj jaru, gdzie wcześniej dostrzegł połamane drzewa.

W dymie, między drzewami dojrzał tył żółtego szkolnego autobusu i serce mu stanęło. Tylne drzwi wisiały na jednym zawiasie, jakieś dziecko leżało w nich z głową zwieszoną nad stopniami. Inne znowu siłą upadku wyrzuciła na zewnątrz, leżało na trawie obok koła.

Nie potrafił powiedzieć, czy ta dwójka żyje.

Zaczął schodzić do autobusu, kiedy zza zakrętu wyjechał samochód. Jonah wybiegł na drogę i zatrzymał auto. Kobieta i mężczyzna spojrzeli na niego trochę zaskoczeni, nachylili się ku niemu.

- Ma pan komórkę?

- E... tak, mam, ale o co...

- Niech pan natychmiast dzwoni po karetki. I do szeryfa. Niech przyślą tutaj tylu ratowników, ilu uda się ściągnąć. Szkolny autobus stoczył się do jaru.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie i wyskoczyła z samochodu.

- Moje dziecko. Ona jest w tym autobusie. Boże miłosierny, ona tam jest!

Jonah chwycił ją za ramię i wrzasnął na mężczyznę:

- Dzwon! Natychmiast. - Nie było czasu, żeby bawić się w kurtuazję.

Cała krew odpłynęła z twarzy mężczyzny. Drżącymi palcami wystukiwał numer. W końcu udało mu się wezwać pomoc i Jonah zwrócił się do kobiety.

- Zostań tutaj. Znajdę twoją córkę.

- Idę tam - krzyknęła histerycznie. - To moje dziecko, moje dziecko.

Uwolniła się z uchwytu Jonaha i zaczęła schodzić do jaru, zanim zdążył wyperswadować jej ten zamiar. Przewróciła się, potoczyła po zboczu i podniosła dopiero na samym dole.

Jonah poszedł za nią, ślizgał się, potykał, ale udało mu się zachować równowagę i nie upaść. Minał kobietę i szedł dalej. Ominął plecak, z którego wysypały się książki, kilka kroków dalej zobaczył pudełko na kanapki. Starał się nie myśleć, do kogo te rzeczy należały, nie chciał spekulować, ile z tych dzieciaków zginęło. Musiał jak najszybciej dotrzeć do autobusu.

W autobusie panował jeden wielki chaos. Dzieci płakały, wołały matki, niektóre tylko jęczały. Jakiś chłopiec został uwięziony między dwoma fotelami. Płakał z bólu i wołał mamę.

Nagle chłopiec poczuł czyjeś dłonie na twarzy, usłyszał głęboki głos i trochę się uspokoił, ból jakby nieco zelżał.

- Jak masz na imię? - zapytał Jonah.

- Travis... mam na imię Travis.

- W porządku, Travis. Jestem przy tobie. Nie płacz, wszystko będzie dobrze. - Jonah napiął mięśnie, szarpnął fotele, poczuł przypływ adrenaliny i wyciągnął chłopca.

Przesunął dłońmi niby skanerem wzdłuż ciała chłopca, szukając obrażeń wewnętrznych, może wylewu. Nie znalazł nic, mały nie ucierpiał zbyt poważnie, był tylko obolały i przerażony. Wziął go na ręce i wyniósł z autobusu tylnym wyjściem. W tej samej chwili pojawiła się zrozpaczona matka.

- Moja córka! Moja córka! Ma na imię Susie. Widziałeś ją? Rude włosy, zielona przepaska...

- Jak się nazywasz? - przerwał jej Jonah.

- Georgia Benton... ale...

- Weź tego małego i połóż go na ziemi, obok tamtej dwójki.

- Susie! Muszę znaleźć Susie.

- Bierz chłopca. - Jonah podał jej małego. - Znajdę twoją córkę.

Georgia Benton spojrzała na chłopca, którego trzymała w ramionach i jakby się pozbierała, uspokoiła trochę.

- Mój Boże, Travis Mize. Co ci się stało, dzieciaku? Nie płacz już, kochanie, wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Położyła Trávisa obok dwójki, którą Jonah zdążył wyciągnąć z autobusu wcześniej, i pobiegła w tamtą stronę. Kątem oka zobaczyła męża, który zmierzał na dół mniej więcej w ten sam sposób jak ona. Pomodliła się w duchu, by sturlał się w jednym kawałku, cały i zdrowy.

Na poboczu drogi stało już kilka samochodów, z dala słychać było dźwięki syren. Jonah wyciągał kolejne dzieci. Musiał szybko oceniać,

które odniosły obrażenia, które wyszły z wypadku cało, a płaczą, bo są w silnym szoku.

Szedł od fotela do fotela, pomagał tym, które nie były ranne wydostać się z autobusu, w przypadku pozostałych upewniał się, czy ich stan nie jest krytyczny.

Kiedy dotarł na sam przód autobusu, zobaczył pierwszą ofiarę śmiertelną. Kierowca nie żył, Jonah nie mógł mu już pomóc.

Zrobiło mu się niedobrze, odwrócił się i nadal poszukiwał rudowłosej Susie, ale nigdzie nie widział dziewczynki.

W autobusie pojawili się pierwsi ratownicy, pytali Jonaha, co mają robić, czekali na jego wskazówki, od razu uznali go za szefa.

- Ta mała ma złamaną prawą rękę i ranę głowy. Zajmijcie się nią w pierwszym rzędzie. - Jonah wskazał dziewczynkę leżącą na podłodze autobusu.

Dwóch mężczyzn zabrało się szybko do uwalniania dzieci, trzeci stał przy tylnym wyjściu, gotów odbierać maluchy.

- Podawajcie mi dzieciaki! - zawołał.

- Co z Beau? - zapytał jeden z ratowników. Jonah pokręcił głową. Mężczyzna drgnął, skulił się, jakby otrzymał cios.

- Boże miłosierny, przecież to wujek mojej żony. Straszne.

Na tyle autobusu pojawiła się Georgia.

- Susie! Znaleźliście Susie?

- Nie, nie znaleźliśmy jej jeszcze.

Kiedy Georgia zrozumiała, że Susie nie ma wśród dzieci, zaczęła szlochać.

- Boże, Boże, czy to znaczy, że wypadła i jest pod autobusem?

Chryste, tylko nie to.

Jonah precyzyjnie przycisnął się obok Georgii i wyskoczył z autobusu.

Ratownicy ułożyli ranne dzieci z dala od pojazdu, przykryli je kocami i własnymi kurtkami. Zrobili, co mogli, wydobyli wszystkie dzieciaki i teraz czekali na pojawienie się karettek.

Jonah też martwił się o Susie. Zaczął okrążyć wrak na czworakach, usiłując wypatrzeć, czy nikt nie został uwięziony pod autobusem. Bał się najgorszego. Wtem wysoko nad jego głową pojawił się jastrząb, zaskrzeczał.

Jonah go usłyszał.

Wstał, spojrzał w górę, jastrząb zaskrzeczał ponownie.

Jonah odwrócił się i zaczął wspinać po zboczu jaru.

- Zaczekaj! Dokąd idziesz? - zawołała Georgia.

- Powiedziałeś przecież, że znajdziesz moją Susie. Obiecałeś mi.

Jonah nie słuchał jej nawoływań. Szedł za głosem jastrzębia, który prowadził go do dziecka.

Chwycił się jakiegoś krzaka, żeby nie osunąć się po stromym zboczu, i wtedy zobaczył małego rudzielca z zieloną przepaską we włosach.

Opadł na kolana i wyciągnął małą z zarośli. Buzię miała mocno pokaleczoną i posiniaczoną, nogi paskudnie poobijane, z krwawymi wybroczynami. Granatowa sztruksowa kurtka, którą miała na sobie, tak przesiąkła krwią, że była czarna.

Serce mu waliło jak oszalałe, gorączkowo szukał tętna na szyi. Kiedy je wreszcie znalazł, odetchnął z ulgą. Tętno było słabiutkie, nierówne, ale wyczuwalne. To wystarczyło.

Nie zwracał uwagi na ludzi obserwujących go z pobocza drogi, położył dłonie na piersi dziewczynki i zamknął oczy. Najpierw zaczęło wibrować powietrze, potem drzewa, wreszcie ziemia. Aura emanująca z ciała Jonaha otoczyła dziecko.

Georgia wspinała się po zboczu, za Indianinem, który obiecał znaleźć małą. Zobaczyła Susie, skrwawioną, nieprzytomną. Poczowała, że ziemia drży pod jej stopami, pomyślała w panice, że to koniec świata, a potem dojrzała oślepiające światło otaczające tajemniczego mężczyznę i jej córkę. Nie mogła zrobić kroku, osunęła się na kolana, pewna, że widzi przed sobą anioła, i zaczęła się modlić.

Po zboczu schodzili już sanitariusze z noszami, na widok Indianina pochylonego nad dziewczynką zatrzymali się, jakby wrosli w ziemię. Patrzyli osłupiali, jak goją się rany na twarzy małej, znikają krwiaki z nóg, pierś zaczyna się rytmicznie unosić, powieki zaczynają drgać. Jeden z ratowników nie zdawał sobie sprawy, że płacze, dopóki nie poczuł słonego smaku łez na wargach.

Ludzie patrzyli i nic nie rozumieli. Mała tymczasem otworzyła oczy i zobaczyła matkę klęczącą opodal.

- Mamusiu... autobus zjechał z drogi.

Inny sanitariusz zakładał kołnierz usztywniający małemu Travisowi. Jonah podszedł do niego, dotknął jego ramienia.

- Proszę.

Chłopak burknął tylko, żeby się odsunął i nie przeszkadzał, ale kiedy spojrzał w niezwykle, oświetlone złotym blaskiem oczy, stracił cały rezon, odchylił się na piętach.

Jonah zbliżył się do chłopca, położył dłoń na jego piersi.

- Travis?

Mały nie przestawał szlochać.

- Spójrz na mnie, synu. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

I znowu, jak zawsze kiedy Jonah uwalniał tkwiącą w nim moc, powietrze zaczęło wibrować, drzewa zadrżały, jasne światło spowiło drobnego chłopca i rosnącego mężczyznę. Ktoś padł na kolana, zaczął się modlić, inni patrzyli w osłupieniu, pewni, że tracą zmysły.

Travis usiadł i jakby nic się nie stało, wszczął alarm, że gdzieś przepadła jego ukochana rękawica baseballowa. Jonah przeszedł do następnego dziecka, potem do kolejnego. Uspokajał maluchy, uzdrawiał ranne, robił to, do czego został stworzony, co było jego powołaniem.

Kiedy już pomógł ostatniemu dziecku, wyprostował się i rozejrzał.

Szeryf Mize trzymał w ramionach Trávisa.

- To twój syn? - upewnił się Jonah.

Mize nie mógł mówić. Był błądy jak ściana, ciągle miał dzikie przerażenie w oczach, tulił syna w kurczowym uścisku.

- Policzyłeś ofiary?

Mize wzdrygnął się, przełknął z trudem ślinę, wyjął chustkę, wydmuchał głośno nos i dopiero wtedy wykrztusił:

- Dziesięć.

- Razem z kierowcą?

Mize nie mógł oderwać wzroku od Indianina. Widział na własne oczy, co ten człowiek zrobił, i ciągle nie mógł uwierzyć.

- Tak, łącznie z Beau.

- Przykro mi. Zmarłym nie jestem już w stanie pomóc.

Sam policzył w myślach ranne dzieci: ośmioro, dziewięcioro, jeśli liczyć Susie, którą matka trzymała w ramionach. Był przy wszystkich.

- Zatem to już wszyscy mali pasażerowie, którym potrzebna była pomoc.

Mize jakby zwiotczał.

- Boże Wszechmogący, kim ty jesteś? Jonah westchnął.

- Wiesz, kim jestem. Muszę już jechać. Lucia będzie się niepokoiła.

- Nie. Ktoś ją zawiadomił, że tu jesteś. Zabrała się z Earlem. Na pewno czeka na ciebie tam na górze, na drodze.

Jonah kiwnął głową i odszedł bez słowa.

Kiedy wspinał się po stromym zboczku ku szosie, ratownicy odprowadzali go wzrokiem. Któryś próbował go dotknąć, gdy przechodził obok. Inny cofnął się pospiesznie.

Wolał nie myśleć o konsekwencjach swojego zachowania. Nie miało to żadnego znaczenia, liczyło się tylko życie i zdrowie dzieci. Teraz pragnął jak najszybciej wsiąść do samochodu i znaleźć się wreszcie w domu.

Jonah spóźniał się już kwadrans i Luce zaczynała się niepokoić. Kiedy po kilku następnych minutach wyczekiwania usłyszała syreny i zobaczyła prywatne samochody pędzące w stronę góry, przeraziła się nie na żarty.

Harold próbował ją zatrzymać, uspokajał, prosił, żeby jeszcze poczekała, ale ona chwyciła kurtkę, torebkę i ruszyła pieszo ku drodze prowadzącej na górę. Stało się coś złego, a ona musiała się przekonać, czy Jonah jest cały i zdrowy.

Gdzieś w połowie drogi zobaczył ją, maszerującą poboczem, zastępca szeryfa Farley, i podwiózł na miejsce wypadku. Zdążył jej opowiedzieć, że autobus szkolny stoczył się z szosy, tyle wiedziała, nie wiedziała natomiast, co dzieje się z Jonahem.

Kiedy zobaczyła na poboczu starego pikapa, wpadła w panikę. Wyskoczyła z wozu policyjnego, zanim na dobre się zatrzymał i pobiegła ku zbocz. Z szosy widziała tylko tył autobusu, biegających wokół ludzi wynoszących dzieci z wraku.

Wreszcie dojrzała Jonaha i zrozumiała, co się dzieje. Pomagał rannym malcom, ryzykując własne życie, ujawniał się przed mieszkańcami miasteczka.

Nie mogła go powstrzymać, nie mogła nic zrobić. Siadła na trawie i czekała. Jonah tymczasem działał, spełniał powinność, do której był stworzony. Resztę należało pozostawić opatrności czy też losowi. Będzie, co ma być.

Po chwili pojawiły się dwa wany ze stacji telewizyjnych. Widziała, jak reporterzy przeprowadzają wywiady. Zbierali relacje o wypadku, o poszkodowanych, rannych dzieciakach. Kiedy któryś z kamerzystów zrobił najazd na twarz jednego z zapłakanych rodziców, odwróciła wzrok z niesmakiem. Sępy czyhające na tragedie, karmiące się ludzkim nieszczęściem, pomyślała oburzona.

Minęła godzina. Luce dojrzała Jonaha wspinającego się powoli po stoku. Skończył swoje zadanie, wracał wreszcie.

Wstała, wyprostowała się, chciała, żeby ją zauważył, żeby wiedział, że czeka na niego. Kiedy podniósł głowę i zobaczyła wyraz jego twarzy, z jej gardła dobył się gwałtowny szloch.

Jonah od razu ją dostrzegł. Stała na poboczu drogi, czekała, czekała na niego. Szedł w jej stronę. Wiedział, że kiedy spotka się z Lucią, wszystko się uładzi, uspokoi, wszystko znowu będzie dobrze.

Był kompletnie wyczerpany, osłabiony, na granicy omdlenia. Nigdy nie zdarzyło mu się pomagać tylu osobom naraz, ale nie miał wyboru, musiał tak działać. Albo wszyscy, albo nikt. Nie miał prawa decydować, kto przeżyje, a kto umrze.

Mięśnie twarzy mu zeszywniały, skóra go paliła od zimna. Spojrzał po sobie, miał zakrwawione ubranie, przy koszuli brakowało jednego guzika. Usłyszał, że Lucia go woła:

- Jonah...

Spojrzał na nią i siły wróciły, szedł ku niej, pisał się po stromym zboczu i po chwili stał już przed nią. Otworzyła ramiona.

- Moje ubranie... całe we krwi... Pobrudzisz się...

- Cicho, nic nie mów. Przytul się do mnie - szepnęła.

Zrobił krok do przodu i Luce go objęła. Czuł bicie jej serca i jego własne serce zaczynało się uspokajać, pracować rytmicznie, miarowo. Był w domu, ramiona Lucii były jego domem.

- Tak mi przykro, że kierowca zginął - powiedziała.

Zdumiało go, że tak świetnie rozumiała jego smutek. Nie był w stanie uratować wszystkich. Przygryzł wargę, powstrzymując napływające do oczu łzy.

Nie wiedział, że kamera uchwyciła jego powrót na szosę i powitanie z Lucią. Oderwał się w końcu od niej, już spokojniejszy.

- Bridie jest u Idy Mae. Muszę ją odebrać, zanim wrócimy do domu.

- Jedźmy zatem po nią.

Minęli wozy ratunkowe i policyjne, gapiów cisnących się na poboczu.

Było już ciemno, kiedy Bridie wsiadła do pikapu i ruszyli do domu.

Bridie, podniecona dniem spędzonym w miasteczku, dopiero po chwili zobaczyła, w jakim stanie jest Jonah.

- Nic ci nie jest, synku? - zaniepokoiła się.

- Wszystko w porządku, madame - odparł krótko.

- Co w takim razie...? - mruknęła. Nic nie rozumiała.

Luce spojrzała na Jonaha i poklepała Bridie po rękę.

- Był wypadek. Szkolny autobus stoczył się do jaru. Baeu Davis zginął.

Bridie wstrzymała oddech, a potem zmówiła szeptem pacierz.

- O Boże, Boże. Jechał z dziećmi?

- Z dziećmi. Dziewięcioro rannych...

- Och, nie... Czy one... - Bridie bała się dokończyć zdanie.

- Z dziećmi wszystko w porządku - zapewnił ją Jonah.

- Cud, cud prawdziwy, że żadne z nich nie ucierpiało - westchnęła Bridie.

Jonah nie wyprowadzał jej z błędu, skinął tylko głową. Nie chciał już rozmawiać o tym, co się wydarzyło.

Luce widziała, jak bardzo jest wyczerpany. Zaczęła wypytywać Bridie, jak minął jej dzień, żeby Jonah mógł spokojnie odpoczywać.

Wreszcie dowieźli Bridie do domu. Jonah dopilnował, żeby dobrze zamknęła drzwi na noc i miał się zabrać za wieczorne obowiązki, ale Luce już zdążyła wyskoczyć z pikapu.

- Robiłam to wiele razy, zanim się pojawiłeś. Idź do Molly, a ja zajmę się kurami.

Jonah przyjął z wdzięcznością pomoc. Nie musiał doić Molly, bo staruszka dawała coraz mniej mleka. Nakarmili tylko zwierzęta, zamknęli na noc i mogli wracać do domu. Hobo czekał już na nich na ganku, stęskniony i zniecierpliwiony. Rzucił się ich witać entuzjastycznie, kiedy wysiedli z samochodu.

Jonah pomógł wsiąść Lucii i ręka w rękę ruszyli do domku. Ledwie znaleźli się w środku, Lucia rozebrała Jonaha, rzucając skrwawione rzeczy na podłogę.

- Ja mogę...

- Nie - powiedziała stanowczo. - Ja to zrobię. Pozwól mi.

Stał bez ruchu, nie był w stanie myśleć, sprzeczać się, obstawać przy swoim.

Luce czuła, że nie powinna się odzywać. Zaprowadziła rozebranego Jonaha do łazienki, odkręciła wodę nad wielką, starą wanną i wycofała się.

Jonah stał odrętwiały, nie bardzo świadom tego, co dzieje się wokół niego.

- Kochanie - powiedziała cicho.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Lucia coś do niego mówi, że jest w łazience i że wanna napełnia się ciepłą wodą.

- Wykap się, najdroższy - przemówiła jak do dziecka. - Musisz zmyć z siebie krew i ziemię. Po kąpieli będzie ci się lepiej spało.

Spojrzał na swoje dłonie i wstrząsnął nim dreszcz.

- Tak, tak. Dziękuję - wymamrotał i wszedł do wanny, a Luce wyszła, zamykając drzwi.

Szybko zebrała brudne rzeczy i wrzuciła do pralki, potem podeszła do zlewu i starannie wyszorowała dłonie, usuwając z nich ślady krwi.

Miała zamiar zrobić tego dnia na kolację schabowe, ale wiedziała, że Jonah nie da rady zjeść tak treściwego, ciężkiego posiłku. Otworzyła zatem dwie puszki zupy i przelała zawartość do garnka. Zupa się podgrzewała, ona tymczasem zabrała się za parzenie kawy.

Kiedy wszystko było gotowe, poszła do łazienki. Jonah zdążył się wykapać, stał teraz przed lustrem i pustym wzrokiem wpatrywał się w swoje odbicie.

- Jonah?

Ocknął się, zamrugnął, odwrócił i spojrzał na Lucię. Już myślała, że jej nie poznaje, ale uśmiechnął się.

- Lucia.

- Tak, kochanie... to ja. Przyniosłam ci bluzę i spodnie, ubierz się.

Włożył przyniesione rzeczy i przysiadł na sedesie, jakby ubieranie się przerosło jego siły, odebrało mu resztki energii.

Luce wzięła ręcznik i zaczęła wycierać Jonahowi włosy, aż były niemal suche. Potem sięgnęła po swoją szczotkę i zabrała się za rozczesywanie długich pasm, metodycznie, rytmicznie.

- Nikt nigdy mnie nie czesał - powiedział, kiedy skończyła, odłożyła szczotkę i objęła go za szyję. Kiedy oparł głowę na jej piersi, uścisnęła go gorąco, z całego serca.

- Tak jest dobrze - szepnęła.

Słyszał nutę zaborczości w jej głosie. Zamknął oczy. Dobrze było wiedzieć, że jest komuś potrzebny. On też potrzebował Lucii, równie mocno jak ona potrzebowała jego.

Czuła, jak uchodzą z niego resztki sił, powinien szybko położyć się, odpocząć.

- Chodź, zjesz coś ciepłego, a potem natychmiast do łóżka.

Nie chciał nawet na chwilę tracić kontaktu z jej ciepłym, dającym ukojenie ciałem.

- Pod warunkiem, że ty też się położysz.

- Nigdy cię nie zostawię, zawsze będę przy tobie - przyrzekła.

Zjadł miskę rozgrzewającej zupy, upił kilka łyków kawy i odstawił kubek.

- Kładź się - zarządziła Luce. - Ja zaraz przyjdę. Kiedy Jonah poszedł do sypialni, umyła szybko naczynia, dorzuciła dREW do kominka, nakarmiła Hobo i zamknęła starannie drzwi.

Chwilę później była już w swoim pokoju. Nastawiła budzik, rozebrała się błyskawicznie. Jonah spał, postanowiła więc wziąć szybki prysznic, potem wsunęła się cicho do łóżka.

Jonah przytulił ją przez sen, podświadomie czuł jej obecność, jej ciepło. Przygarnął ją i westchnął cichutko.

Luce czuła, jak jego mięśnie się rozluźniają, jak znika napięcie. Już nawet jej nie obejmował, spał głębokim, spokojnym snem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy kochali się rano, przed oczami Luce zaczęły przemykać nieznane, obce krajobrazy, jasne i mroźne, pełne śniegu, wilków, skutych lodem potoków, zimnych wiatrów. Opowiedziała Jonahowi o tym dziwnym przeżyciu, gdy leżeli spleceni, zmęczeni miłością.

- Co to było? Co ja widziałam?

- Widziałaś Alaskę. To moja Alaska. Zobaczyłaś to, o czym myślałem, kiedy się kochaliśmy. Myślałem o domu. Teraz ty jesteś moim domem, Lucio. Chcę być tam, gdzie ty.

Luce poruszyły słowa Jonaha, ale jeszcze bardziej poruszyło ją to, co zobaczyła.

- To miejsce... dolina, którą widziałam... istnieje naprawdę?

Jonah skinął głową.

- To Snow Valley. Tam zaprowadziła mnie wilczyca i zostawiła ludziom. Tam się wychowałem.

Luce uwolniła się z jego ramion, usiadła.

- Dlaczego tam nie zostałeś?

Jonah zmrużył oczy.

- Bourdain.

Przesunęła palcami po jego czole, jakby chciała wygładzić głębokie bruzdy.

- Zabierzesz mnie tam kiedyś.

Usiadł obok niej i posadził ją sobie na udach.

- Czy... potrafiłabyś...

- Co?

- Kiedy ta sprawa z Bourdainem się skończy, a musi się kiedyś skończyć, czy... chciałabyś... zgodziłabyś się zamieszkać ze mną na Alasce?

Luce zamknęła jego dłoń w swoich dłoniach.

- Znasz Biblię? - zapytała.

- Fragmenty.

- Znasz Księgę Ruth? Zrozumiał i łzy stanęły mu w oczach.

- Dokąd ty idziesz, umiłowany mój...

Jonah, poruszony do głębi, ukrył twarz na ramieniu Luce.

- Och, Lucio, ostatnie dziesięć lat mojego życia to było prawdziwe piekło, ale gotów byłbym przeżyć je jeszcze raz, wiedząc, że doprowadzą mnie w końcu do ciebie.

Lucia, wzruszona nie mniej niż on, nie była w stanie dobyć głosu z gardła. Miała tylko nadzieję, że przetrwają wszystkie złe rzeczy, które mogła przynieść przyszłość.

Caufield jest w Little Top od ponad czterech dni. Jedyne moteli co do ostatniego miejsca okupują ludzie ze stacji telewizyjnych. Przedsiębiorczy mieszkańcy, wykorzystując napływ ekip, wynajmują pokoje w swoich domach. D.J. przypadło w udziale niewielkie, wygodne mieszkanie nad garażem. Zajmowane kiedyś przez matkę pani domu, stało puste od śmierci starszej pani. Okoliczności sprzyjają kolejnemu z licznych amatorów milionowej nagrody. Do miasteczka zjechało tylu obcych, że nikt nie zwraca uwagi na jednego więcej.

Tyle było łamania sobie głowy, układania planów, tymczasem odnalezienie Jonaha Szarego Wilka okazało się dziecinnie proste. Caufield

nie może zrozumieć, dlaczego po tylu latach ukrywania się, wiecznej tułaczki Szary Wilk zdecydował się osiaść w jednym miejscu i ujawnić. Trochę go ta sytuacja martwi, ale nie na tyle, by przyprawiać o ból głowy czy wpędzać w panikę.

Sztuka polegała na tym, by zgrabnie zgarnąć Jonaha i dowieźć całego i zdrowego do Bourdaina. D.J. ucina sobie pogawędkę z niejakim Shugiem, właścicielem otwartego całą dobę sklepiku z prasą, kanapkami i napojami. Od niego dowiaduje się, że w życiu Szarego Wilka pojawiła się kobieta. To by mogło tłumaczyć, dlaczego facet zdecydował się zostać w miasteczku.

Jeśli Szary Wilk będzie się stawiał, dopadnie go, wykorzystując niejaką Lucię Andahar.

Bourdain wydzwania od momentu, gdy tylko dowiedział się, że Caufield jest już w Little Top. W każdej rozmowie dopytuje się o efekty działań D.J. i wścieka się, że operacja trwa zbyt długo. Przecież facet jest na miejscu. Trzeba go tylko zgarnąć i po sprawie. Caufield ma w końcu dość tych niekończących się tyrad.

- Posłuchaj no, Bourdain. Ilu ludzi w ciągu minionych dziesięciu lat uganiało się za tym twoim uzdrowicielem?

Bourdain klnie pod nosem.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Mylisz się. To ma wiele do rzeczy. Do tej pory ty rozkazywałeś i za każdym razem polowanie kończyło się fiaskiem. Wiem doskonale, co jest w papierach, które mi przesłałeś, wiem, z kim mam do czynienia. Albo zamilknieš i pozwolisz mi działać po mojemu, albo przyjeżdżaj do Little Top i sam łap tego gościa. Bardzo dobre rozwiązanie. Bierz dupę w troki,

wsiadaj do swojej limuzyny i przyjeżdżaj tu, do Wirginii Zachodniej. Może już czas, byś pobrudził sobie trochę rączki.

Bourdainowi staje przed oczami dzień, w którym trzech najemników z ogromnym trudem sprowadziło mu Szarego Wilka do domu. Do tej pory śni mu się potężny ptak odrywający głowę jednemu z tych ludzi, znowu widzi tysiące atakujących sępów, kondorów, jastrzębi...

Nie miał najmniejszej ochoty spotykać się z Szarym Wilkiem, zanim nie upewni się, że ma nad tym diabłem przewagę.

Trzasnął słuchawką i to była cała jego odpowiedź. Caufield wie, że musi użyć sprytu, zastawić chytrą pułapkę. To nie jest robota dla mięśniaków napakowanych sterydami, bo Szary Wilk nie mógł zginąć.

Subtelność, finezja, ot co. Należało działać finezyjnie.

Caufield przemyśliwa nad sposobem wejścia w posiadanie milionowej nagrody, a mieszkańcy Little Top przeżywają tymczasem objawienie.

Indianin, który zamieszkał z Luce Andahar w jej domku na górze, okazał się uzdrowicielem. Nie jakimś tam nawiedzonym facetem, obnoszącym się z Biblią i deklamującym: „W imię Jezusa, wstań i idź, jesteś uzdrowiona”, ale prawdziwym uzdrowicielem.

Tak, tak.

Świadkowie, którzy pomagali wydobywać dzieciaki z rozbitego autobusu, mówili, że ziemia drżała, Indianina otaczało jakieś niezziemskie światło, na widok czynionych przezeń cudów człowieka zdejmowała groza. Jonah był niesamowity. Szedł od jednego dziecka do drugiego, pomagał każdemu po kolei, aż cała dziewiątka znowu była cała, jakby nic się nie stało, jakby nie było żadnego wypadku.

Rocky Jones, jeden z ratowników, od lat był nieuleczalnym alkoholikiem. Tamtego wieczoru, kiedy akcja się zakończyła, wrócił do domu, wyjął wszystkie butelki z barku i najspokojniej w świecie wylał całą wódkę do zlewu. Zrobił to bez drżenia, bez wpadania w panikę i potem już nie zajrzał ani razu do kieliszka. Nie czuł takiej potrzeby.

Dolly Woodliff, która właśnie się dowiedziała, że cierpi na raka piersi, stała tuż za Indianinem, kiedy uzdrawiał małego Travisa, syna szeryfa.

Wracała do domu zapłakana, pewna, że niedługo przyjdzie jej żegnać się ze światem. Wtedy zobaczyła wrak autobusu. Inaczej spojrzała na własne lęki, nabrała dystansu wobec osobistej tragedii. A kiedy zobaczyła cudowne uzdrowienia, zaszła w niej radykalna odmiana.

Jak reszta ludzi, którzy starali się pomóc, zrzuciła zakrwawione ubranie i próbowała zmyć z siebie koszmar popołudnia.

Weszła pod prysznic i dłoń automatycznie poszukała guzka na piersi. Ignorowała jego istnienie już od pół roku, mówiąc sobie, że to nic takiego. Ale doktor Bigelow tego właśnie dnia postawił bezlitosną diagnozę: rak.

Guzka nie było.

Był jeszcze rano, na pewno, przerażający, łatwo wyczuwalny.

Wieczorem zniknął jakimś cudownym sposobem.

Następnego ranka wsiadła do samochodu i popędziła do doktora, żeby podzielić się z nim radosną wiadomością. Bigelow orzekł, że to niemożliwe, ale kiedy zaczęła nalegać ze łzami w oczach, zgodził się ją zbadać ponownie.

Wstrzymała oddech, patrzyła, jak w trakcie badania zmienia się twarz lekarza, jak powoli dociera do niego prawda. Miał wrażenie, że

zwariował, ale próbował za wszelką cenę zachować trzeźwy umysł. Wybaczyła mu nawet to, że oskarżył ją o urojenia zrodzone jakoby z przerażającej diagnozy.

Ona wiedziała swoje.

Zanim zaczął badanie, Bigelow też był pewien, że wie swoje.

Guz będzie, gdzie był, tak samo jak mała ranka po biopsji. Ku jego zaskoczeniu, nic nie znalazł. Piers była zdrowa. Żadnego guzka. Żadnych śladów biopsji. Kompletnie nic.

Szukał, szukał, niedowierzał. Uznał, że widać bada nie tę pierś, zaczął zatem sprawdzać drugą.

Obie były w idealnym stanie.

Wziął głęboki oddech, cofnął się o krok i spojrzał w twarz Dolly.

Nie powiedziała tego na głos, ale w jej oczach wyraźnie czytał: „A nie mówiłam?”

Dolly zeszła ze stołu do badania, ubrała się i wyszła bez słowa, zostawiając doktora samego, z zagadką do rozwikłania.

Ale w miasteczku już gruchnęła plotka, ludzie przekazywali sobie z ust do ust opowieści o uzdrowicielu cudotwórcy.

Każdy miał coś do dodania.

Każdy z wyjątkiem Jonaha, on jeden milczał, z nikim nie chciał rozmawiać.

Ostrzegł Lucię, żeby i ona nie rozmawiała z nikim z obcych, bo to może okazać się niebezpieczne. Codziennie, jak zwykle, odwoził ją rano do pracy i odbierał około trzeciej.

Ze względu na obecność mediów, Harold zdecydował się zamykać dopiero wieczorem i wydawać również kolacje. Luce bała się długich

godzin pracy, ale Harold ją uspokoił. Pomyślał o swojej małej Lucii i znalazł kelnerkę na popołudniową zmianę.

Miała na imię Doroty, ale używała zdrobnienia Dorrie. Luce poznała ją dwa dni wcześniej, kiedy kończyła pracę.

Harold, któremu informacji udzieliła sama Doroty, mówił, że jest daleką kuzynką Dovellów, dobrze znanych w okolicy, bo posiadali tu trochę ziemi. Przyjechała odwiedzić rodzinę i postanowiła zatrzymać się na jakiś czas w Little Top.

Była wysoka, chuda, miała ciemne, krótko obcięte włosy, małe oczka, cienkie wargi, w sumie reprezentowała raczej męski typ urody, zbyt męski jak na gust Harolda, ale uznał, że to nie ma znaczenia, byle dobrze pracowała.

Weszła na zaplecze, kiedy Luce miała już wychodzić.

- Cześć, ty jesteś na pewno Luce - powiedziała i wyciągnęła rękę. - Jestem Dorrie i będę pracować na drugiej zmianie. - Tu uśmiechnęła się, szczerząc nieprawdopodobnie białe zęby.

Musiała najwidoczniej paść ofiarą nadgorliwego stomatologa, któremu nie udało się wybielanie. Luce dyskretnie odwróciła wzrok.

- Tak, jestem Luce. Miło mi cię poznać. - Założyła kurtkę, przerzuciła pasek torebki przez ramię. - Udanego popołudnia - rzuciła jeszcze, pomachała Haroldowi i wyszła z restauracji.

Dorrie odprowadziła Luce smętnym wzrokiem. Sama nie była zgrabna, brakowało jej kobiecych krągłości, którymi mogła się poszczycić Latynoska. Westchnęła z rezygnacją, obciągnęła T-shirt z długimi rękawami i założyła fartuszek. Zerknęła jeszcze w lustro wiszące nad umywalką, wyszczerzyła bielusieńkie zęby, co poprawiło jej trochę

humor, otarła kąciki ust i przeszła do sali, pewna, że nie ma nic miłszego niż olśniewająco biały uśmiech.

Już pierwszego dnia pokazała, ile jest warta. Harold był z niej zadowolony. Potrafiła wziąć cztery talerze naraz, żadnego z nich po drodze nie gubiąc, i miała doskonałą pamięć. Wiedziała, co kto zamówił i nie myliła się w rachunkach.

Dorrie była naprawdę dobra, a Luce cieszyła się, że nie musi mieć wyrzutów sumienia wobec Harolda.

Jonah był milczący, zajęty własnymi myślami, kiedy kilka dni później odwoził ją do pracy, ale nie przejęła się specjalnie. Wiedziała, że nie ma to z nią nic wspólnego. Słyszała, jak jęczał przez sen, mówił coś. Musiały go męczyć koszmary z przeszłości. Nie mogła mu pomóc, ale mogła ofiarować swoją bezwarunkową miłość, miłość, która o nic nie pyta i niczego się nie domaga.

Kiedy całowali się na pożegnanie, przytuliła go mocno, mocniej niż zwykle.

Ranek zaczął się pracowicie, ale to, co działo się później, było absolutnym szaleństwem. Ekipa telewizyjna zagnieździła się u Harolda. Filmowali bez chwili przerwy, przekonani, że kręcą dokument o Marku Williamie Ahernie. Przeprowadzali wywiady z każdym, kto wpadał na śniadanie i miał ochotę mówić. Nie wystarczał im Ahern, wypytywali też o tajemniczego Indianina, który czynił cuda.

Luce zauważyła, że po aresztowaniu listonosza i postawieniu mu zarzutów o liczne morderstwa, media zaczęły używać jego obu imion, tak jak zwykło się mówić o najgorszych kryminalistach.

Dziennikarze namawiali ją na wywiad, chcieli, by opowiedziała o Ahernie, ale ona za każdym razem odmawiała. Odczepili się w końcu od Aherna, za to zaczęli interesować się Jonahem, ale o nim też nie chciała nic powiedzieć. Harold w końcu zagroził natrętom, że przegoni ich z restauracji, jeśli nadal będą niepokoiли jego małą Luce. Z pozoru dali jej spokój, ale mieli dobre kilkaset minut nagrań z „Harold's Eats”, a na większości ujęć Luce pojawiała się w kadrze.

W porze lunchu była wykończona, fizycznie i psychicznie. Im bliżej końca pracy, tym bardziej była spięta, niespokojna.

Przez ostatnie dwa dni ludzie napływali do knajpy Harolda właśnie około trzeciej. Każdy miał nadzieję zobaczyć na własne oczy uzdrowiciela.

Tego dnia do restauracji weszła jakaś obca kobieta z dzieckiem na ręku. Usiadła twarzą do drzwi i co chwilę spoglądała na zegar. Najwyraźniej czekała, kiedy pojawi się Jonah.

O trzeciej przed restauracją zatrzymał się czarny pikap. Luce ruszyła do drzwi, ale kobieta z dzieckiem była szybsza o całe trzydzieści sekund. Kiedy Luce wyszła na ulicę, tamta już błagała Jonaha:

- Proszę... moja córeczka jest chora. Urodziła się z mukowiscydozą, lekarze nie dają jej wielkich szans. - Głos się jej załamał, zdołała jeszcze dodać: - Mówią, że nie dożyje Bożego Narodzenia.

W Jonahu obudził się instynkt. Do świąt pozostały niecałe dwa miesiące. To dziecko niczym się nie różniło od tych z autobusu. Też potrzebowało pomocy, było tylko znacznie młodsze. Kiedy matka podała mu małą, poczuł, że w wąłym ciałku ledwie tli się życie i już wiedział, że nie zdoła odmówić.

Wokół zdążyli zebrać się gapie.

Zawahał się, podniósł głowę. Nie będzie robił cyrku z takiej poważnej sprawy. Nie tak to przecież miało wyglądać. Nie zamierzał dawać tandetnych popisów.

Zanim się zastanowił, co robić, pojawiła się Luce, odebrała od niego dziecko i szepnęła do kobiety:

- Jak masz na imię?

- Eleonor - odparła tamta. - A mała ma na imię Brenda.

Luce spojrzała na Jonaha.

- Potrzebujesz jakiegoś spokojnego miejsca, prawda?

- Proszę...

Luce uśmiechnęła się do młodej matki.

- Może wejdziemy do środka, Eleonor? Tam jest znacznie cieplej, wygodniej. Mała nie powinna zostawać na mrozie.

Wrócili do restauracji, Luce szepnęła kilka słów Haroldowi i poszli do jego mieszkania na piętrze.

Kiedy już znaleźli się w przytulnym mieszkaniu Harolda, matka przestała panować nad sobą. Słaby, świszczący oddech córeczki sprawił, że rozplakała się, do reszty straciła panowanie nad sobą.

Jonah doskonale wiedział, co czuje ta kobieta, widział, jak walczy o życie swojego dziecka, jak traci nadzieję, jak lęka się o córeczkę. Myśli o tym, że mała nie dożyje dnia, kiedy jej rówieśnice będą szły po raz pierwszy do szkoły. Że ona nigdy nie będzie na ślubie córki. I nigdy nie zazna radości bycia babcią.

Chyba że Indianin uzdrowi w cudowny sposób jej dziecko.

- Lucio... Podniosła głowę.

- Daj mi małą - poprosił. Luce oddała mu dziewczynkę.

Jonah z dzieckiem w ramionach usiadł na kanapie. Rozwinął kocyk, w który była opatulona, i położył ją sobie na kolanach.

Pozbawiona swojego kocyka, mała zaczęła wymachiwać rączkami, wyraźnie niezadowolona.

- Cicho, cicho - przemówił Jonah i położył dłoń na jej główce.

Mała uspokoiła się natychmiast.

Luce słyszała, jak matka chwyta gwałtownie powietrze i zamiera, przejęta i oszołomiona. Kierowana odruchem zamknęła jej dłonie w swoich, jakby chciała powiedzieć Eleonor, że nie jest sama.

Mała miała zaatakowane płuca, co prawda małe serduszko pracowało dzielnie, Jonah wiedział jednak, że doktor się nie pomylił. Dziecko nie dożyje Bożego Narodzenia, jeśli mu nie pomoże.

Zamknął główkę małej w swoich dłoniach. Dziewczynka spojrzała na niego nad wiek poważnym wzrokiem.

- Oddychaj, maleńka, powoli, powoli. Jeden oddech, drugi...

Przekonasz się, że to łatwe. Wszystko będzie dobrze.

Przesunął palcem po jej policzku, odczekał, aż zamknie oczy, a potem przytulił ją do piersi.

Poruszała różowymi usteczkami, jakby ssąca, a kiedy Jonah położył dłoń na jej plecach, zacisnęła kurczowo maleńkie palce na jego swetrze, jakby wiedziała, co się zaraz stanie i gotowała do walki o życie.

Jonah wciągnął powoli powietrze, zamknął oczy i pozwolił, by jego moc przepłynęła do drobnego ciała dziewczynki.

Luce przestała oddychać. Jak zawsze w takich razach powietrze stanęło, zrobiło się ciężkie, gęste. Wiedziała, czego się spodziewać, a jednak drgnęła, kiedy naczynia w szarkach zaczęły pobrzękiwać.

Matka wpadła w swoisty trans. Kołysała się miarowo i modliła, nie mogąc oderwać wzroku od tajemniczego uzdrowiciela.

Luce wiedziała, że Eleonor jest przerażona, ale chwilowo nie mogła wytłumaczyć jej, że wynik zabiegów Jonaha będzie wart każdego przerażenia.

Światłość otoczyła Jonaha i dziecko, porażająca, pulsująca, z każdą sekundą coraz bardziej oślepiająca. W końcu obie kobiety musiały odwrócić wzrok.

Eleonor osunęła się na poduszki kanapy, ale Luce trzymała się mężnie.

Nie wiedziała, ile czasu minęło. Kiedy wyszła z dziwnego transu, Jonah stał przy oknie, z dzieckiem w ramionach. Mała zanosila się śmiechem i małymi łapkami klepała Jonaha po policzkach. Luce dotknęła ramienia matki.

- Eleonor... Obudź się. Eleonor...

Eleonor otworzyła oczy i najpierw spojrzała na fotel, w którym przed chwilą siedział Jonah. Fotel był pusty.

Usłyszała śmiech córeczki i odwróciła głowę ku oknu.

- Dobry Boże - szepnęła. - Dobry Boże - powtórzyła, wpatrując się w Jonaha i dziecko.

Jonah oddał jej córeczkę, a ona położyła natychmiast dłoń na piersi małej Brendy. Serce biło równo, miarowo, wyraźnie wyczuwalnym rytmem, skóra nabrała zdrowego, różowego koloru. Mała nie wykrzywiła

już usteczek, nie walczyła o każdy oddech. Z oczu zniknął ten straszny wyraz zapowiadający śmierć, pojawiła się iskra życia, iskra nadziei, prawdziwy blask.

Po policzkach Eleonor płynęły łzy. Dwa razy próbowała coś powiedzieć i dwa razy głos ją zawodził, nie mogła dobyć jednego słowa z gardła.

Była taka szczęśliwa. Dla Jonaha było to najwspanialsze podziękowanie. Położył dłoń na jej ramieniu.

- Cieszę się, że cię poznałem, Eleonor. Zabierz teraz małą do domu.

Eleonor pokiwała energicznie głową. Coś mówiła do siebie, do córeczki, zbierając ich rzeczy. Kiedy ruszyła ku schodom, Luce jeszcze ją zatrzymała.

- Wyjdź zewnętrznymi schodami, nie spotkasz ludzi z telewizji i gapiów.

- Tak, tak. Dobrze. - Eleonor poprawiła małą w ramionach. Zatrzymała się jeszcze przy wyjściu, odwróciła.

Jonah stał przy oknie, plecami do światła, w słońcu, przez łzy, widziała tylko jego sylwetkę. Ciemny anioł opromieniony blaskiem. Sprawił cud, o który się tak długo i żarliwie modliła, dniem i nocą.

- Niech cię Bóg błogosławi - powiedziała cicho i wyszła.

Luce spojrzała na niego.

- Idziesz?

- Idź, ja zaraz przyjdę. Luce skinęła głową.

Obie kobiety zeszły na ulicę, do samochodu Eleonor zaparkowanego w pobliżu restauracji. Luce przyglądała się, jak Eleonor sadowi małą w foteliku. Stała jeszcze chwilę i patrzyła za odjeżdżającą. Odwróciła się,

szukając wzrokiem Jonaha i wtedy zauważyła, że ktoś obserwował ich wyjście z mieszkania Harolda. Jonah stał u szczytu schodów. Przeraziła się, że zaraz otoczą go ludzie, że będą domagać się kolejnych uzdrowień, będą błagać o pomoc. Dał jej znak, żeby nie czekała na niego, więc Luce ruszyła pieszo w stronę domu. On wahał się przez chwilę, zastanawiał nad kolejnym ruchem, i wtedy zrozumiał w jednym przeblysku.

Spojrzał w niebo, zamknął oczy, a potem cofnął się do mieszkania i zszedł wewnętrznymi schodami do restauracji.

Tak jak przypuszczał, sala była wypełniona do ostatniego miejsca. Musiała rozejść się pogłoska, że oto dokonał kolejnego uzdrowienia. Ludzie stawali się coraz bardziej natrętni, żądni sensacji, ale nic na to nie mógł poradzić, musiał to jakoś znieść.

Z kuchni dochodziły zapachy jedzenia przyrządzanego przez Harolda, a Dorrie, nowa kelnerka, uwijała się sprawnie między stolikami, nalewała gościom kawę i przyjmowała zamówienia.

Jonah zatrzymał się w drzwiach. Widział przez okno restauracji Lucię kierującą się w stronę domu. Operator jednej z ekip telewizyjnych wybiegł na ulicę, wskoczył do vana i kazał kierowcy jechać za Luce.

Jonah stał bez ruchu, czekał. Ktoś krzyknął:

- Na Boga... Popatrzcie tylko!

Ludzie na ten okrzyk rzucili się do okien. Nad Main Street, nisko, zaledwie kilka metrów nad ziemią, szybował potężny, majestatyczny orzeł. Krążył nad ulicą, to wznosił się, to znowu zniżał lot. Niósł go prąd powietrza, dzięki któremu przemieszczał się od jednego końca ulicy do drugiego.

Reporterzy oszaleli, każdy chciał mieć nagranie tego wspaniałego ptaka. Goście Harolda wylegli na ulicę, żeby podziwiać orlą akrobację. Jonah też wyszedł. Nikt na niego nie zwracał uwagi, wszyscy byli pochłonięci niezwykłym zjawiskiem. Kiedy szedł do drzwi, wyczuł obecność najemnika Bourdaina. Kolejny myśliwy, pomyślał. Znał to uczucie zbyt dobrze, żeby mógł je pomylić z jakimkolwiek innym.

Rozejrzał się, przyglądał ludziom tłoczącym w drzwiach, ale nie potrafił zidentyfikować tego człowieka. Należało się spodziewać, że łowca pojawi się w Little Top. Kimkolwiek był, wkrótce staną naprzeciwko siebie twarzą w twarz.

Zatrzymał się na chodniku i spojrzął w niebo, jak pozostali gapie. Orzeł przeleciał nad głową Jonaha, krzyknął...

Jonah wszedł do samochodu, dogonił Luce na najbliższym skrzyżowaniu i wtedy orzeł odleciał.

Zniknął na dobre. Ludzie zaczęli wracać do restauracji. Dopiero teraz ktoś zauważył, że Jonah odjechał. Nikt nie widział, jak jego samochód rusza, nikt nie widział, czy Lucy odjechała razem z nim. Nikt nie wiedział, kim była kobieta z dzieckiem, skąd pochodziła i gdzie mieszkała. W każdym razie na pewno nie w Little Top, była obca.

Harold poszedł na górę, ale zastał mieszkanie puste.

Ludzie oczywiście wiedzieli, dokąd pojechali Luce i Jonah, ale nikt nie zamierzał jechać za nimi. Po tym jak Jonah uratował synka szeryfa, Mize odnosił się do niego z nabożną czcią. Zagroził, że aresztuje każdego, obojętnie czy z mediów, czy kogoś z mieszkańców miasteczka, kto odważy się narzucać Jonahowi i będzie burzył jego spokój.

Czas i szeryf, przynajmniej w danym momencie, byli po stronie Jonaha.

RS

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Droga do domku na górze przebiegła spokojnie. Jonah był szczęśliwy, że uzdrowił małą Brendę, Luce zdjęła coś w rodzaju bojaźni bożej. Jak zawsze, kiedy była świadkiem cudów czynionych przez Jonaha.

Gdzieś w głębi duszy kryło się przekonanie, że nie jest warta tego człowieka, ale kochała go mimo wszystko. Byli w połowie drogi, gdy zdecydowała się odezwać.

- Jonah...

- Tak?

- Co stanie się z tobą, gdy zwiążesz się ze zwykłą śmiertelniczką, taką jak ja?

Jonah zaśmiał się.

- Cóż, jestem dobry w łóżku, ale widać nie dość dobry.

Luce odpowiedziała śmiechem i pacnęła go w udo.

- Wiesz, że nie o tym mówię. Mam na myśli... no wiesz... te wszystkie cuda.

- Tylko Bóg potrafi czynić cuda, kochanie. Luce spoważniała i pokręciła głową.

- Nie. To, co robisz, to są cuda. Jonah westchnął.

- Nie, jednak nie. Nie w takim sensie, w jakim używasz tego określenia. Nikt tego nie rozumie. W tym, co robię, nie ma nic cudownego, w każdym razie dla mnie. Urodziłem się z darem. Mam go od zawsze, od kiedy tylko sięgam pamięcią. Mój ojciec był lekarzem, on też

uzdrowiał ludzi. Moje możliwości są z jakichś powodów odrobinę większe niż te, którymi dysponują lekarze. To wszystko.

Luce przewróciła oczami.

- Odrobinę? Przestań mnie rozśmieszać. Czasami myślę, że nie jesteś z tego świata. Nikt nie jest w stanie dokonywać rzeczy, które tobie przychodzą bez większego trudu.

Jonaha przeszedł dreszcz. Nie z tego świata? Nigdy w życiu.

- Myśl tak dalej i niech każde zostanie przy swoim.

Luce zaśmiała się i atmosfera natychmiast nieco się rozluźniła.

- Jesteśmy prawie w domu - powiedziała, kiedy skręcili w boczną drogę prowadzącą do chaty.

- Dom. Lubię brzmienie tego słowa.

Przy ostrym skęćie spod opon posypały się suche liście i żwir.

- Czemu tak się spieszysz? - Luce chwyciła się deski rozdzielczej dla zachowania równowagi.

- Jestem głodny - oznajmił Jonah i zahamował gwałtownie na podjeździe. - Mam ochotę cię zjeść - dodał niczym prawdziwy wilk, warknął groźnie i udał, że zaczyna od ucha.

Luce zaśmiewała się z pajacowania Jonaha, a Ho-bo szczekał jak szalony, nie bardzo rozumiejąc, co właściwie dzieje się w pikapie.

- Zobacz, do jakiego stanu doprowadziłeś biednego psa - powiedziała Luce, kiedy Jonah wziął ją, osłabioną śmiechem, na ręce.

- Jest po prostu zazdrosny - stwierdził Jonah.

- Zanim się pojawiłem, był jedynym facetem w twoim życiu. - Tu zwrócił się do Hobo. - Musisz się z tym pogodzić, stary. Będzie cię dalej karmiła i tak samo kochała jak dawniej, ale to ja śpię w jej łóżku.

Hobo zaszczekał jeszcze raz, a potem zaczął biegać w kółko, jakby śmiał się razem z państwem, o ile Hobo uznawał w ogóle takie pojęcie jak „moi państwo”.

Minął Halloween, powoli zbliżało się Święto Dziękczynienia. Jonah wierzył, że kiedy ten dzień nadejdzie, będą mieli za co dziękować. Leżeli już w łóżku, gdy Luce zadała jeszcze jedno, ostatnie pytanie:

- Jonah...

Zasypiał już, ale na dźwięk głosu Luce otworzył oczy.

- Co?

- Boisz się?

Pytanie zabrzmiało tak poważnie, że rozbudzony z pierwszego snu obrócił się, wziął Luce w ramiona i przytulił jej głowę do piersi.

- Czego mam się bać, kochanie?

- Ludzi, którzy na ciebie polują... Tego człowieka, który ich posyła, Bourdaina. Teraz wie już, gdzie cię szukać.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Luce była zaszokowana jego szybką odpowiedzią.

- Myślisz o tym, prawda?

- Żyję z tym od dziesięciu lat. Moja egzystencja była ciągłą ucieczką.

- Rozmawialiśmy któregoś dnia, że wyjadę z tobą, pamiętasz?

Jonah przytulił ją mocniej.

- Nie chcę już uciekać.

- Co zrobisz, jeśli pojawi się ktoś nasłany przez Bourdaina?

- Ten ktoś już tu jest. - Przypomniał sobie, co poczuł, kiedy z innymi gośćmi Harolda wyszedł na ulicę. Łowca głów był w tej ciżbie,

obserwował go. I zastanawiał się, jak wykorzystać Luce, by dopaść Jonaha.

Luce zasepiła się, chciała uwolnić się z objęć Jonaha, ale on tulił ją mocno.

- Jak to? Kto to jest? Skąd wiesz? Dlaczego nic wcześniej nie powiedziałaś? I dlaczego ten człowiek czeka? Dlaczego dotąd cię nie zaatakował? Wytłumacz mi.

Jonah nie chciał wdawać się w szczegóły. Zbyt trudno było tłumaczyć, co wie i w jaki sposób ta wiedza się pojawia. Ludzie tego nie rozumieli.

- Musi tu być, to logiczne, przy całym hałasie w mediach... Ale dopóki nie zrobi jakiegoś ruchu, nic więcej nie potrafię powiedzieć.

- Nie możesz go... wywęszyć?

Jonah wyszczerzył zęby. Lucia najwyraźniej wyrobiła w sobie niezachwianą wiarę w jego zdolności tropiciela.

- Nie mogę, dopóki nie wiem, jaki ma zapach.

- Prawda. Niech to diabli.

- Nie przejmuj się - uspokoił ją. - Kimkolwiek jest ten człowiek, nie może zrobić mi nic złego. On będzie próbował dotrzeć do ciebie. Jestem tego pewien. I tego właśnie się obawiam.

Luce poczuła ciarki na skórze, zamknęła oczy i przywarła całym ciałem do Jonaha.

- Nie dopuszczę do tego. Będę się pilnowała. Postaram się ani przez chwilę nie być z nikim sama, nawet jeśli to ktoś znajomy.

- Bardzo dobrze. - Jonah nie zamierzał wyjaśniać Lucii, że przezorność niewiele pomoże, jeśli najemnik Bourdaina zdecyduje się zaatakować. - Śpij już, kochanie.

- Tak.

- Kocham cię, Lucio. Będę się tobą opiekował, możesz być tego pewna.

Luce westchnęła i wtuliła twarz w jego pierś.

- Ja też cię kocham - szepnęła. -I wcale się nie boję.

Caufield pada na łóżko. Czuje potworne znużenie, jak chyba jeszcze nigdy w życiu, w trakcie żadnego polowania. Pieprzyć zasadzki. Zegar na ścianie naprzeciwko łóżka pokazuje północ, co oznacza, że w Los Angeles jest w tej chwili dziewiąta. Czas zdać relację szefowi. Powiedzieć mu, co się dzieje.

Bourdain wychodzi właśnie z restauracji, kiedy odzywa się jego telefon komórkowy. Widzi na wyświetlaczu, kto dzwoni, przeprosza towarzystwo, z którym jadł kolację. Podaje numer z parkingu chłopakowi przyprowadzającemu samochody, odchodzi na bok i odbiera połączenie.

- Powiedz mi, że masz dobre wiadomości.

Caufield prycha.

- Ma się rozumieć, że dobre, dlatego mnie przecież wynająłeś.

Bourdainowi mocniej bije serce.

- Masz go! Powiedz, że go masz!

- Do cholery, nie. Nie mam go. Nikt nie jest w stanie schwytać tego faceta. Jeszcze tego nie pojąłeś po tylu latach? On jest nie do wyjęcia.

Bourdain klnie i odchodzi jeszcze kilka kroków dalej od znajomych.

- Co właściwie próbujesz mi powiedzieć?

- On ma kobietę.

Bourdain uśmiecha się, zaczyna rozumieć taktykę D.J.

- Jest już twoja?

- Jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu. Bourdain pomalu zaczyna wierzyć, że akcja w końcu się uda i dopadnie uzdrowiciela, będzie miał go na własność.

- Kiedy? Powiedz... nie. Poczekaj. Chcę być przy tym. Tak, tak. Muszę tam być. Kiedy dojdzie do konfrontacji, chcę mu wyjaśnić parę rzeczy. Powiem mu, w jakim będzie żył luksusie, jak wielką władzą go obdarzę. Byle tylko się zgodził.

Caufield wbija wzrok w niebo i przebiega myślami wydarzenia ostatnich kilku dni.

- Szary Wilk jest tak potężny, że nic nie jesteś w stanie mu ofiarować. Nie znam człowieka, który dysponowałby podobną mocą.

- Ja mówię o pieniądzach, o sławie. Może mieć świat u swoich stóp.

- Gdyby tego chciał, sam by to wszystko zdobył, bez twojej łaskawej pomocy - sarka Caufield. - Ale skoro koniecznie chcesz tu przyjechać, bierz dupę w troki. Dzisiaj jest czwartek. Tę kobietę najłatwiej zwinąć z pracy, wtedy Szary Wilk jej nie pilnuje. Tak zrobię, i niech nas potem odszuka.

- Nie zostawiaj zbyt wielu śladów, nie ułatwaj mu zadania. Niech się trochę pomartwi o swoją damę, niech skruszeje. Chcę, żeby był pokorny, kiedy dojdzie do spotkania.

D.J. przypomina sobie opowieści o tym, jak Indianin wytropił zboczeńca, który prześladował jego kobietę. Zostawi mu ślady czy nie

zostawi, to zupełnie bez znaczenia. Facet ma niesamowity węch, jak pies tropiący.

Bourdain coś tam jeszcze mówi, ale Caufield już nie słucha, chce skończyć rozmowę.

- Bądź tu jutro koło południa, inaczej ominie cię cała zabawa.

- Nie! Zaczekaj. Dlaczego tak szybko?

- Bo pogodynka zapowiedziała kolejne opady śniegu, a ja nie mam sanek.

- Nie sil się na sarkazm - mruknął Bourdain pod nosem. - Nie do twarzy ci z nim.

Bourdain wyłącza się.

Chowa telefon do kieszeni, daje chłopcu dwadzieścia dolarów za przyprowadzenie samochodu i rusza jak wariat, pędząc przez Los Angeles. Nie ma czasu do stracenia.

W domu rozkłada mapę. Lot do Little Top wydaje się dość skomplikowanym zadaniem. Jedyne lotnisko znajduje się w Charlestonie, dalej, między stolicą stanu i miasteczkiem, nie ma już żadnego, tylko góry. Jeśli zdecyduje się przebyć ostatni odcinek drogi samochodem, nie zdąży na czas. Pozostawało jedyne wyjście. Doleci swoim odrzutowcem do Charlestonu i tam wynajmie helikopter. Podróż zapowiadała się koszmarne, ale przynajmniej uda mu się dotrzeć do Little Top w południe. Potem, o ile wszystko przebiegnie zgodnie z planem, za dwa, trzy dni powinni wracać do Los Angeles. Jeśli uda mu się przekonać Szarego Wilka.

Nie, dość tych wątpliwości. Musi go przekonać. To tylko kwestia czasu.

Podnosi słuchawkę. Jest późno, rozmowy o tej porze sporo kosztują, ale dla tak ważnej sprawy warto poświęcić trochę pieniędzy.

Następnego dnia rano wstał szary, ponury.

W powietrzu czuło się zapowiedź śniegu. Jonah miał zawieźć, jak co dzień, Luce do pracy, a potem jechać do sklepu po nowy zapas karmy i paszy. Hobo biegał wokół z nosem przy ziemi. Sprawdzał, jacy leśni goście kręcili się koło domku, podczas gdy on smacznie spał przy kominku.

Jonah sięgnął po kurtkę, ale rozmyślił się i wyszedł na ganek w samej koszuli. Czasami lubił poczuć chłód i wilgoć. Żył w zgodzie z naturą, akceptował wszystkie jej przejawy. To też określało, kim był.

Hobo szczechnął na powitanie i wrócił do przeprowadzania porannej kontroli.

Na gałęzi wysokiej sosny przysiadła wiewiórka i Hobo pognał w jej stronę z niegasnącą nadzieją w sercu. Postanowił dorwać wreszcie tego szkraba, który najwyraźniej kpił sobie z jego wysiłków.

Jonah zszedł z ganku na podjazd. Podniósł głowę i wciągnął głęboko mroźne górskie powietrze. Czuł zapach dymu z ich komina i mnóstwo innych zapachów idących z lasu. Koło chaty nikt się nie kręcił w nocy, poza zwierzętami. Wysoko nad jego głową krążył orzeł, wypatrując czegoś do upolowania na śniadanie. Żaden królik, lis, nawet maleńka myszka, która potrafi schować się w każdej, najmniejszej dziurze, nikt nie był bezpieczny, gdy potężny drapieżca o doskonałym wzroku zaczynał łowy.

Uderzenie zimnego wiatru zawiało mu dymem w oczy. Odwrócił głowę, otarł załzawione oczy. I wtedy poczuł, że ktoś go obserwuje.

Uśmiechnął się do siebie. Znał dobrze ten zapach.

- Dzień dobry - powiedział cicho.

Z lasu wyszedł złoty kuguar, głowę uniósł wysoko, ogon opuścił, co oznaczało, że jest spokojny, przyjaźnie nastawiony.

Hobo poczuł wielkiego kota, zaskomlał spanikowany i uciekł czym prędzej na ganek.

- Nie denerwuj się - uspokoił go Jonah. - Nie zrobi ci nic złego.

Kuguar podszedł prosto do Jonaha i trącił go łbem w rękę, domagając się drapania.

- Znowu się spotykamy, braciszku - powiedział Jonah, zanurzył palce w gęstym futrze i podrapał kocisko za uchem. - Co ci tam przeszkadza? Kleszcz. Nawet w zimie spadają z drzew, niedobrze.

Z kociego gardła dobyło się coś pomiędzy prychnięciem i gulgotem. Jonah wyciągnął kleszcza.

- Mam go. - Podsunął kuguarowi pod nos paskudnego pasożyta. Kuguar powąchał go i zadowolony przewrócił się na grzbiet, odsłaniając brzuch.

Jonah przykucnął przy nim, drapał go po brzuchu i konwersował jak ze znajomym spotkanym na ulicy. O pogodzie, o tym, co w domu i o ostatnim, bardzo udanym polowaniu brata kuguara.

Jonahowi nie wydawało się ani trochę dziwne, że rozumie odpowiedzi kuguara. Chociaż ten nie mówił, Jonah doskonale słyszał, co wielki kot chce mu przekazać.

Kuguar poderwał się raptownie, zaczął węszyć, unosząc głowę. Jonah cofnął się.

- Miło było cię widzieć, przyjacielu. Udanych łowów. Zostaw tylko to wielkie psisko w spokoju.

Kuguar parsknął cicho i zniknął. Jonah odwrócił się ku domowi. Luce stała na ganku, wyraźnie oniemiała.

- Widziałam wszystko, ale jeszcze nie mogę uwierzyć - mruknęła.

Jonah uśmiechnął się szeroko.

- Miał kleszcza za uchem, sam nie mógł go dosięgnąć. Przyszedł po pomoc.

Luce pokręciła głową.

Kiedy wszedł na ganek, dodała:

- Hobo wrócił do domu ciężko obrażony, chyba nigdy już się do ciebie nie odezwie.

Jonah zaśmiał się.

- Przejdzie mu. Wie, że mam wielkie serce. Po prostu nie akceptuje niektórych moich przyjaciół.

- Eufemizm dnia - mruknęła Luce. - Zjesz śniadanie?

- Dziękuję. Zjem później. Powinniśmy już jechać, jeśli nie chcesz spóźnić się do pracy.

- Jestem gotowa, możemy ruszać.

- Umyję tylko ręce i idę po samochód.

Luce patrzyła, jak zatrzymuje się na chwilę koło kominka i tłumaczy Hobo, że nie ma się o co obrażać, a potem przed oczami pojawił się jej groźny kuguar, który niczym domowy kotek lizał palce Jonaha i wystawiał brzuch do pieszczot.

W takich momentach zastanawiała się, kim właściwie jest człowiek, któremu oddała serce.

Nie był z pewnością zwykłym śmiertelnikiem. Był kimś więcej niż człowiekiem, a jednak dzielił z innymi te same nadzieje i marzenia, pragnął kochać i być kochanym, mieć swoje miejsce na ziemi, które mógłby nazywać domem.

Miał jej miłość. A gdzie założą dom? O tym przesądzi los, ale wiedziała jedno - pójdzie za nim wszędzie.

Jonah podjechał pod restaurację, ale zamiast odjechać natychmiast po wysadzeniu Luce, zaparkował, zgasił silnik i wysiadł.

- Chcesz wejść? - zapytała zdziwiona jego zachowaniem.

- Muszę zamienić kilka słów z Haroldem. Luce westchnęła.

- Nie musisz.

- Muszę - powtórzył, biorąc Luce za rękę. - Chodź. To potrwa tylko chwilę, obiecuję, że nie narobię ci wstydu.

Luce przewróciła oczami, wysiadła i ruszyła w stronę restauracji.

Jonah szedł z tyłu i uśmiechał się szeroko. Przypominała mu jedną z niosek Bridie, która stroszyła rude piórka, kiedy wybierał jej jajka. W tej chwili Lucia bez wątplenia była nastroszona. Nie zdawała sobie sprawy, do czego jest zdolny Bourdain, jaki potrafi być bezwzględny. To przez niego zginął Adam. Przez lata nasyłał na Jonaha niezliczonych najemników, którzy gotowi byli na wszystko, byle tylko zdobyć nagrodę.

Kiedy Jonah wszedł do sali, Luce zdążyła już zniknąć na zapleczu.

- Jak się masz - przywitał go Harold. - Siadaj. Zjesz dla odmiany coś naprawdę dobrego.

- Słyszałam - zawołała Luce, wychodząc z zaplecza i chowając bloczek zamówień do kieszeni fartuszka.

Harold wyszczerzył zęby i puścił oko, na co Luce wykrzywiła się paskudnie, po czym zaczęła napełniać solniczki i pieprzniczki, dozowniki cukru, sprawdzała, czy na każdym stoliku są pojemniczki ze śmietanką do kawy.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - mruknął Jonah, podchodząc do Harolda.

Stary restaurator kiwnął głową.

- Dawaj, ale najpierw usiądź. - Nalał Jonahowi kawy i usiadł obok niego przy barze. - O co chodzi?

- Lucia jest ciągle w niebezpieczeństwie. Harold szarpnął się.

- Co takiego? Ahern uciekł z aresztu? Słyszałem, że przewieźli go gdzieś dzisiaj rano.

- Tak? Nic nie wiem - powiedział Jonah i dodał po chwili: - To dobrze. Reporterzy pojedą za nim, zostawią nas wreszcie w spokoju.

- Już zniknęli. Junie Sanders wynajmowała pokój dwóm takim. Rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem. Podobno zwinęli się zaraz po wieczornych wiadomościach. Nie czekali nawet do świtu.

- No cóż, tak to jest w mediach. Materiał nie będzie na nich czekał - mruknął Jonah.

Harold pokiwał głową.

- Racja. Ale powiedz, co to za historia z tym zagrożeniem?

- Tym razem chodzi o mnie - przyznał Jonah z zakłopotaniem.

Harold zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem.

Jonah upił niewielki łyk kawy i zaczął wyjaśniać:

- Jest pewien człowiek, który poluje na mnie od bardzo dawna.

Dziesięć lat temu zabił mojego ojca, żeby tylko dotrzeć do mnie.

- Rany boskie - szepnął Harold i dotknął delikatnie ramienia Jonaha.

- Bardzo mi przykro, że straciłeś ojca w taki straszny sposób, ale ciągle nie rozumiem, jaki to wszystko ma związek z Luce.

Jonah spojrział Haroldowi prosto w oczy.

- Słyszałeś na pewno o moich zdolnościach? Harold kiwnął głową.

- Słyszałem. Trudno to pojąć, ale znam dobrze ludzi, którzy na własne oczy widzieli, jak uzdrawiałeś te dzieciaki z autobusu. To normalni, zrównoważeni ludzie, nie mogli zmyślać, kłamać.

Teraz z kolei Jonah kiwnął głową.

- Skoro im wierzysz, łatwo będzie ci zrozumieć, że ktoś chce przejąć kontrolę nad moją mocą.

- Tak, teraz już kumam.

- Wiążąc się z Lucią, wystawiłem ją na niebezpieczeństwo.

- Chcesz mi powiedzieć, że wyjeżdżacie? Potrafię zrozumieć taką decyzję, ale nie jestem zachwycony. Przywiązałem się do małej Luce.

- Nie, nie chcę narażać Lucii na życie w drodze.

Zostawić też bym jej nie potrafił. Tak się sprawy mają. Być może nie osiadzimy tutaj na zawsze, ale nie mam zamiaru uciekać, jestem jednak pewien, że mnie znaleźli. Łowca jest już w Little Top, czeka tylko na odpowiedni moment, na sprzyjającą okazję.

- Musisz powiedzieć o tym szeryfowi. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale Tom jest teraz twoim najbardziej oddanym przyjacielem.

Jonah powściągnął uśmiech.

- Mogę złożyć doniesienie, ale co niby powiem? Nie wiem nawet, jak wygląda ten facet, który po mnie przyjechał. Nie wiem, kiedy uderzy, w jaki sposób rozegra swoją grę. Wiem jedno - będzie próbował dotrzeć do mnie przez Lucię i to ona padnie w pierwszym rzędzie jego ofiarą.

- Możesz na mnie liczyć. Tutaj, pod moim dachem będzie bezpieczna. To mogę ci zagwarantować.

- Nie możesz, nikt nie jest w stanie tego zagwarantować, niemniej jednak uważaj na nią, proszę cię.

- Obiecuję.

- Jadę do pracy. Pojawię się jak zwykle po południu.

Podniósł się i przy drzwiach jeszcze zatrzymał, odwrócił, spojrzął na Luce.

- Lucio...

Wyszła z kuchni z niewielką torbą papierową.

- Masz tutaj dwie parówki zapiekane w cieście, z galaretką z winogron. I kubek kawy na wynos - powiedziała, podając mu śniadanie.

Jonah uniósł brew.

- Moje ulubione. Dziękuję bardzo.

- Proszę bardzo. - Lucia cmoknęła go na pożegnanie.

- Nie jesteś już na mnie zła? - upewnił się na wszelki wypadek.

- Może...

Jonah uśmiechnął się szeroko.

- Do zobaczenia po południu.

- Do zobaczenia.

Luce stała przy oknie i patrzyła, jak Jonah wsiada do samochodu, wyjmując jedną parówkę, odgryza kawałek i rusza w drogę.

Harold obserwował ją niespokojnie.

Luce odwróciła się ku niemu, podparła pod boki.

- Wszystko w porządku - burknęła. - Idź do kuchni i rób swój popisowy sos.

Harold na wszelki wypadek ewakuował się do kuchni, a Lucia obróciła wywieszkę Zamknięte/Otwarte na drzwiach wejściowych.

I tak zaczął się kolejny dzień w „Harold's Eats”.

Jonah naprawiał ogrodzenie wokół kurnika. Robiło się coraz zimniej. Mały lisiek wybierał się na inspekcję, liczył widać na śniadanie. Zatrzymał się stropiony i przez chwilę przyglądał człowiekowi. Ruszał czarnym, lśniącym noskiem i wąsami, węszył...

- Nie ma kurczaków, bracie lisie. Myszy też nie upolujesz, niestety. Spróbuj szczęścia na innej farmie, jeśli łaska.

Lisek postać jeszcze chwilę, jakby rozważał słowa Jonaha, potem czmychnął z powrotem do lasu, tą samą drogą, którą przyszedł.

Jonah kiwnął głową zadowolony, że rudzielec okazał mu posłuch. Kury Bridie i mysz mieszkająca pod podłogą były bezpieczne, przynajmniej do następnego dnia.

Pierwszy płatek śniegu osiadł na nosie Jonaha, kiedy ten kończył naprawiać ogrodzenie. Nie chciał się zamartwiać, ale czuł, że człowiek Bourdaina skorzysta z pogarszającej się pogody i zdecyduje się uderzyć.

Wrzucił przecinak do drutu do skrzynki, zebrał resztę narzędzi. Wsiadł do pikapu i ruszył w stronę szopy, gdzie miał wyładować drut oraz narzędzia. Nagle zobaczył, że Bridie z krzykiem wybiegła z domu. W płonącej sukni.

Nie miał nawet czasu wpaść w popłoch.

Żałować biedaczki.

Musi ją ugasić, zanim jej serce przestanie bić. Skreślił błyskawicznie w kierunku domu i docisnął gaz. Kiedy podjechał, Bridie leżała na ziemi, tłukła powietrze pięściami, nogi drgały jej jak przy ataku padaczki.

Zrobiło mu się niedobrze na myśl, jakie straszliwe męki musi teraz przeżywać Bridie.

Doskoczył do niej i zaczął gasić płomienie dłońmi. Kiedy już mu się udało, nie poruszyła się, leżała dalej bez sił, jęcząc i błagając Boga o śmierć.

- Nie dzisiaj, kochanie - powiedział cicho i zacisnął dłonie, by uleczyć pęcherze, które zaczęły się już pojawiać. Chwilę później położył ręce na poparzoną ciele Bridie.

Oczy uciekły jej w głąb czaszki, w kącikach ust pojawiła się krwawa piana.

- Bridie! Bridie! Spójrz na mnie, skarbie! Natychmiast, proszę!

Bridie myślała, że oszaleje z bólu, ale głos Jonaha przywołał ją do zmysłów. Ich spojrzenia się spotkały, nieruchome, pełne napięcia, i ból zaczął ustępować.

Jonah ujął jej twarz w dłonie, chciał, żeby zapomniała o koszmarze. Kiedy trochę się uspokoiła, zaczął sprawdzać, jak poważne obrażenia odniosła.

Miała oparzenia trzeciego stopnia na lewej nodze, na lewym boku, aż po szyję.

Była w ciężkim szoku, Jonah nie miał sekundy do stracenia.

Położył dłonie na jej piersi.

Na farmie zapadła absolutna cisza, zwiastująca to, co miało się za chwilę zdarzyć. Zwierzęta jakby wiedziały, że ich panią spotkała straszliwa tragedia. Czekwały.

Jonah wciągnął głęboko powietrze, starał się nie myśleć o woni spalonego ciała. Zamknął oczy. Powietrze znieruchomiało, zgęstniało, naładowane energią podobną do tej, z której rodzą się wyładowania w czasie gwałtownej burzy.

Ziemia zadrżała.

Jedna z dyń ustawionych na ganku zakołysała się i stoczyła ze snopka siana na deski podłogi. Pękła, posypały się ziarenka.

Myszka zwinęła się w kłębek, schowała nos pod ogonem, reszta zwierząt w gospodarstwie Bridie wstrzymała oddech, tak mogło się w każdym razie wydawać.

Dokonało się uzdrowienie. Pulsująca w rytm serca, świetlista, potężna moc przepływała przez dłonie Jonaha i wnikała w ciało starszej pani.

Uszkodzone końcówki nerwów wracały do dawnego stanu, zaczynały normalnie pracować, poparzone, zniszczone naczynia krwionośne zamykały się, znowu płynęła przez nie krew. Zabliźniały się naruszone mięśnie, spalona skóra. I Bridie Tuesday przestała odczuwać ból, ciało wróciło do dawnego stanu, przypalone włosy znów były lśniące i gładkie. Odrośli rzęsy.

Bridie ciągle leżała na ziemi, kiedy zaczęły spadać kolejne płatki śniegu. Miała wrażenie, że pod dotknięciem cudownych dłoni Jonaha Szarego Wilka narodziła się na nowo.

Jonah wiedział, że jego dzieło się powiodło, czuł, jak Bridie nabiera powietrza do płuc, jak wracają jej siły. Otworzyła oczy, westchnęła głęboko i spojrzała w twarz swojego zbawcy. Gdzieś w gardle tkwił jeszcze krzyk, który zamarł, ale nie musiała już krzyczeć, była ocalona.

- Umarłam? - zainteresowała się. Jonah wziął ją na ręce.

- Nie, kochanie, ale musisz koniecznie się przebrać.

Dolna warga zaczęła jej drżeć, w oczach pojawiły się łzy.

- Rękaw mi się zajął od ognia.

- Wiem, skarbie. - Jonah wniósł Bridie do domu i skierował się do jej pokoju.

Staneła przed lustrem nad toaletką i spojrzała na spaloną w połowie suknię, potem na Jonaha.

- Paliłam się - powtórzyła i z niedowierzaniem oglądała gładką skórę.

Jonah stanął za nią, widziała teraz jego odbicie w lustrze. Miał popalone rękawy od koszuli, jeden mankiet był całkiem zwęglony, ale na rękach nie dojrzała ani śladu poparzeń.

- Co ty zrobiłeś? - zapytała.

- Ugasilem ogień.

Bridie ponownie spojrzała na swoje odbicie, potem po sobie, jakby nie dowierzała odbiciu w lustrze.

- Paliłam się, czułam swąd ciała, a nie mam nawet pęcherzy.

- Mówię ci, ugasilem ogień. Potrzebujesz pomocy czy sama sobie poradzisz?

Bridie usiadła na brzegu łóżka.

- Jestem zdecydowanie za stara, żeby stawać w płomieniach. Nie przypuszczałam, że przyjdzie mi dożyć czegoś podobnego - westchnęła. - Podaj mi, z łaski swojej tę granatową suknię, która wisi na drzwiach szafy. Potem wyjdź z pokoju.

- Tak jest, madame. - Jonah podał Bridie sukienkę z granatowego płótna. - Coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

- Nie.

Chciał już wyjść, wrócić do swoich zajęć, ale Bridie go zatrzymała.

- Tak?

- Niech cię Bóg błogosławi, synu.

- Tak jest, madame. Cieszę się, że mam jego błogosławieństwo.

- Jestem dumna, że cię znam. Jonah uśmiechnął się.

- Dziękuję za dobre słowo. Ja też jestem dumny, że znam ciebie, Bridie.

- Ziemia zadrzała... W całym swoim długim życiu nie zrobiłam nic, absolutnie nic, co chociaż trochę zbliżałoby się do tego, co ty potrafisz zrobić.

Jonah pokręcił głową.

- Nieprawda. Robisz najlepszą szarlotkę, jaką kiedykolwiek jadłem.

Bridie uśmiechnęła się.

- Sam widzisz.

- Przebierz się, a ja zrobię porządek w kuchni.

Bridie zadrzała wargą.

- Obawiam się, że z lunchu dzisiaj nici - powiedziała smętnie.

- Nieważne. Po tym, co się stało, powinnaś odpocząć. Może pojedziemy do Little Top i zjemy lunch u Harolda? Co ty na to?

Bridie zwiesiła ramiona.

- Nie wiem, czy dam radę.

- Na pewno dasz radę, ja ci to mówię. Bridie znowu westchnęła.

- Jedźmy w takim razie do Harolda, zjemy coś, a potem podrzucisz mnie do Idy Mae. Zaczekam u niej, aż Luce skończy pracę i potem wszyscy razem wrócimy do domu.

- Dobry pomysł.

Bridie spojrzała w okno i zmarszczyła czoło.

- Znowu pada śnieg.

- Ubierz się ciepło - poradził Jonah i zostawił Bridie samą, żeby się ogarnęła. Poszedł do kuchni, wyrzucił przypalone jedzenie i wytarł zalaną wodą podłogę. Bridie najwidoczniej sama próbowała się ugasić, zanim wybiegła z domu.

Kiedy się przebrała, zapakował ją do samochodu i pojechali do Little Top. Bridie milczała, coś musiało zaprzętać jej myśli, on też miał swoje sprawy do przemyślenia.

- Bridie...

- Tak?

- Nie myślałaś o tym, żeby przeprowadzić się na dół, do miasteczka?

Bridie jakby się nastroszyła, zacisnęła dłonie i oparła je na udach.

- Na Boga, nigdy. Franklin zbudował dla nas dom na górze. Zostanę tu do końca moich dni. To moje miejsce na ziemi, stamtąd pójdę na spotkanie z moim Franklinem.

- Mało brakowało, a spotkalibyście się już dzisiaj.

Rzuciła Jonahowi krzywe spojrzenie.

- A co do tego ma przeprowadzka?

- Gdyby nie było mnie w domu, jak myślisz, kiedy znaleźliby twoje ciało?

Bridie wstrzymała oddech. Twarz, czerwona ze złości, teraz zrobiła się biała jak kreda. Jonah pokręcił głową.

- Nie chcę cię straszyć, ale...

- Owszem, straszysz. Zaczynam się martwić. Chciałabym być pochowana w jako tako przyzwoitym stanie.

- Gdybyś mieszkała w Little Top, nie musiałabyś spędzać całych dni samotnie.

- Nie jestem sama. Ty przyjeżdżasz codziennie - klóciła się.

- Kiedyś wyjadę.

Bridie zrzędała mina.

- Jak to? Myślałam, że...

- Jeszcze nie teraz... ale wiosną, kto wie?

- Miałam nadzieję, że związałeś się z Luce na tyle mocno, że zostaniesz tu dla niej. Nie mam dzieci. Wszystko, co zostawię, chciałam zapisać jej, od dawna noszę się z tym zamiarem.

Jonah uśmiechnął się.

- Luce będzie zaszczyczona, że jest ci taka bliska. Nie mogę zostać tutaj na zawsze, sama wiesz, dlaczego.

- Nie wiem. Nie rozumiem...

- Zdajesz sobie sprawę, że całe miasteczko wie już o moich niezwykłych zdolnościach?

Bridie milczała.

- Jeszcze trochę, a nie będę mógł przejechać Main Street, żeby ktoś nie próbował mnie zatrzymać, nie prosił o uzdrowienie, o to, żebym

odmienił jego życie. Poza tym od lat ściga mnie pewien szalony człowiek, który chce wykorzystać mój dar dla własnych celów.

- Na litość boską - mruknęła Bridie.

- Chciałbym tu zostać, ale nie mogę. Luce nie zasługuje na życie pośród takiego zamętu.

- Nie zostawisz jej tutaj, prawda? Wyjedzie razem z tobą?

- Zdecydowanie.

- W porządku. Róbcie, jak chcecie, ale cokolwiek postanowicie, ja i tak zapiszę wszystko Luce.

- A nie lepiej sprzedać dom i przeprowadzić się do miasteczka?

Będziesz pomagała Idzie Mae szyć narzuty, będziesz mogła wymieniać książki w bibliotece, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota, będziesz mogła zaglądać do Harolda na lunch, ilekroć poczujesz, że nie chce ci się gotować.

- No nie wiem - opierała się Bridie, ale pomysł Jonaha trafił na podatny grunt i coraz bardziej jej się podobał. Zaczynała się wahać, bo perspektywa, że wszystko jest pod ręką, że nie musi się martwić o dostawy, była naprawdę kusząca.

- Nie spodziewałem się natychmiastowej odpowiedzi. Obiecuj mi tylko, że to przemyślisz i na spokojnie przeanalizujesz, dobrze?

Bridie westchnęła.

- Owszem, przemyśle, ale niczego nie mogę ci obiecać.

- Wystarczy na razie tyle. Popatrz - wskazał - Ida Mae tankuje paliwo u Sluga. Może zaprosz ją, żeby zjadła z nami lunch.

Bridie była zachwycona.

- Świetnie.

- Zrobione. - Jonah zwolnił, zajechał na stację benzynową i nacisnął klakson.

Ida pomachała im na powitanie i podeszła energicznym krokiem. Zostawiła swój samochód u Sluga i w chwilę później Jonah wiózł dwie przyjaciółki do Harolda.

RS

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Powiedzieć, że Luce zdumiała się, widząc Jonaha wprowadzającego dwie starsze panie do „Harold's Eats”, to stanowczo za mało. Dopełniła szklanek doktora Bigelowa kolejną dolewką mrożonej herbaty i podeszła szybko do nowych gości.

- Jaka miła niespodzianka - powiedziała, gdy Jonah nachylił się i pocałował ją w policzek.

Oczy Bridie błyszczały mocno, Luce podejrzewała, że od łez.

- Wszystko w porządku, kochanie? - zapytała ostrożnie.

- Teraz już tak - odezwał się Jonah. - Później ci opowiem.

Luce kiwnęła głową.

- Dobrze. Chcecie usiąść w łoży?

Bridie i Ida Mae wołały stolik w głównej sali. Jonah szedł za pograżonymi w rozmowie paniami, gdy Luce prowadziła całą trójkę na wybrane miejsce. Jonah odsunął krzesło i Bridie uniosła dumnie brodę, a potem usadowiła się za stołem z miną monarchini zasiadającej do uroczystej kolacji. Ida Mae zachichotała, kiedy potraktował ją z tą samą, należną damie rewerencją.

Luce uśmiechnęła się. Panie miały jeść lunch na koszt Jonaha, a on wcale się tym nie przejmował, że musi zapłacić rachunek. Zastanawiała się, co takiego się stało, że udało mu się wyciągnąć Bridie do miasteczka. Kiedy zobaczyła, że Jonah bacznie obserwuje staruszkę, zaniepokoiła się nie na żarty. W każdym razie jeśli nawet wydarzyła się jakaś domowa tragedia, została szczęśliwie zażegnana. Jonah jej wszystko opowie, kiedy

wrócą do domu. Zostawiła ich samych, dając czas, by wybrali dania, i zajęła się innymi gośćmi.

Jonah słyszał, jak panie dyskutują, czy wybrać pieczeń w sosie grzybowym, czy zdecydować się raczej na duszoną szynkę, ale jego uwaga skoncentrowana była na Luce.

Z zaróżowionymi policzkami krążyła sprawnie między stolikami i boksami, śmiała się, odpowiadała na żarty, przekomarzała ze stałymi klientami. Doświadczona i lubiana przez wszystkich kelnerka.

Zastanawiał się, jak będzie się jej żyło w osadzie otoczonej zewsząd górami, gdzie niewielu jest sąsiadów. Gdzie przez sześć miesięcy trwa dzień polarny, a przez następne sześć polarna noc.

Miłość do Luce sprawiła, że coraz częściej myślał o powrocie na Alaskę. Dopóki jej nie spotkał, nigdy się na to nie ważył, nie śmiał marzyć. Teraz ciągle wracał do tego pomysłu, tkwił w nim uparcie i coraz bardziej go pociągał.

Zadzwoił dzwonek przy drzwiach, wszedł nowy gość. Jonah odwrócił głowę i natychmiast obudziła się w nim czujność.

Dwaj mężczyźni, obydwaj wysocy, muskularni, o świetnych sylwetkach, poruszali się jednak paskudnie, jak roboty. Jeden miał na sobie strój myśliwski, drugi dzinsy i skórzaną kurtkę.

Rozejrzeli się po sali, a potem jeden drugiemu wskazał Luce. Uśmiechnęli się, zadowoleni, i ruszyli do boksu w głębi.

Jonahowi przemknęło przez głowę, że być może są to nowi najemnicy Bourdaina.

Lucia postawiła na stoliku nowych gości wodę, podała im karty. Usiłowali nawiązać rozmowę, ale Luce nie dała się wciągnąć w konwersację, była uprzejma, ale chłodna, pełna dystansu.

Miała właśnie wrócić do stolika, żeby przyjąć zamówienia, gdy ponownie odezwał się dzwonek i do restauracji weszła Dorrie, kelnerka, która pracowała na popołudniowej zmianie.

Luce pomachała jej.

- Zgubiłaś się? - zagadnęła, a Dorrie usiadła przy stoliku tuż obok Bridie, Idy i Jonaha.

Uśmiechnęła się, pokazując oślepiająco białe zęby.

- Coś ty. Byłam na zakupach. - Wskazała na torby, które zdążyła już postawić na podłodze pod stolikiem. - Zgłodniałam strasznie, pada coraz bardziej, torby swoje ważą, chciałam po prostu zjeść coś ciepłego przed powrotem do domu.

- Harold przygotował dzisiaj chilli. - Luce zwróciła się do Idy Mae i Bridie. - A wy, dziewczyny, namyśliłyście się już, na co macie ochotę?

- Pieczeń ze wszystkimi dodatkami - odparły zgodnym chórem.

Luce zanotowała ich zamówienie i zapytała Jonaha:

- A ty? Też masz ochotę na pieczeń?

- Co ci dwaj mieli do powiedzenia? - chciał wiedzieć Jonah.

Luce spojrzała w stronę dwóch nieznajomych, zobaczyła, że przyglądają się jej i szybko odwróciła głowę.

- Pytali, czy warto tutaj polować, czy to dobre tereny łowieckie.

Zapytałam, na jakiego zwierza zamierzają polować, wtedy zmienili szybko temat.

Jonah zasepił się.

- Trzymaj się od nich z daleka. Luce westchnęła.

- Muszę ich przecież obsłużyć, Jonah. To moja praca. Zjesz pieczeń czy wybrałeś coś innego?

- Nie, zdecyduję się raczej na chilli, wspominałaś, że Harold właśnie przygotował.

- Dla mnie też chilli - odezwała się Dorrie od swojego stolika, a kiedy Jonah zerknął w jej stronę, posłała mu olśniewająco biały uśmiech. - Hej, co słyhać? Jesteś chyba nowy w tych stronach, prawda?

- W pewnym sensie - mruknął Jonah i odwrócił głowę.

Chciała nawiązać rozmowę, to jasne. Wszyscy w miasteczku doskonale wiedzieli, kim on jest, nie wyłączając psów tropiących nasłanych przez

Majora Bourdaina. Ta kobieta też musiała wiedzieć. Pracowała przecież u Harolda, na litość boską.

Luce przyniosła zamówione dania. Dwa razy pieczeń, dwa razy chilli, podała też chilli dwóm podejrzanym facetom siedzącym w głębi sali.

Stawiała właśnie miseczkę z chilli na stole, gdy jeden z obcych chwycił ją za rękę. Szarpnęła się i miska poleciała na podłogę, rozbiła się, chilli rozbryzgało się na stole, na podłodze, wylądowało też na spodniach faceta.

- Cholera! Zobacz, coś narobiła! - ryknął, poderwał się i zaczął serwetką usuwać ze spodni gęstą masę z pomidorów, mielonej wołowiny, przecieru pomidorowego, czerwonej fasolki i, zgodnie z nazwą, małych papryczek chilli.

- Przepraszam - powiedziała Luce. - Pan mnie złapał za rękę. Nie powinien był pan tego robić. Przestraszyłam się.

- O co chodzi? Chciałem być po prostu miły. To był przyjazny gest. Powiedział to z wyraźną kpina w głosie. Jonah miał tego serdecznie dość. Podniósł się.

Luce rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Zawahał się. Kiedy poszła po mop i szmatę na zaplecze, usiadł z powrotem przy stoliku.

- Biedaczka. - Dorrie odsunęła swoje chilli. - Pomogę jej. Im prędzej tych dwóch się stąd wyniesie, tym lepiej.

Podniosła się i poszła na zaplecze.

Bridie i Ida wymieniały ciche uwagi na temat upadku obyczajów oraz panoszącego się wszędzie chamstwa, Jonah zaś obserwował przybyszów.

Harold przyniósł nowe chilli, zaproponował obcym, żeby przenieśli się do innego boksu i jakoś załagodził sytuację. Luce ciągle nie wracała z zaplecza, może popłakała się? Chciała się uspokoić? Uznał, że nie powinien się wtrącać w jej sprawy zawodowe, czekał zatem spokojnie, kiedy wreszcie się pojawi.

Chilli wystygło, zaczynało się ścinać, tymczasem ani Luce, ani Dorrie nie wracały. W końcu Jonah podniósł się od stolika. Wystarczająco długo czekał, by teraz z czystym sumieniem zajrzeć na zaplecze i sprawdzić, dlaczego Luce nie wraca.

- Wybaczcie, drogie panie - ukłonił się Idzie i Bridie, po czym poszedł na tyły restauracji.

Psy Bourdaina spojrzały na niego jakoś dziwnie, kiedy zbliżał do ich boksu. Zwolnił kroku. Gdy przechodził obok nich, wbili wzrok w swoje miski z chilli, jakby dojrzeli w nich coś ze wszech miar godnego uwagi.

- Lucio... Mogę ci w czymś...

Na zapleczu nie było nikogo. Przeniknęło go dojmujące zimno; drzwi prowadzące do zaułka stały otworem. Podeszedł je zamknąć i zobaczył na śniegu świeże ślady stóp, a obok ślad wyglądający tak, jakby osoba, która szła, coś lub kogoś ciągnęła. Zamknął drzwi i odwrócił się zafrasowany. Drzwi do damskiej toalety były otwarte, zajrzał tam. Pusto. Chciał iść do kuchni, kiedy zobaczył na podłodze, tuż koło swojego buta, drobne kropelki krwi.

Serce stanęło mu na moment. Nachylił się, zebrał jedną kroplę palcem i posmakował. Tak, krew!

Jęknął głucho. Luce i Dorrie zniknęły.

Podbiegł do drzwi wyjściowych i otworzył je na oścież gwałtownym szarpnięciem.

Ślady stóp. I ślady ciągnionego ciężaru.

Niech to wszyscy diabli! Bourdain go przechytrzył. Polował na niego od dziesięciu lat i po raz pierwszy posłał za nim kobietę. Podeszedł go w sposób niemal doskonały. Dorrie, czy jak tam się nazywała, uprowadziła mu Lucię sprzed nosa, a on niczego się nie domyślił.

Chciał już wrócić do środka, gdy usłyszał helikopter. Chryste! - przeraził się. Wywiozła ją nie wiadomo dokąd. Tak jak jego wywieźli niegdyś z Alaski po zamordowaniu Adama.

Użyją jej jako przynęty. Znał Bourdaina, wiedział, że ten człowiek gotów jest na wszystko, na każdą, najgorszą nikczemność, byle tylko dostać go w swoje ręce.

Wychodził już, gdy pojawił się Harold.

- Co się dzieje?

- Dorrie porwała Lucię! Dzwon natychmiast do szeryfa. Powiedz, żeby patrol szukał jej samochodu. Ten helikopter, który słyszysz, zaraz wylądowuje. Ale za nic w świecie nie może potem wystartować.

I wypadł na ulicę.

Śnieg sywał coraz mocniej. Duże płatki spadały na ubranie i niemal natychmiast topniały. Lucia musiała zostać albo ogłuszona, albo uśpiona, w przeciwnym razie podniosłaby krzyk ile sił w płucach. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Szedł, kierując się węchem. Chwytał trop i ten trop miał zaprowadzić go do Lucii.

Bourdain wylądował na łące tuż za ostatnimi zabudowaniami miasteczka, najbliżej jak tylko mógł. Właśnie odebrał telefon od Dorrie. Miała dziewczynę. Teraz pozostawało tylko czekać, aż ją dostarczy.

Wyskoczył z helikoptera i zaczął chodzić niespokojnie w tę i z powrotem, wyglądając zdobywcy. Zaczynała się prawdziwa śnieżycy a pilot krzyczał z kabiny, że jeśli zaraz nie wystartują, utkną w tej dziurze na dłużej. Ale on nie myślał odlatywać. Nie zamierzał ruszyć się z Little Top bez Jonaha Szarego Wilka.

Potał blizny na piersi, wspomnienie po spotkaniu z niedźwiedziem grizzly. Nie wiedział, że moc Szarego Wilka była teraz potężniejsza niż kiedyś. Dzisiaj uzdrawiał, nie pozostawiając żadnych blizn na ciele okaleczonego.

Odezwał się telefon komórkowy.

Caufield.

- Ktoś zawiadomił szeryfa - krzyczała na całe gardło. - Nie dostanę się teraz do ciebie. Jadę do chaty, w której mieszka Szary Wilk. Dom stoi na dużej polanie, z łatwością tam wylądujecie. Tam się spotkamy.

- Nie! Nie! Za żadne skarby nie wchodź na jego terytorium - ryknął Bourdain. - To samobójstwo. Nigdy się stamtąd nie wydostaniesz.

- Zamknij się i słuchaj. - Wrzeszczała, ile sił w płucach. - Nie mam zamiaru natknąć się na blokadę. Nawet za milion dolarów. Gliny obstawiły już wyjazd z miasteczka. Jeśli nie chcesz rozegrać tego po mojemu, wypuszczę sukę i zwijam żagle, dopóki jeszcze się da. Bez niej wydostanę się stąd bez problemu. Kapujesz?

Bourdain zaklął szpetnie. Wszystko wymykało mu się spod kontroli. Nie chciał w taki sposób spotkać się z Szarym Wilkiem, ale może to jedyna możliwość kontaktu z tym człowiekiem?

- Jak znajdę jego chatę?

- Na północ od miasteczka, na górze, zobaczysz ganek i dach. Zaraz za chatą jest skalna ściana, a od frontu ogromna polana. Słyszysz mnie?

- Słyszę. Pilnuj dziewczyny.

Caufield wyłączyła się. Bourdain wsunął telefon do kieszeni i wdrapał się do helikoptera.

- Lecimy na górę za miastem, północny stok, ale szybko!

Pilot kręci głową.

- Nie da rady. Za silne prądy powietrzne między szczytami, w dodatku przy tej śnieżycy widoczność jest prawie równa zeru.

Bourdain wyjmuje pistolet.

- Leć, w przeciwnym razie strzele ci w łeb i sam siądę za sterami.

Pilot blednie, zaciska zęby, uruchamia silnik. Śmigła zaczynają się obracać, coraz szybciej, szybciej i po chwili maszyna odrywa się od ziemi. Kiedy się wznosi, na drodze pojawia się wóz policyjny.

Bourdain uderza się po udzie i rechoce bardzo zadowolony. Cała ta historia to lepszy odjazd niż działka kokainy. Nigdy jeszcze nie czuł w żyłach takiego uderzenia adrenaliny. W dole widzi jakiegoś faceta. Wysiadł z wozu policyjnego i teraz mówi coś przez krótkofalówkę. Spóźnił się, łajza. Policja może im teraz naskoczyć.

Bourdain uśmiecha się krzywo. Żaden dumny szeryf z jakiejś zapadłej pipidówki już go nie dosięgnie. Zapomniał o ciemiedze wpatrującym się bezradnie w niebo, bo dolatywali do stoku, który zamajaczył w gęstym śniegu tuż przed nosem maszyny. Bourdain już myślał, że się rozbija, ale pilot w ostatniej chwili poderwał helikopter i ten przemknął tuż nad wierzchołkami drzew. Byli uratowani. Chwilowo.

- Dokąd właściwie lecimy? - zapytał pilot.

- Wypatruj dużej polany, mniej więcej w połowie stoku. Powinna stać tam chata z krytym gankiem i dużym podjazdem. Zobacysz terenówkę D.J., chyba już jest na miejscu. To czarny dziup. Łatwo go dojrzysz.

- Otwórz szerzej oczy, dupku. W tej zamieci nic nie da się dojrzeć - irytuje się pilot.

Bourdain patrzy w dół. Widzi dość, by dotrzeć tam, gdzie zamierzał dotrzeć.

Szeryf Mize rozmawiał przez radio z Earlem Farleyem:

- Wystartowali z łąki Pushmana i poleciecieli na północ. Gdzie jest teraz czarny dziup?

- Nie wiem, szeryfie. Widziałem go na Delaware Avenue, potem nagle odbił w lewo. W ślepią uliczkę. Byłem pewien, że zawróci, tymczasem wsiąkł gdzieś, jakby się rozpułnął w powietrzu. Wjechałem w ten zaułek, nic, pusto. Po śladach na śniegu mogę się domyślać, że przejechał przez podwórze Harrisa. Melvin się wkurzy. Ten koleś zostawił koleiny głęboke przynajmniej na trzydzięci centymetrów.

- Mam gdzieś koleiny na podwórzu Melvina Harrisa. Znajdź mi tego dziupa - warknął szeryf, wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku centrum miasteczka.

Z Little Top na północ prowadziła tylko jedna droga, na górę.

Albo więc porywaczka Luce przyczaiła się gdzieś w miasteczku i czekała na dogodny moment, żeby się wymknąć, albo popełniła poważny błąd. Szosa kończyła się na górze, nie dając żadnej możliwości ucieczki.

Luce odzyskała przytomność i nie bardzo jeszcze wiedząc, co się z nią dzieje, zaczęła wzywać Jonaha. Czowała smak krwi w ustach i potworny, tępy ból karku. Czowała, że za chwilę z wymiotuje.

Kiedy zaczęła się dławić, Dorrie, znana lepiej jako D.J., wyrzuciła z siebie stek przekleństw.

- Tylko mi się, do cholery, nie zrzuć w samochodzie - wrzeszczy. - Połknij to albo będziesz połykała własne zęby.

- To po co zdieiłaś mnie w kark? - Luce odwraca się i wymiotuje.

- Kurwa mać! - Dorrie uderza pięścią w kierownicę i sunie w kierunku chaty tak szybko, jak pozwalają fatalne warunki.

Wycieraczki nie nadążają zbierać śniegu. Droga jest kręta, śliska, niebezpieczna. Dżip wpada dwa razy w poślizg, Dorrie na moment traci kontrolę nad kierownicą. Wszystko zresztą wymyka się spod kontroli. To oczywiście wina Bourdaina. Powinien tu być. Ale on wie lepiej. Nadęty dupek z wielką kasą. Trzeba się skupić, bo przez tego głupca mogą zginąć.

Na górę prowadziła tylko jedna droga, która zresztą tu się skończyła. Jeśli Bourdain nie przyleci, ona znajdzie się w pułapce. Luce słyszała, że D.J. mruczy coś pod nosem, ale przezornie wołała się nie odzywać. Gorączkowo zastanawiała się nad tym, dokąd jadą - miała przepaskę na oczach - i jak mogłaby się uwolnić.

Jonah z pewnością jedzie za nimi, musi być gdzieś niedaleko. Po pracy silnika i nachyleniu wozu zorientowała się, że wjeżdżają na górę. Bez sensu, pomyślała. To przecież ślepa droga, dojazd do jej chaty i do domu Bridie.

Samochód podskoczył na jakimś wykrocie i Luce miała wrażenie, że głowa jej eksploduje. Znowu zrobiło się jej niedobrze. Nachyliła się i ponownie zwymiotowała, a Dorrie zaczęła kląć jak szewc.

Jonah biegnie bocznymi ulicami Little Top w kierunku łąki, na której wylądował helikopter. Nie wie dokładnie, gdzie to jest, bardziej zgaduje, w każdym razie musi odnaleźć to miejsce. Tam z pewnością zmierza Dorrie, w ten sposób planowała wydostać się z miasteczka.

Słyszy syrenę wozu policyjnego, potem widzi wznoszący się helikopter i osuwa się na kolana.

Jest tak przerażony, że przestaje panować nad sobą, nie wie, co się z nim dzieje. Odchyła się na piętach i z jego gardła dobywa się rozdzierający krzyk, tak straszny, że mieszkający w pobliżu ludzie

wpadają w trwogę, nie mogą tego słuchać. Niektórzy myślą, że to jakieś zwierzę wyje, inni, że człowiek zdjęty śmiertelnym bólem, umierający...

Bo Jonah czuł, że umiera. Stracił Lucię i był to cios prosto w serce. Śnieżyca sprawiła, że zgubił trop. Bał się. Jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał takiego strachu. Przyrzekł Lucii, że będzie ją chronił. Podniósł się z klęczek, ale nie wiedział, dokąd biec. Do ich chaty nie byłby w stanie teraz wrócić. W każdym kącie czułby obecność Lucii. Nie mógł opuścić Little Top, bo chciał spojrzeć w twarz Bourdainowi. Śnieg przykrył mu włosy, zebrał się zlodowaciałą warstwą na kurtce. Przetarł twarz dłońmi, jakby usiłował odzyskać jasność umysłu. Rozejrzał się. Próbował się zorientować, gdzie jest, ale widział tylko niewyraźne zarysy domów i drzew.

Nagle pojawił się wilk.

Jonah zatrzymał się.

Nie wiedział, że w Wirginii Zachodniej są wilki.

Dotąd nie widział ani jednego. Może mu się przywidziało?

Wilk przyglądał mu się spokojnie.

- Wiesz, gdzie ona jest? - zapytał.

Wilk zawył, a Jonahowi łzy napłynęły do oczu. Miał wrażenie, że powrócił do domu. I uzyskał odpowiedź na swoje pytanie.

Ruszył z powrotem w stronę restauracji, gdzie zostawił samochód, po czym zdał sobie sprawę, że jest bliżej drogi na górę niż centrum miasteczka. Zaczął biec. Kiedyś biegł tędy, żeby uratować psa Lucii. Teraz musiał uratować ją samą.

D.J. zatrzymała samochód przed chatą, tak blisko ganku, jak tylko się dało. Trzeba zostawić jak najwięcej miejsca helikopterowi, żeby mógł bezpiecznie wylądować.

Wyskoczyła z auta i chciała podbiec do tylnych drzwi, kiedy nie wiadomo skąd pojawił się olbrzymi biało-rudy pies. Jednym susem rzucił się na nią, obalił na ziemię, gotów zagryźć.

Zamknął pysk na jej nadgarstku. Wrzasnęła z bólu, usłyszała trzask pękających kości.

Nieprzytomna z bólu wiedziała jedno: teraz albo nigdy. Zdrową ręką sięgnęła do kieszeni, wyczuła pod palcami zimny metal. Pies przypadł jej do gardła. Zobaczyła przed oczami jego kły, a potem poczuła, jak zagłębiają się w ciało. Przyłożyła mu pistolet do piersi i władowała w niego cały magazynek. Bestia znieruchomiała, przygniotła ją swoim ciężarem do ziemi.

- Szlag, jasny szlag... - Próbowała wydostać się spod zwierzęcia.

Coś ciepłego spływało jej po dłoni. Krew, jej krew. Krew, która zabarwiała śnieg.

Wściekła, że dała się zaskoczyć, otworzyła tylne drzwi i wyciągnęła Luce za włosy. Postawiła ją na nogi, podprowadziła do stopni ganku i pchnęła.

Luce uderzyła plecami o stopnie, stoczyła się na ziemię, zwinęła i zaszlochała.

Hobo zginął. Nie żyje.

Słyszała, jak próbował ją bronić. Słyszała strzały. Cisza, która zaległa potem, powiedziała jej resztę.

Wydawało się jej, że gdzieś w oddali słyszy helikopter, ale pomyślała, że widać zaczyna tracić zmysły. Nikt nie zdecydowałby się na lot w taką pogodę.

Nie potrafiła powiedzieć dokładnie, gdzie jest Dorrie, ale słyszała, jak tamta jęczy i przeklina. Musiała stać gdzieś niedaleko.

Wiedziała, że to próżne wysiłki, ale nie zamierzała umierać. Z przepaską na oczach, ze skrępowanymi na plecach dłońmi, obróciła się kilka razy, zerwała się z ziemi i popędziła na oślep w stronę lasu, wykrzykując na cały głos imię Jonaha.

Tego D.J. się nie spodziewała. Wszystkiego, ale nie tego, że ta wariatka rzuci się do ucieczki. Była skrępowana, poturbowana, nic nie widziała, a zachowywała się tak, jakby miała jakieś szanse.

D.J. wycelowała pistolet, chciała zastrzelić tę nieszczęśnicę z czystej litości. Nacisnęła spust i uświadomiła sobie, że cały magazynek wpakowała

w psa. Już miała zmienić magazynek, gdy trochę otrzeźwiała. Jeśli chciała dotrzeć do Szarego Wilka, nie mogła przecież zabić tej kobiety.

Klnąc na czym świat stoi, wcisnęła pistolet do kieszeni i rzuciła się w pogoń za Luce.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jonah był mniej więcej w połowie stoku, gdy spośród drzew wyskoczył kuguar. Prychnął, przekazał wiadomość i zniknął w zamieci.

Jonah biegł dalej. Wiedział już, że Lucia żyje i jest gdzieś na zboczu. Ale pojawił się inny problem, którego nie przewidział.

Helikopter.

Nie odleciał. Był gdzieś nad jego głową, zagubiony w śnieżycy. Jonah nie ogarniał tego, co się dzieje, musiał dopiero rozpoznać sytuację.

Biegł dalej, przeskakując przez obalone drzewa, przedzierając się przez zarośla. Cały czas miał przed oczami twarz Lucii.

Pokonał jednym potężnym susem potok, stąd miał już niedaleko do chaty. Zapadał się po kostki w śnieg, a zamieć szalała dalej w najlepsze, wiał silny wiatr. Trudno mu było wyobrazić sobie lot helikopterem w taką zawieruchę, ten, kto zdecydował się wzbić w powietrze, musiał być szaleńcem.

Wtem usłyszał Lucię. Nawoływała jego, Jonaha.

Szlochała i wykrzykiwała jego imię. Chyba biegła, bo w głosie słyszał zadyszkę.

Wyskoczył na polanę. Dojrzał ją: ręce skrepowane na plecach, opaska na oczach, krew... Biegła na oślep, w złym kierunku... Miał wrażenie, że zaraz upadnie i już nie będzie miała siły, by się podnieść. Była wyczerpana, na granicy załamania. Musiało stać się coś straszego. Ta suka... O, Boże... Hobo! Zabiła Hobo!

- Lucia!

Wymówił jej imię tak cicho, jakby stał koło niej, ale ona wyczuła jego obecność, odwróciła się w jego kierunku.

- Jonah? - zawołała.

- Jestem tutaj.

Zachwiała się i osunęła na kolana.

Rzucił się ku niej, zobaczył Dorrie i wyteżył wszystkie siły, przyspieszył biegu, gnał jak szalony. Jedną ręką Dorrie wisiała bezwładnie, Dorrie miała też zalane krwią, poszarpane ubranie, ale to wszystko jeszcze nic w porównaniu z tym, jak sam miał ochotę ją potraktować. Biegł, jak biegnie człowiek walczący o życie. Bourdain i jego ludzie nie dostaną Lucii, nie dopuści do tego.

Usłyszał helikopter, poczuł uderzenie fali powietrza idącej od śmigieł. Maszyna była nad ich głowami. Kołysała się gwałtownie w porywach zamieci, pilot miał trudności z wyrównaniem lotu.

Zszedł niżej, był teraz tuż nad Lucią. Próbowwała podnieść się, uciekać, ale była zbyt słaba.

Jonah spojrzał w górę. Helikopter schodził coraz niżej, płozy zdawały się dotykać niemal głowy Lucii. Dopadł do niej, chwycił i w ostatniej chwili odepchnął na bok.

- Jonah! Jonah! - Drżała na całym ciele. - To... Dorrie. Przysłał... kobietę. Podszedł nas.

- Wiem wszystko, kochanie. Już dobrze. Nie skrzywdzą cię. Nie dostaną...

- Tu się mylisz - ryknęła Dorrie.

Jonah podniósł głowę. Dorrie stała nad nimi z wycelowanym pistoletem. Drzwi kabiny helikoptera otworzyły się, wyskoczył z niej

mężczyzna i szedł w ich kierunku, pochylając się pod uderzeniami powietrza idącymi od śmigieł.

Posiwał przez ostatnie dziesięć lat, tylko oczy zostały te same, zimne, chciwe, zaborcze. Uśmiechał się jak człowiek, który postradał zmysły.

Major Bourdain.

Ich spojrzenia się spotkały. Bourdain triumfował. Jonah odwrócił się do niego plecami, pomógł Lucii podnieść się. Zdjął jej opaskę z oczu, rozwiązał skrepowane ręce.

- Odsuń się od niej i odwróć do mnie! - zawołał Bourdain.

Lucia trzęsła się tak strasznie, że ledwie mogła ustać. Jonah szepnął jej coś do ucha i odgarnął kosmyki włosów, przyklepione do zakrwawionej twarzy.

Bourdain wściekł się, że Jonah Szary Wilk zignorował jego polecenie. Nic chyba nie mogło przyprawić go o większą wściekłość. Jak ten sukinsyn śmie tak się zachowywać?

Wyciągnął pistolet i przystawił lufę do pleców Jonaha.

- Nie będziesz odwracał się do mnie tyłem! Jonah odrzucił przepaskę na oczy i położył dłoń na głowie Lucii. Lucia ciągle krwawiła. Posłał Dorrie lodowate spojrzenie.

- Dlaczego ją zraniłaś? - To był wyrzut, nie pytanie.

D.J. poczuła ciarki na plecach. Znieruchomiała, nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Nogi zrobiły się jak z ołowiu, świat zawirował przed oczami. Poczwała, że osuwa się na ziemię.

- Zamknij się! Natychmiast się zamknij! - zawołał Bourdain. - Pomóż jej. Połóż na niej dłonie, zrób coś, żeby wróciła do siebie.

Jonah nie słuchał, co mówi Bourdain. Ignorował go całkowicie. Major zaczynał tracić kontrolę nad sobą, natomiast Jonah spojrzał wprost w twarz tkwiącego w kabinie helikoptera pilota.

Pilot prawie nic nie widział w zamieci i oto nagle tuż obok niego pojawił się wielki Indianin, wpatrywał się w niego, oskarżał... O co mu chodzi? Przecież nie zrobił nic złego temu człowiekowi. Nie znał go. Pierwszy raz widział go na oczy. Przeszedł go dreszcz, a potem poczuł, jak żar oblewa jego ciało. Spanikowany włączył silnik i wzbił się w powietrze.

Bourdain osłupiał, a potem rzucił się w kierunku maszyny.

- Dokąd? Ty sukinsynu... - ryknął. - Wracaj natychmiast!

Strzelił w powietrze w daremnej, bezradnej wściekłości. Helikopter, dający jedyną szansę ucieczki, bezpiecznego wycofania się, odlatywał. Major zwiesił ramiona. Pojął w jednej sekundzie, że teraz jest całkowicie zdany na łaskę Szarego Wilka, od tego człowieka zależy, czy ujdzie z życiem. Zaczął coś bełkotać, próbował coś tłumaczyć, paktować z Jonahem.

- Uczynię cię bogaczem, synu. Będziesz miał niewyobrażalne pieniądze, będziesz miał wszystkich u swoich stóp. Ludzie będą cię wielbić jak nikogo dotąd. Staniesz się potężny.

Jonah nie zwracał najmniejszej uwagi na żaloszny bełkot Bourdaina. Wziął Lucię w ramiona. Oparła głowę na jego piersi. Była bardzo osłabiona, straciła sporo krwi. Ból promieniował na całe ciało. Jonah nie mógł dopuścić, by cierpiała chociaż chwilę dłużej.

Zamknął oczy.

Wiatr się uciszył, powietrze zrobiło dziwnie gęste, ciężkie.

- Zaczekaj! - krzyknął Bourdain i uniósł pistolet, ale nie był w stanie strzelić. Nie mógł. - Przestań. Porozmawiaj najpierw ze mną - błagał.

Ziemia zadrżała. Trzęsienie ziemi? - zdumiał się Bourdain. W Wirginii? W zimie? Czy takie rzeczy się zdarzają? Nie wiedział, ale nie chciał paść ofiarą potężnego żywiołu.

Spojrzał na Caufield. Usiłowała wstać.

- Przeprowadź swój samochód - zawołał. - Odjeżdżamy.

Natychmiast.

D.J. padła na plecy, spojrzała na swoją zgruchotaną rękę. Krew cały czas płynęła spod mankietu kurtki, wsiąkała szkarłatną plamą w śnieg. Słyszała polecenie Bourdaina, ale nie miała siły się ruszyć. Przerażony Major doskoczył do niej i zaczął szukać w jej kieszeniach kluczyków.

- Gdzie masz kluczyki? No gdzie są, do jasnej cholery?

- Zostaw mnie - wykrztusiła i odepchnęła Bourdaina. - Są w stacyjce.

Bourdain wyprostował się... I zmarł. Zobaczył aureę otaczającą Jonaha, świetlistą, jaśniejącą mocnym blaskiem. To było piękne. Łzy napłynęły mu do oczu. Serce wezbrało nieznanym wzruszeniem.

Przyglądał się zahipnotyzowany, jak światło emanuje z Jonaha i wnika w ciało Lucii.

Caufield też patrzyła, bo światło niesło spokój i wybaczenie. Chciała być bliżej tego cudownego zjawiska, czuła, że niesie ono błogosławieństwo. Próbowала się podczołgać, ale upadła w śnieg. I rozplakała się.

Jeszcze moment i było po wszystkim. Lucia odetchnęła z ulgą. Ból minął, Jonah obejmował ją ramieniem...

- Lucio...

Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy. Pocałował ją w czoło i przesunął palcem po jej wargach.

- Już wszystko dobrze.

Bourdain nie wierzył własnym oczom i uszom. Ten człowiek zachowywał się tak, jakby jego, Majora, w ogóle tu nie było.

- Niech cię wszyscy diabli - warknął. - Odsuń się od niej.

Jonah ujął twarz Lucii w dłonie.

- Idź do domu - poprosił.

Lucia, nie oglądając się, ruszyła przez polanę ku chacie.

Bourdain wycelował pistolet w jej plecy. Jonah stanął na linii ognia. Bourdain zawahał się, ale nie opuszczał jeszcze broni.

- Pojedziesz ze mną albo ją zastrzelę na miejscu - zagroził.

Z gardła D.J. Caufield nagle wydarł się przeraźliwy krzyk. Usiłowała wstać, chciała uciekać, ale nie mogła, nie była w stanie. Podniosła zdrową rękę.

- Za tobą! - wrzasnęła do Bourdaina. - Za tobą!

Bourdain odwrócił się i z przerażenia nie zapanował nad pęcherzem, poczuł tylko, jak ciepły mocz płynie mu po nodze.

Za nim usiadły w śniegu cztery kuguary. Siedziały zupełnie spokojnie, jakby nigdy nic i tylko lekko poruszały ogonami. Wpatrywały się wyczekująco w Jonaha.

- Jezu miłosierny - szepnęła D.J. i spojrzała na Jonaha.

Przestudiowała dokładnie jego teczkę, którą dostała od Bourdaina, ale nie pojmowała, nie wierzyła. Aż do teraz.

- Zrób coś, Szary Wilku - zwróciła się do niego błagalnie.

Jonah nie miał współczucia dla niej, dla jej ran, dla jej przerażenia.

- Powiedziałem ci już, nie powinnaś była robić krzywdy Lucii. -

Jonah odwrócił się plecami do tej wartej siebie pary.

- Nie odejdziesz, nie możesz odejść. Zabiję ją.

- Bourdain błagał, groził, całkiem pomieszało mu się w głowie.

- Nie myśl o Lucii, pomyśl raczej o nich.

Kuguary wydały z siebie zgodny chóralny pomruk. Bourdain chciał strzelić, ale pistolet odmawiał posłuszeństwa. Uderzył nim o udo, ponownie próbował nacisnąć spust. Nic.

- Każ im odejść! Każ im się stąd zabierać! - jęczał. - Niech sobie idą, a my porozmawiamy. Zrobię wszystko, co zechcesz. Dam ci wszystko. Powiedz tylko, jakie masz życzenie.

Jonah milczał długą chwilę.

- Zrobisz wszystko?

Bourdain, bliski łez, zaśmiał się histerycznie. Wiedział, wiedział od początku. Wystarczyło pogadać z facetem, przemówić mu do rozumu.

- Tak, wszystko. Powiedz tylko, czego chcesz, a będzie twoje.

- Wiesz, czego chcę?

- Nie wiem. Mów.

- Chcę, żebyś zdechł.

Uśmiech zniknął z twarzy Bourdaina.

- Jesteś uzdrowicielem, nie zabijasz ludzi - wybełkotał.

- Tak, to ty parasz się tym rzemiosłem, nieprawdaż? - zakpił Jonah.

Kuguary znowu wydały złowieszczy pomruk.

Jeden z nich podniósł się, wygiął grzbiet. Caufield wpadła w histerię. Nic nie rozumiała. Miała zgruchotaną rękę, ale dlaczego nie może poruszać nogami?

Bourdain nie miał odwagi spojrzeć za siebie. Nie chciał widzieć strasznych, wielkich kotów, nie chciał wiedzieć, co oznacza ich obecność.

- Na Boga, nie. Błagam cię. Tylko nie to - krzyczał.

- Zamknij się - uciszył go Jonah. - Czy mój ojciec błagał o życie? Błagał o litość, zanim twoi ludzie wpakowali mu kulkę w głowę?

Bourdain z pistoletem wycelowanym w Jonaha rzucił się biegiem do samochodu Caufield. Nie zdążył zrobić trzech kroków, kiedy koty obaliły go na ziemię. Jedno rozwarcie pyska, i było po Bourdainie. Nie zdążył nawet krzyknąć.

Caufield wyjęła pistolet z kieszeni i włożyła sobie do ust. Jeśli ma umrzeć, woli zginąć z własnej ręki. Pistolet nie wypalił. Wpakowała przecież cały magazynek w psa i nie zdążyła ponownie załadować broni.

Rozplakała się. Usiłowała przeładować, posługując się jedną ręką. Nie zdążyła. Kilka sekund, i kuguary rozprawiły się z nią w taki sam sposób jak z Bourdainem.

- Dziękuję, braciszku - odezwał się Jonah. W oddali dało się słyszeć odgłos syren. Kuguary położyły uszy po sobie i zniknęły bezszelestnie między drzewami w śnieżnej zamieci.

Jonah nie spojrział nawet na znieruchomiłe ciała.

Ta dwójka sama przesądziła o swoim losie, chociaż wydawało im się, że będą decydować o losie Jonaha Szarego Wilka.

Na polanę wjechał wóz patrolowy szeryfa, zaraz za nim jechał Earl Farley.

Jonah ze zwieszonymi ramionami ruszył w kierunku chaty.

Samochody zatrzymały się przed domem, wzbijając tuman śniegu i w tej samej chwili na ganku pojawiła się Lucia.

Dopiero kiedy Jonah wziął ją w ramiona, świat wrócił w swoje koleiny, znowu zapanował ład i spokój.

Słyszał, że szeryf i Earl coś do siebie mówią. Będzie musiał wszystko im wyjaśnić, odpowiedzieć na ich pytania.

Lucia wzięła go za rękę.

- Jonah?

- Tak?

- To już koniec?

Westchnął, uśmiechnął się z wysiłkiem i położył dłoń na jej policzku.

- Nie, kochanie... To dopiero początek.

RS

EPILOG

W górach zaczęła się wiosna. Pierwsze nieśmiałe pąki przebijały się przez ostatni śnieg, wracały ptaki, które jesienią odleciały na południe. Słońce przygrzewało, co prawda jeszcze nieśmiało, ale z każdym dniem robiło się coraz cieplej.

W taki właśnie, pogodny wiosenny dzień Harley Dubois nadlatywał swoim starym helikopterem nad Snow Valley. Miał na pokładzie pierwszych w tym roku gości, którzy zamierzali spędzić trochę czasu w osadzie. Wiele zmieniło się przez ostatnie dziesięć lat, od kiedy ludzie Bourdaina wywieźli Jonaha. Teraz do Snow Valley przyjeżdżali nie tylko myśliwi. Ciągnęli tu zakochani w Alasce artyści i fotografowie. Rezerwaty zapępniały się ludźmi, a Silas Parker, właściciel obozowiska dla turystów, zacierał tylko ręce, zadowolony z ożywienia.

Po osadzie gruchnęła plotka, że Harley ma na pokładzie specjalnych gości, więc spekulacjom nie było końca. Jedni stawiali na fotografów z „National

Geographic", inni na parapsycholożkę, która od wielu lat badała cykle życia ludzi mieszkających w obszarach zorzy polarnej.

Jakieś dzieciaki uganiały się za psem. Spryciarz porwał im latawiec i teraz uciekał, zachęcając do zabawy.

W drzwiach domu stanęła kobieta, przysłoniła oczy i przyglądała się schodzącemu do lądowania helikopterowi. Jakiś mężczyzna wyszedł z szopy na narzędzia, odłożył siekierę na przyzmę drewna i też obserwował manewry wysłużonego bella.

Przybysze nieodmiennie budzili zainteresowanie miejscowych. Tylko Eskimosów niewiele obchodziło, kto przyjedzie, oni mieszkali tu od zawsze. Dla nich Alaska nie stanowiła żadnej turystycznej atrakcji, nie była miejscem do wizytowania.

Alaska to dom. Proste.

Kiedy helikopter schodził niżej, coś dziwnego zaczęło się dziać na stoku wzgórza nad doliną.

Stary Silas zerwał się z fotela na ganku i wybiegł na ulicę.

Marie Tlingtik zostawiła pranie i przeszła na sam skraj podwórza, rękę położyła na sercu.

Wilson Umluck uśmiechnął się szeroko, twarz mu się rozpromieniła.

Wilki. Wataha przynajmniej dwudziestu, może trzydziestu wilków. Schodziły po stoku, popiskując i poszczekując, niby dzieci, które rodzice wypuścili z domu, żeby mogły się pobawić.

Silas wiedział już, kto za chwilę wysiądzie z kabiny helikoptera Harleya.

Ruszył w kierunku niewielkiego lądowiska. Tak mu było spieszno, że zapomniał nawet o swojej nieodłącznej lasce.

Zobaczył wysokiego Indianina o długich, czarnych włosach. I rozplakał się. Nie wierzył, że jeszcze kiedyś zobaczy Jonaha. Ale Jonah tu był, stał obok maszyny, mielącej jeszcze powietrze śmigłami. Wrócił do domu.

Wilki gnały ku niemu jak szalone, zdawało się, że płyną nad ziemią, z uniesionymi głowami, wywieszonymi językami. Popiskiwały, rozmawiały ze sobą. Spieszyły przywitać. Jego.

Od momentu kiedy znaleźli się nad terytorium Alaski, Jonah czuł się inaczej. Było mu lekko na sercu. Był wolny. Myślał o tym, że wreszcie będzie miał dom.

Wspólny dom z Lucią.

Bridie Tuesday już kilka miesięcy wcześniej przeniosła się do Little Top i Jonah zyskał gwarancję, że nigdy nie będzie sama.

Odwrócił się w stronę kabiny. Lucia stała w drzwiach, czekała, by pomógł jej wysiąść. Chwytał ją wpół i postawił na ziemi.

Uśmiechała się. Nic więcej nie było mu trzeba.

Lucia patrzyła w zachwycie na majestatyczne góry, na piękną dolinę. Zdążyła się już zaprzyjaźnić na śmierć i życie z Harleyem i teraz niecierpliwie czekała, by poznać innych mieszkańców rodzinnej osady Jonaha. Nie wiedziała jeszcze, jaką niespodziankę dla niej przygotował.

Poprosił Harleya, by to zrobił, zanim odbierze ich z lotniska w Seattle.

To było coś, co miało nadać rytm ich nowemu życiu - jeden z nowych domków wybudowanych przez Silasa.

Lucia nie mogła się napatrzeć. Jej nowy dom. Tu spędzi resztę życia. Z Jonahem.

Spojrzała na stok najbliższego wzgórza i uśmiech zniknął w jednej sekundzie z jej twarzy. Gdyby Jonah nie stał teraz obok niej, umarłaby chyba ze strachu.

Dotknęła jego ramienia.

- Popatrz.

Jonah odwrócił się i zaniósł śmiechem. Uniósł głowę, zawył, a potem popędził na spotkanie wilkom.

Luce obserwowała z nabożną zgrozą, jak Jonaha otacza wielka wataha, istne kłębowisko pysków, łap i ogonów.

Wilki lizały go po rękach, poszczekiwały, popiskiwały z radości, a on leżał powalony przez nie na ziemię i śmiał się głośno.

- O rany - szepnęła, gdy Harley Dubois stanął obok i położył jej dłoń na ramieniu.

- Niezły z niego pistolet, co? - zagadnął. Lucia westchnęła.

- Wiesz, Harley, pistolet to stanowczo za mało powiedziane.

Jonah podniósł się wreszcie z ziemi, otrzepał ubranie. Wilki ociągały się, nie chciały odejść, ale przemówił do nich. Luce słyszała jego słowa.

- Wróciłem, jestem tutaj i nigdy was już nie opuszczę.

To im wystarczyło, odwróciły się i zniknęły w lesie.

Silas Parker sapał ciężko, gdy dotarł na lądowisko.

Postarzał się bardzo przez minione dziesięć lat. Jonah był zaskoczony, jak bardzo. Ciągle jednak spoglądał na Jonaha z bojaźnią bożą w sercu, jak wtedy, gdy zobaczył pierwszy raz malca prowadzonego przez wilczycę. To on wypatrzył pierwszy podrzutka, zabrał z drogi i zaniósł do Adama. Jonah znał tę opowieść na pamięć.

A teraz on pierwszy spośród wszystkich mieszkańców osady przyszedł go powitać. Ciągnęli też inni. Ludzie wylegli tłumnie z domów i zmierzali ku helikopterowi. Machali rękami na powitanie, płakali.

Wszyscy chcieli przywitać Jonaha, tak jak witała go wataha wilków.

Silas uściskał go z całego serca.

- Witaj w domu, synu. Nie myślałem, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

Jonah wziął Lucię za rękę i przyciągnął do siebie.

- Silasie, to moja żona, Lucia. Lucio, to Silas, on uczył mnie łowić ryby.

Silas uśmiechnął się promiennie do drobnej, ciemnookiej żony Jonaha.

- Miło cię poznać, Lucio.

- Nie, cała przyjemność po mojej stronie. - Uściskała Silasa i w tym momencie na zawsze zdobyła sobie miejsce w jego sercu.

- Popatrz, wszyscy przyszli cię przywitać - powiedział Silas do Jonaha.

Na przedzie pędził w podskokach mały biało-rudy psiak z czarną łatką nad lewym okiem, która nadawała mu łobuzerski wygląd.

Lucii mocniej zabiło serce. Ciągle jeszcze śnił się jej Hobo, jego tragiczna śmierć. Tęskniła za nim i za jego wariactwami.

Maluch zatrzymał się u jej stóp, przechylił łeb, nastawił jedno ucho, wyraźnie zapraszając do zabawy. Luce przepadła. Zawojował ją w jednej chwili.

Uklękła i wyciągnęła rękę.

- Jak się masz, mały? Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać.

Jonah zerknął na Harleya, a ten skinął głową. Przyklękął obok Lucii. Mąż obok żony.

- Ma na imię Howdy. Lucia uśmiechnęła się.

- Fajnie. Witaj, mały łobuziaku.

Howdy szczechnął wesoło, podskoczył i polizał Lucię w brodę, zanim zdążyła uchronić się przed atakiem czułości.

- Wiem z pewnych źródeł, że ten maluch szuka domu - powiedział Jonah.

Podniósł szczeniaka, a kiedy oboje wstali, podał go Lucii.

- Chodź - pociągnęła Jonaha, tuląc pieska. - Pójdziemy im na spotkanie. - Tłum gęstniał z każdą chwilą. Chyba wszyscy mieszkańcy osady przyszli przywitać Jonaha.

Jonah zaśmiał się, pocałował mocno Lucię i pobiegł witać się ze starymi przyjaciółmi. Ludzie krzyczeli, wdychali, płakali.

- Szary Wilk, Szary Wilk - zaczęli skandować.

- Nasz uzdrowiciel wrócił do domu.

